

PATRICIA POTTER

PORWANIE

Prolog

Granica szkocko-angielska, 1552

Gościńcem, w ponurym i pełnym napięcia milczeniu, jechało stępa dwóch konnych. Byli zarazem wrogami i sojusznikami.

Znali się dobrze i wiedzieli, że nie mogą sobie ufać. Zdrada czaiła się w ich duszach. Ale tym razem mieli pozostać sobie wierni. Połączył ich jeden cel. Kiedy będzie po wszystkim, znów staną się tylko wrogami i zapewne w ciągu miesiąca, najwyżej dwóch spotkają się na polu bitwy.

Wspólnym celem było uwolnienie się od krewnych, którzy wywłaszczyli ich z tytułów, ziemi i władzy. Musieli połączyć siły.

Odziani na czarno, stawili się na to spotkanie bez asysty zbrojnych. Każdy sługa to świadek, wiedzieli wszak, że gdyby ich plan został odkryty, rodziny skazałyby ich na okrutną śmierć.

Obaj uważali, że spodziewana korzyść warta jest ryzyka.

W mgłę marcowego wieczoru ledwie widzieli siebie

nawzajem. Lecz dla żadnego nie było tajemnicą, że ten drugi jest uzbrojony po zęby.

- Ja wypełniłem swoje zadanie - odezwał się w końcu jeden. - Teraz kolej na ciebie. Oczekuję czynów, a nie słów.

- Nie zrobię niczego bez jej przyzwolenia - rzekł drugi.

- Niech cię paraliż dotknie! Więc zdobądź je!

- Ona ma własne zdanie.

- Od tego jest się mężczyzną, by narzucać kobiecie swą wolę. - W ciemności dał się słyszeć nieprzyjemny śmiech. - A może ty nie jesteś w dostatecznym stopniu mężczyzną?

- Ciekawym, czy będziesz się śmiał, kiedy śmierć zajrzy ci w oczy. Już wkrótce ona zanurzy sztylet w twoim sercu. W sercu Careya.

- Nie strasz, bo jeszcze zrobię coś, co bynajmniej nie sprawi ci radości.

Wyższy z mężczyzn spojrzał niechętnie na towarzysza.

- Gdyby stała się jej jakaś krzywda, twój los byłby przesądzony.

- Twój również, mój szkocki przyjacielu, gdyby odkryto, że weszliśmy w konszachty.

- To się odnosi także do ciebie. Nawet jeśli twój brata nie było w kraju przez osiem lat, to teraz jest earlem i może liczyć na lojalność swych ludzi.

- Jest słaby - wybuchnął młodszy z mężczyzn. - Od kiedy powrócił, ma usta pełne frazesów o pokoju i obniżaniu opłat dzierżawnych. Wielki Boże, pokój na

tej granicy! Pokój to ostatnia rzecz, jakiej bym pragnął. Ty chyba również?

Tamten kiwnął głową. Wzbogacił się w ciągu ostatnich kilku lat, robiąc wypadki na angielską stronę. W tym samym czasie jego towarzysz bogacił się najeżdżając Szkotów.

- Przejdźmy zatem do sedna sprawy. Gdzie i kiedy najlepiej napaść na Huntingtona?

- Każdego ranka kąpie się w jeziorze. Sam.

Rozległ się krótki rechot.

- Aż dziw, że nie nabawił się dotąd febry.

- Przeciwnie, te kąpiele zdają się mu służyć. Przywykł do nich na kontynencie.

- Każdego ranka, powiadasz. - Nie było dobrze dla Kerów urządzić marsze za dnia. Ryzyko zakrawało na czyste wariactwo. - Nie wiem, czy jest już gotowa. Wciąż nosi żałobę.

- Najlepiej więc się upewnić. Jutro w nocy puścimy z dymem zagrody kilku jej dzierżawców.

Chwilę jechali w milczeniu.

- A zatem postanowione? :

- Postanowione.

Elsbeth Ker chwyciła za cynowy puchar i cisnęła nim przez całą długość komnaty. Przeleciał nad barwnym dywanem okrywającym posadzkę i gruchnął o kamienną ścianę.

Obaj siedzący przy stole mężczyźni podskoczyli na swoich krzesłach. Jeden wydawał się rozbawiony, podczas gdy na twarzy drugiego malowało się czujne oczekiwanie.

- Na rany Chrystusa! - wybuchnęła Elsbeth. - Jak śmieli?! - Parsknęła gniewnie, po czym powtórzyła: - Jak śmieli?!

- Careyowie zdolni są do wszystkiego - powiedział Ian Ker. - Cieszą się poparciem dworu. W dodatku teraz, kiedy nie ma wodza, jesteśmy dla nich łatwym łupem.

- Ja jestem głową klanu - sprostowała Elsbeth. - I dlatego nie ujdzie im to bezkarnie.

Ian spoglądał w milczeniu na kuzynkę. Jej kasztanowe włosy ze smugami czerwieni były rozpuszczone i sięgały dużo poniżej talii. Bursztynowe oczy ciskały skry. A pięknie zarysowana broda unosiła się coraz wyżej i wyżej, pod wpływem dumy i świętego oburzenia.

Była uroczą panną, ta jego kuzynka, i warto było ubiegać się o jej rękę. Siedzący obok niego Patrick, tak samo jak on bękarci kuzyn, był drugim zalotnikiem. Chodziło im tyleż o rękę, co o tytuł i włości, bo takie było wiano Elsbeth Ker. Nie było też tak, by nie darzyli kuzynki głębszymi uczuciami.

Ona zaś prócz urody miała ognisty temperament. Kipiała energią, entuzjazmem i szaloną odwagą. Gdy dosiadała konia, to było wiadomo, że zaraz się puści z wiatrem w zawody. Gdy chwyciła za rapier, to było wiadomo, że zamachnie się nim niczym wytrawny szermierz. Pewnie, że pod względem siły nie mogła się równać z mężczyzną. Niewieścią słabość tuszowała wszakże szybkością, zaciekłością i uporem.

Ale chociaż opanowała niejedno męskie rzemiosło, Ian i Patrick martwili się, że pod jej władzą klan Kerów straci na znaczeniu i zostanie zdziesiątkowany.

Teraz była pełna wojowniczego zapału. Ale co będzie jutro?

Ian przeniósł wzrok na kuzyna. Różnili się jak dzień i noc. On miał jasne włosy, Patrick zaś smoliście czarne. On w oczach nosił uśmiech, Patrick zaś ponure zamyślenie. Łączyło ich zainteresowanie, jakim darzyli Elsbeth, oraz bękarci los. Wszyscy troje wychowali się razem, jakkolwiek to ona była prawowitym dzieckiem i dziedziczka, oni zaś tylko bękartami na łaskawym chlebie.

Ian żył w zgodzie z samym sobą. Patrick wciąż się buntował przeciwko swojemu losowi.

Ale gdy przychodziło do bitwy, stawali u boku staro dziedzica Roberta Kera i walczyli jak lwy.

Sześć miesięcy temu czcigodny laird zginął z ręki Careyów.

A teraz Careyowie znów uderzyli, pałac zagrody dzierżawców, którym Elsbeth winna była opieką.

Członkowie klanu Kerów chcieli uderzyć na Careyów zaraz po śmierci dziedzica. Jednak zboleła, pogrążona w żałobie Elsbeth wahała się. Dotarło do jej uszu, że earl Huntington oraz jego najstarszy syn zmarli na jakąś tajemniczą febrę. Ujrzała w tym karę niebios, należną niegodziwcom. Jednak ten nowy napad przekonał ją, że nic się nie zmieniło. Wiedziała, że jeśli i tym razem nie zacznie działać, klan odwróci się od niej. Poza tym najgorętszym pragnieniem krewnych było wydanie jej za męża. Nie chcieli niewiasty, chcieli męża jako głowy rodu. W tym jednak punkcie Elsbeth była nieugięta. Na jej decyzję wpłynęło nieudane małżeństwo rodziców. Nie wyjdzie za męża bez miłości, chociażby sama królowa regentka, pragnąc pokoju na granicy, ponaglała ją do wybrania kandydata i zawarcia związku.

Elsbeth znała matrymonialne plany swoich kuzynów i śmiała się z nich w duchu. Byli dla niej jak bracia i nie wyobrażała sobie, że kładzie się z którymś z nich do małżeńskiego łóża. Lubiła Iana, gdyż miał łatwy i stały charakter. Lubiła też Patricka, gdyż podobało się jej jego zamyślane czoło pod wiechą czarnych włosów. Kochała ich i ufała im. Ale małżeństwo było wykluczone.

Tak, z zamążpójściem będzie musiała poczekać. Teraz zaś pokaże swoim, że jest zdecydowana zapewnić im ochronę.

- Czy nowy earl już wrócił? - zapytała.
- O ile wiem, kilka tygodni temu - odparł Ian.
- Więc to on jest odpowiedzialny za ostatni napad?
- Zaiste, tak można by rzecz ująć.

Elsbeth przeniosła wzrok na Patricka.

- Co wiesz o tym człowieku?
- Wiadomości o nim są skąpe. Przed laty brał udział w przygranicznej wojnie. Potem znikł z horyzontu. Mówiono nawet, że nie żyje.

- A jednak powrócił cały i zdrow i wątpię, by jego brat John był tym zachwycony.

Ian cicho się roześmiał.

- Myślał, że zagarnie Huntington wraz z tytułem i już wyciągał rękę, a tu ptaszek odleciał.

- Większy chciwiec nie chodził po tej ziemi - zauważyła Elsbeth.

- Nowy dziedzic cieszy się ponoć zaufaniem i życzliwością samego księcia Northumberlanda. - Ian wymienił najpotężniejszego człowieka w Anglii, Johna Dudleya, lorda protektora przy boku małoletniego Edwarda VI.

- Angielskie psy! - rzuciła Elsbeth impulsywnie. - Damy Careyom lekcję, której nigdy nie zapomną.

Winiła teraz siebie za opieszałość. Bardzo długo żyła nadzieją na pokój. Zapiekleła wrogość przygranicznych rodów musiała prędzej czy później przemienić tę piękną ziemię w pustynię zroszoną krwią. Dlatego próbowała ignorować fakt, że Careyowie zabijając jej ojca, złamali jedną z podstawowych zasad wojny granicznej: - rabować, ale nie mordować, a już na pewno nie mordować

z zasadzki. Teraz szkoccy mieszkańcy pogranicza pałali żądzą odwetu. Biedny byłby ten, kto zacząłby machać gałązką oliwną.

- Tak - powtórzyła - musimy dać Careyom porządną nauczkę, szczególnie zaś temu łajdakowi, który mieni się earlem,

Patrick zmarszczył brwi, Ian wyszczerzył zęby. Oto była prawdziwa Elsbeth, taka, jaką pamiętali z czasów dzieciństwa, nie zaś ta cicha i pogrążona w myślach, jaką spotykali każdego dnia w miesiącach żałoby.

- Ten nowy earl - rzekł Ian - ma ponoć dziwne obyczaje. Każdego ranka tuż po wschodzie słońca zażywa kąpieli w jednym z jezior w pobliżu granicy.

- Bez straży?

Ian wzruszył ramionami.

- Zdaje się, że tak.

- Ależ głupiec.

- Uważam, że nie jest głupcem. Ani też tchórzem. Osiem lat temu spotkałem się z nim w jednej z potyczek. Wydał mi się śmiały, chytry i zręczny - wtrącił się Patrick.

Elsbeth zamyśliła się. Patrick i Ian wypełnią każdy jej rozkaz. Rozkaże im zabić earla, to zabiją go. Lecz co potem? Potem będzie musiała uporać się z Johnem Careyem.

Była też inna możliwość. Zaczają się na lorda Huntingtona, porwą go i zażądają okupu.

Wtedy mogłaby równocześnie upokorzyć wroga i za jego pieniądze odbudować spalone gospodarstwa, I co za przyjemność mieć tego Careya przez jakiś czas pod

swoją władzą i na nim wyładowywać gniew, który kipiał w niej od śmierci ojca.

Wiedziała, że nowy earl nie jest bezpośrednio odpowiedzialny za tamto morderstwo. Stary dziedzic rozstał się z tym światem pół roku temu, Alexander Carey zaś przebywał w Huntington dopiero od kilku tygodni. Nie miało to jednak większego znaczenia. Był Careyem, a wczorajszy napad stanowił koronny dowód, że postanowił być wierny tradycji rodowej waśni.

- Schwytamy go i przetrzymamy jako zakładnika - powiedziała zdecydowanie.

Ian uniósł brwi w wyrazie zaskoczenia, Patrick spojrział spode łba na kuzynkę.

- Najlepiej byłoby go zabić - rzekł, dając wyraz swej nienawiści. Darzył Roberta Kera niemal synowską miłością i czuł się w obowiązku pomścić śmierć człowieka, który traktował go, co prawda, surowo, ale sprawiedliwie.

- Potrzebne są nam pieniądze - zaproponowała Elsbeth. - Weźmiemy okup. Poza tym postaramy się, by pobyt Careya u nas nie należał do najprzyjemniejszych.

- Będzie trudno porwać go żywym - ostrzegł Ian.

- Tak - zgodził się Patrick, co nieczęsto mu się zdarzało w rozmowach z kuzynem.

- Na tę wyprawę jadę razem z wami - oświadczyła Elsbeth.

- Zostaniesz w domu, kuzynko - odparli niemal równocześnie, po czym Ian dodał:

- Careyowie byliby w siódmym niebie, gdyby dostali cię w swoje ręce.

- Niewykluczone, że zostałąbyś zgwałcona - dorzucił ponuro Patrick.

- Zażądaliby okupu wartego wszystkich twoich włości - ciągnął Ian.

- Jadąc z nami, narazisz nas i siebie - ostrzegał Patrick.

Wysuwali wciąż nowe argumenty, lecz kiedy skończyli, Elsbeth nie czuła się przekonana. Kochała obu kuzynów, nie do końca wszak im ufała. Miała podstawy sądzić, że zabiją lorda Huntingtona. Podobnie jak inni członkowie klanu, darzyli Careyów wielką nienawiścią.

- Potrafię jeździć konno nie gorzej od was, kuzyni. A kiedy chwytam za sztylet, to wiem, co z nim robić. Nauczono mnie też posługiwania się rapierem.

- W grach i zabawach turniejowych, droga kuzynko. My jednak nie wybieramy się na turniej.

Bursztynowe oczy Elsbeth zajaśniały.

- Ależ tak, Patricku. Polowanie na Careya zapowiada się jako świetna zabawa. Chcę być przy schwytaniu zwierzyny.

Ian westchnął. Dalsze przekonywanie upartej kuzynki nie miało większego sensu.

- Przejdźmy zatem do sedna - powiedział.

Od razu też natknęli się na pewien problem. Gdzie będą przetrzymywać uprowadzonego earla? Warowna wieża, będąca domem i twierdzą Kerów, nie posiadała lochów. Najlepiej, rzecz jasna, byłoby odwołać się do starożytnego zwyczaju i pozostawiając zakładnikowi swobodę ruchów, wymóc na nim słowo, że nie podej-

mie próby ucieczki. W ostatnich latach zdarzyło się jednak zbyt wiele zrad, by zdać się na honor Careya.

- Pozostaje tylko jedno - rzekła Elsbeth. - Umieścimy go w górnej komnacie. Okno i drzwi trzeba wpięrow odpowiednio zabezpieczyć.

- Nie jestem pewien, czy przetrzymywanie Careya w wieży to najrozsądniejsze wyjście - powiedział Ian. - Może tu podsłuchać niejedną rozmowę. Lepiej, żeby wróg wiedział o nas jak najmniej.

Elsbeth nie mogła nie przyznać racji kuzynowi. Ale w obrębie obronnych murów nie było innego miejsca, w którym Carey mógłby być przetrzymywany bez obawy, że ucieknie.

- Kiedy będzie opuszczał komnatę, będziemy zawiązywali mu oczy.

Patrick odkaszlnął.

- I cały ten taniec wokół jakiegoś tam angielskiego kundla. Wciąż uważam, że powinniśmy go zabić.

- Postąpimy według planu - orzekła stanowczo Elsbeth. - Uderzymy, gdy cela zostanie zabezpieczona kratami i sztabami.

Alexander Carey spoglądał z gniewem na młodszego brata.

- Przecież znałeś mój rozkaz! Zabroniłem dalszych napadów!

- Zagarnęli część naszego bydła - odparł John bez mrugnienia okiem. - Musieliśmy wziąć odwet.

- A teraz oni zemszczą się na naszych dzierżawcach. I będzie tak bez końca.

— Co było zawsze, nie może się skończyć - rzekł John. - Kerowie są odwiecznymi wrogami Careyów.

Alex zamyślił się.

- Posłuchaj, John - rzekł po chwili na pozór spokojnym głosem. - Nigdy więcej, powtarzam, nigdy więcej nie wyprowadzaj moich ludzi bez mojej zgody.

John, mniejszy i szczuplejszy od starszego brata, stęzał w gniewie.

- Jeszcze dwa miesiące temu byli moimi ludźmi. Nie było cię przez osiem lat. W tak długim czasie można przestać być Careyem. - Chciał powiedzieć więcej, ale w porę ugryzł się w język. Jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, raz na zawsze uwolni się od brata, który był mu tylko zawadą i utrapieniem.

Alex głęboko westchnął. Wiedział, że nie może liczyć na przyjaźń i lojalność Johna i było mu przykro. Umarł ojciec, umarł najstarszy brat, zostali tylko oni dwaj.

Pomyślał o Nadine, dobrej i łagodnej Nadine, która nauczyła go cenić odwagę i poświęcenie. Nie dała wszakże wskazówek, jak traktować egoizm i samolubstwo. John był w tej chwili jego największym problemem.

Na francuskiej galerze, na której wiosłował przez długie lata, żył marzeniami o odzyskaniu wolności i powrocie do rodzinnego domu. Aż wreszcie jego nadzieje się spełniły. Kiedy jednak leżał w pewnym pałacyku pod Londynem, odzyskując siły i zdrowie, dotarła doń wiadomość o nagłej śmierci ojca i brata. Dowiedział się też, że młodszy, John, przeświadczony, że tylko on pozostał z trzech braci, ogłosił się dziedzicem i głową rodu.

Kiedy więc on, Alexander, przybył do Huntington, został powitany przez Johna niczym uzurpator i oszust. Bo i faktycznie, czyż nie był uzurpatorem, sięgając po majątek i władzę po tylu latach nieobecności? Stracił matkę bardzo wczesnie, a jego ojciec był zimnym, okrutnym człowiekiem, który siał niezgodę pomiędzy synami. To była ta najważniejsza przyczyna, dla której opuścił rodzinne gniazdo. Nie dopisało mu szczęście. Lata na francuskiej galerze okazały się piekłem za życia, a Huntington we wspomnieniach wydawało się utraconym rajem. Przed oczyma coraz częściej pojawiały się szemrzące strumienie, łagodne wzgórza, zielone lasy, fioletowe wrzosowe kobierce, dostojne, kudłate krowy i śmigłe, wytrzymałe konie.

Teraz był earlem, a przejęte dziedzictwo spędzało mu sen z powiek. Stan rzeczy okazał się zatrważający. John cisnął poddanych podatkami, aż wreszcie wtrącił ich w skrajne ubóstwo. Po wioskach szerzył się głód, a pola leżały odłogiem. Kwitło rzemiosło zbójckie. A już najgorsze okazało się to, że zabijając na krótko przed swoją śmiercią Roberta Kera, ojciec podsycił na nowo płomień nienawiści pomiędzy przygranicznymi rodami.

Alex czuł się zmęczony latami niewoli i nade wszystko pragnął pokoju. Chciał czerpać dochody z rozległych włości, mieć miłą, urodziwą żonę i zdrowe potomstwo. Tymczasem przejął w spadku wraz z ziemią zżeranego nienawiścią brata, głodujących dzierżawców i wojnę, której nie rozpoczął.

W jego naturze bynajmniej jednak nie leżało unika-

nie niebezpieczeństw i przygód/Przeciwnie, wplątał się w życiu w niejedną awanturę, czy to jako młodzian tu, w Huntington, czy to później we Francji, gdzie stanął po stronie prześladowanych protestantów. W jednej z utarczek został schwytany i skazany na galery. Sądził, że przy wiosle dokończy już żywota, gdy nagle los uśmiechnął się do niego. Jego towarzysz niedoli John Knox, Szkot z pochodzenia, odzyskał wolność wskutek nacisków dworu angielskiego, a wróciwszy do Londynu, powiedział Johnowi Dudleyowi, księciu Northumberland i lordowi protektorowi, że Alexander Carey żyje...

Żył tylko dzięki przemożnej tęsknocie za domem. Dom w tamtych mrocznych latach objawiał mu się w świetlistej aureoli - jako słońce na bezchmurnym niebie, migotliwa tafla górskiego jeziora, gra świateł i cieni na trawie wokół pnia rozkwitłego kasztana. Kiedy zaś zdjęto mu kajdany i stał się wolny, to jakby wszedł w to światło i przez chwilę był oślepiiony.

Tamto wspaniałe doznanie należało już jednak do przeszłości. Teraz czuł się zmęczony zawiścią młodszego brata i nieustannymi staraniami, by tę zawiść złagodzić. Przez kilka dni bawił się nawet myślą, czyby nie wybrać roli dworaka i nie przenieść się do Londynu. W końcu jednak doszedł do wniosku, że potrzebny jest przede wszystkim tutaj. Był cos" winien swoim dzierżawcom, jakkolwiek powitali go chłodno, a odprowadzali wrogim i nieufnym wzrokiem. Doświadczyli wiele złego od Careyów i nie mieli powodu sądzić, że kolejny okaże się dla nich łaskawszy.

A poza tym dwór nie miał w sobie niczego pociągającego. Po śmierci Henryka VIII Londyn przeobraził się w wylęgarnię intryg i plotek. Moźni, zazdrośni o swoje wpływy na młodocianego następcę tronu, knuli przeciwko sobie po alkowach i pałacowych korytarzach. W tej atmosferze bezpardonowej, choć sekretnej walki łatwo było postradać życie, nawet gdy się miało wysoko postawionych przyjaciół.

Nagle poczuł się bardzo samotny. Wszystko to było nie do zniesienia.

- Żebym już więcej o tym nie słyszał! - huknął w twarz zaskoczonemu Johnowi. - Podoba ci się to czy nie, jestem i będę earlem Huntington. Nie będzie więcej najazdów na szkockich dzierżawców.

Wykrzyczawszy to odwrócił się i szybkim krokiem wyszedł z komnaty.

W stajni kazał osiodłać Demona, karego ogiera wielkiej urody. Pragnął mieć wokół siebie samych zaufanych ludzi, ale wiedział, że na razie to niemożliwe. Byli najpierw sługami jego ojca, a potem sługami Johna i czerpali korzyści z wycieczek na drugą stronę granicy. Zrozumiałe więc, że mieli mu za złe przerwanie tego procederu.

Mógł liczyć na zrozumienie, przynajmniej taką miał nadzieję, tylko jednego człowieka. Człowiek ów nazywał się Davey Garrick i przed laty był towarzyszem jego chłopięcych zabaw. Potem dosłużył się stopnia kapitana i zasłynął znanostwem sztuki szermierczej. Sąsiedni posiadacze ziemscy wypożyczali go sobie za ustaloną opłatą, by szkolił ich żołnierzy. Właśnie po-

wrócił wczoraj od jednego z nich i Alex zdecydował się na odnowienie znajomości.

Miał nadzieję, że Davey nie zmienił się bardzo od dnia, kiedy widzieli się po raz ostatni. Wiedział już, gdzie mieszka, pędził więc na złamanie karku, nie pytając o drogę. Zatrzymał się przed zadbaną chatą i przywiązał cugle do drzewa. Po krótkim wahaniu zapukał do wysokich dębowych drzwi.

Davey zewnątrz niewiele postarzał się przez te lata. Nadal miał zgrabną sylwetkę i nosił krótko przystryżone włosy, których kolor wahał się między piaskowym a złotym. Był może tylko tęższy w sobie, a rysy jego przystojnej twarzy nabrały wyrazistości. Na widok gościa lekko się zmieszał, zaraz jednak pokrył zmieszanie szerokim, serdecznym, dobrze znanym Aleksowi uśmiechem.

- Panie, jak dobrze, że wróciłeś - powitał earla z prostotą właściwą swojej naturze.

Alex ujrzał, że od stołu w głębi izby podrywa się młoda kobieta.

- Czy nie przeszkadzam, Davey?

- Ależ skądże - padło w odpowiedzi. - Proszę wejść do środka. Przedstawię ci, panie, moją żonę Judith.

Niewiasta urzekła smukłością ciała i słodyczą uśmiechu. Alex pamiętał ten uśmiech jeszcze z czasów dzieciństwa.

- Córka Milliego? - zapytał, wymieniając nazwisko jednego z dzierżawców.

Davey skinął głową, obejmując żonę ramieniem.

- Jesteś szczęściarzem.

W niebieskich oczach Daveya i w zielonych Judith pojawił się ten sam wyraz ciepła i przywiązania.

- Zjesz z nami wieczerę, panie? - zapytała młoda kobieta, po czym dodała usprawiedliwiającym tonem:
- Mamy tylko duszoną baraninę.

- Uwielbiam potrawy z jagnięcia - odparł Alex, po czym zdjął z ramion płaszcz i powiesił go na kołku.

Davey Garrick, jak przystało żołnierzowi wobec woźdza i gospodarzowi wobec gościa, usiadł dobre kilka chwil po Aleksie. Ten zauważył tę zwłokę i rzekł:

- Jestem earlem dopiero od miesiąca. Nie przywykłem jeszcze do takich oznak szacunku. W ostatnich latach los mnie nie rozpieszczał.

Zaiste, na galerze zaszczycono go jedynie przekleństwami i batem.

- Mówiono, a my wierzyliśmy, że nie żyjesz, panie.

- Służyłem Francuzom - odparł Alex, krzywiąc ironicznie wargi.

Garrick domyślił się, że nie chodzi o zwykłą służbę, ale wolał nie zadawać pytań. Francja i Szkocja sprzymierzyły się przeciwko Anglii, kto więc pracował dla Francji, pracował dla śmiertelnego wroga korony angielskiej. Davey nie podejrzewał Aleksa o zdradę. Raczej odebrał jego słowa jako zagadkę, której na razie nie zamierzał rozwiązywać.

Podana na drewnianych talerzach wieczerza była prosta, a przecież wyjątkowo smaczna. Alex jadł z apetytem. Dobrze się czuł w towarzystwie Daveya i Judith. Ceremonialne posiłki z wiecznie ponurym bratem stały się dlań torturą.

Zauważył jednak, że małżonkowie wymieniają ukradkowe spojrzenia. Poczł się intruzem i uznał, że czas się pożegnać.

Wstał z za stołu, a Davey odprowadził go do drzwi.

- Cieszę się, że wróciłeś, panie - powtórzył słowa, które powiedział na powitanie.

- Pod tym względem jesteł wyjątkiem.

- Niebawem będą też inni. Obniżenie podatków to dobry początek, ale po latach złęgo traktowania ufność nie wraca jednego dnia. - Nagle pojął, że się zagalopował, i pobladł. Zbladła również jego żona.

- Panie - rzekła - nie do nas należy ocena postępów szlachetnie urodzonych.

- Nie zwykłem karać za szczerość. Przed laty nie mogłem niczego naprawić i dlatego wolałem wyruszyć w świat. Ale teraz mam władzę. Zmian będzie więcej, Davey.

Garrick położył prawą dłoń na sercu.

- Będiesz miał we mnie wiernęgo sługę, panie.

- Staw się jutro rano. Porozmawiamy.

- Rozkaz, wodzu.

- Kiedyś zwracałeś się do mnie po imieniu.

- To było bardzo dawno temu.

- Tak, od tamtych dni upłynęło tysiąc lat. Niemniej wciąż jestem dla ciebie Alekssem.

Po twarzy Daveya przemknęło wzruszenie. Milczał patrząc, jak Alexander Carey, lord Huntington, dosiada konia, ściska go piętami i niknie w obłoku kurzu.

Alex wbiegł po schodach do swojej komnaty. Głową miał pełną pytań, na które na razie nie znajdował odpowiedzi. Nie wprowadził się jeszcze do senioralnych komnat. Nie chciał pogłębiać urazy brata, wierząc, że John powoli zrezygnuje ze swoich ambicji i pogodzi się z pozycją najbliższego krewnego earla.

W lichtarzach paliły się już świece, ale w pomieszczeniu zalegał półmrok. Panowała tu prawdziwie żołnierska prostota. Wąskie łóżko, zбитy z desek stół, dwa krzesła i pękata skrzynia w kącie stanowiły całe jego umeblowanie. Rozesłany na posadzce gruby wzorzysty dywan był jedynym siadem zbytku i szlachectwa.

Alex rozebrał się i, całkowicie nagi, podszedł do okna. Wyrżał na dziedziniec i otaczające go budynki. To wszystko było jego. Była też jego ta ziemia sięgająca ze wszystkich stron horyzontu. Musiał chronić swoją własność przed wrogami. A także pomnażać ją i upiększać. Westchnął, świadom trudności zadania. Nigdy nie myślał, że kiedyś przejmie dziedzictwo. Miał však starszego brata, który w dodatku był żonaty. Ale jego żona dwakroć poroniła, przy trzecim zaś porodzie zmarła wraz z dzieckiem. Stał się więc earlem i angielska korona liczyła na jego wolę zaprowadzenia na tej ziemi porządku i pokoju. Miał położyć kres na poły bandyckim napadom, które były zarzewiem lokalnych wojen, a mogły stać się źródłem poważniejszego konfliktu.

Szkocka korona również walczyła z pograniczną anarchią. Regentka Maria Lotaryńska, wdowa po Jakubie V, księżniczka z potężnego rodu francuskich Gwijzjuszy, skazała nawet na śmierć przez powieszenie naj-

bardziej popularnego naczelnika klanu, Johnny'ego Armstronga. Ale ani Anglia, ani Szkocja nie były w stanie rozciągnąć kontroli nad całym pograniczem, gdzie możni i ich krewniacy poczyniali sobie w najlepsze.

Alex przyrzekł lordowi protektorowi, którego wstawiennictwu zawdzięczał wolność, że ukróci bezprawie. W tydzień później odkrył zło w swojej własnej rodzinie.

Kerowie ponieśli stratę i z pewnością pałali dzisiaj żądzą odwetu. Nie znał kobiety, która po śmierci starego lairda stanęła na czele klanu, więc tym bardziej był jej ciekaw. Sam również nie czuł się bez winy. Przed laty brał udział prawie we wszystkich wyprawach przez granicę. Już wtedy zauważył, że ten rabunkowy proceder wzbogaca panów, dzierżawców zaś wtrąca w nędzę. Zaczął stawiać pytania, na które najbliżsi reagowali gniewem i pogardą. Wyjechał więc do Londynu, gdzie poznał Nadine i jej ojca, hugonota, rzecznika francuskich protestantów na dworze angielskim. Wystarczyło kilka rozmów z nimi, aby dał się porwać idei wiary czystej, surowej i jedynie prawdziwej. Po miesiącu był już we Francji. Prześladowania hugonotów przybierały na sile. Alex i Nadine zostali schwytani. Ponieważ był Anglikiem, uniknął okrutnej śmierci. Nadine i jej ojciec spłonęli na stosie.

Przykuto go zatem do wioseł i niezczędzono chłosty. Obok wiosłował John Knox, przywódca szkockich protestantów, kalwiński kaznodzieja. Zaprzyjaźnili się i od tej pory byli dla siebie wielkim oparciem. Potem Knox odzyskał wolność, by z kolei przyczynić się do uwolnienia Aleksa.

Knox był człowiekiem żarliwej wiary, która niczym właściwie nie różniła się od fanatyzmu. Alex już dawno rozumiał, że fanatyzm w istocie jest kultem śmierci. W imię tego samego Boga katolicy zabijali protestantów, a protestanci katolików. Różnice w religijnych dogmatach niewarte były krwi, która rosła ziemię Francji, Anglii i Szkocji.

A jednak Alex i Knox stali się przyjaciółmi. Głód, ból i parszywy los zbliżyły ich do siebie. Kiedy dął silny wiatr i nie trzeba było wiosłować, wdawali się w długie rozmowy. Knox rozbudził w Aleksie żądzę wiedzy, poznawania wciąż nowych idei i zjawisk.

Wróciwszy jednak do domu, Alex stanął nie przed naukowym czy też religijnym, tylko przed całkiem praktycznym zagadnieniem ułożenia sąsiedzkich stosunków. Mógł podjąć próbę ugłaskania Kerów, proponując im odszkodowanie za straty. Wtedy jednak mogliby go odstąpić jego ludzie. Graniczne utarczki już dawno zmieniły się w krwawe zmagania. Nikt tutaj nie prosił o łaskę, nikt też jej nie okazywał. Alex wiedział, że tylko siłą będzie mógł utrzymać odziedziczoną własność.

Rzucił się na łóżko. Jutro. Jutro porozmawia z Garrickiem i wspólnie uradzą, co zrobić, by ugasić nienawiść pomiędzy Szkotami i Anglikami.

Zamknął oczy, wciąż myśląc o dniach, które miały nadejść.

2

Elsbeth dosiadła konia, po czym starannie obciągnęła dół sukni. Miała na sobie gruby płaszcz dla ochrony przed nocnym chłodem, a u boku krótki sztylet na szarfie z materiału w zielono-czerwonej kratę. Były to barwy klanu Kerów.

Ian i Patrick do ostatniej chwili próbowali odwieść ją od uczestnictwa w wyprawie, lecz pozostała nieugięta. Była głową klanu i musiała osobiście odpłacić za wyrządzone Kerom zło. Poza tym pociągało ją ryzyko przedsięwzięcia.

Z początku posuwali się noga za nogą, ścieżkami znanymi tylko mieszkańcom tych okolic. Pełna tarcza księżycy zapewniała dobrą widoczność. Na czele grupy składającej się z dwudziestu mężczyzn i jednej kobiety jechał Patrick, obdarzony sokolim wzrokiem. Jak zwykle pogrążony był w ponurym milczeniu, ale bystrzejszy obserwator wyczułby w nim tłumione podniecenie. Jak wszyscy pogranicznicy, gustował w nocnych wycieczkach. Miło było oddychać powietrzem przygody.

Elsbeth zgoła inaczej patrzyła na sprawy. Ta wyprawa była jej obowiązkiem, miała zapobiec dalszym

nieszczęściom i stworzyć przełom w stosunkach z Careyami.

Ogólna sytuacja polityczna była bardzo niedobra. W Szkocji w istocie panowało bezkrólewie, podobnie zresztą jak w Anglii. Nominalnie królową Szkocji była dziesięcioletnia dziewczynka, królem Anglii pięcioletni chłopiec. Oboje znajdowali się pod wpływem ambitnych krewnych, podczas gdy w ich królestwach nasilały się spory religijne i wybuchały lokalne wojny.

Przyszłość pogranicza Elsbeth widziała w równie ciemnych barwach. Pomędzy Kerami a Careyami możliwa była już tylko wojna na wyczerpanie. Wyobrażnia podsuwała obrazy spalonych wiosek, zwałów trupów i stratowanych pól. Elsbeth nie była bojaźliwa, po prostu liczyła się i z takim rozwojem wypadków. Nie chciała, żeby jej poddani przeszli przez piekło nie zwinionych cierpień.

Na pogodnym niebie świeciły gwiazdy. Noc była chłodna. Ranek nie zapowiadał się cieplejszy. Elsbeth wstrząsnęła się, wyobrażając sobie, że musi wejść do jednego z licznych tu strumieni lub jezior. Kąpiel w drewnianej wannie wypełnionej podgrzaną wodą była bez wątpienia o wiele przyjemniejsza.

Ale ten nowy earl widocznie nie bał się zimna. Kiedyś z pewnością musiała go widzieć, nie mogła jednak przypomnieć sobie jego twarzy. Dobrze знаła Johna i świętej pamięci Williama, o których wyglądzie i charakterze miała jak najgorsze zdanie. Ów średni brat musiał być do nich podobny, jakkolwiek Patrick rzucił raz w rozmowie, że możliwa jest tu każda niespodzianka.

Mniejsza zresztą z tym. Pozbędzie się szybko zdra-
dzieckiego Careya. Tyle że przedtem potrzyma go pod
kluczem w swej wieży.

Wpadła w lepszy nastrój. Popędziła konia i zrównała
się z łańcem. Na twarzy kuzyna malowało się podniece-
nie. Miał na sobie skórzany kubrak z półpancerzem,
głowę osłaniał mu hełm. Pistolet o wydłużonej lufie
i rapier składały się na jego uzbrojenie. Pozostali ucze-
stnicy wyprawy uzbrojeni byli przeważnie w długie
włócznie, które pochylali, przejeżdżając pod nisko
zwieszającymi się gałęziami klonów, modrzewi, dębów,
wiązów i buków.

Kiedy dotarli do niewielkiej kotliny, wciąż była noc.
Do świtu pozostało dobre dwie godziny. Elsbeth spoj-
rzała na Iana, on zaś swoim zwyczajem uśmiechnął się.
To polowanie na Careya zapowiadało się wyjątkowo
ciekawie.

Dolina i jezioro znajdowały się na ziemi Careyów,
która niczym zasadniczym nie różniła się od ziemi Ke-
rów. Wszędzie widać było lasy, pola, pastwiska, wzgó-
rza i wodne zbiorniki. Zbrojni rozproszyli się i ukryli
wśród drzew. Najstarszy z gromady zebrał konie i od-
dalił się z nimi na bezpieczną odległość. Elsbeth, zanim
podażyła jego śladem, wydała ostatnie rozkazy. Mieli
rzucić się na earla, kiedy ten będzie wychodził z wody.
Planowano wziąć go żywcem. Potem pozwolą mu się
ubrać, by, kiedy ona, Elsbeth, się pojawi, nie obrażał
swoją nagością jej oczu.

Czekanie przedłużało się. Noc jakby się uparła i nie
chciała ustąpić przed dniem. Za jedyne go towarzysza

Elsbeth miała skwaszonego starca, który złościł się i gderał na zimno i mrok. Wreszcie na niebie pojawiła się jutrzienka i wstał bladej świt. Obudziły się ptaki, powietrze rozbrzmiało świergotem.

Elsbeth chciała być z Patrickiem i łanem. Mogłaby być świadkiem upokorzenia Anglika. Nie pozwalało jej na to jednak poczucie przyzwoitości. Musiała więc uzbroić się w cierpliwość, zabijając czas wypytywaniem starca o jego rodzinę. Odpowiadał chętnie, przy czym okazało się, że stracił dwóch synów w wyprawach na Careyów. Ponad koronami drzew ukazało się słońce. Nagle od strony jeziora zerwało się stado bażantów. Nadjeżdżał Anglik.

Dosiadła konia. Czekała w ogromnym napięciu. Wyczuwając niepokój i podniecenie swej pani, klacz zaczęła gryźć wędzidło i przysiadła na zadzie. Rozległ się strzał, a zaraz po nim wojenny okrzyk Kerów. Elsbeth zwolniła wodze i pomknęła jak strzała ku kotlinie.

Alex jechał pogrążony w myślach. W ciągu tych kilku tygodni pobytu w domu zdążył już się zorientować, że jest bardzo bogaty. Bogactwo samo w sobie niewiele dlań znaczyło. Za złoto nie mógł kupić pokoju ani lekarstwa na dojmującą samotność. Najważniejsi jednak byli Kerowie. Wojna z nimi wisiała na włosku.

Ale dziś czuł się bezpieczny. Nikt nie wiedział o tych jego porannych pluskaniach się w jeziorze. Oczywiście, wartownicy przy bramie widzieli, jak każdego ranka gdzieś wyrusza, ale nie znali ani nie domyślali się celu tych wypraw. Położenie jeziora znał tylko John, z któ-

rym Alex jeździł tam przed laty. Leżało pośród lesistych wzgórz i było dobrze ukryte. Zresztą Kerowie nigdy nie napadali za dnia.

Alex w tych kąpielach nie szukał ochłody, jak to zazwyczaj się dzieje podczas upalnego lata. Zresztą lato miało dopiero nadejść, a na razie wody w strumieniach i jeziorach przechowywały jeszcze w sobie chłód zimy. I właśnie ten chłód tak go pociągał. Pod pokładem galerii, gdzie spędził tyle lat, powietrze było ciężkie od smrodu. Wtedy przyrzekł sobie, że gdyby jakimś cudem odzyskał wolność, każdy dzień będzie zaczynał od kąpieli. Nie chodziło w niej tylko o obmycie ciała, lecz również, a może przede wszystkim, o ulgę dla duszy.

Przywiązał do drzewa konia i zrzuciwszy ubranie, skoczył do zimnej wody. Kilкома uderzeniami ramion oddalił się od brzegu. Opanowało go uczucie rozkoszy. Odwrócił się na wznak i zamknawszy oczy, chłonał czysty urok poranka. Słyszał plusk fal, szmer lasu i śpiew ptaków. W końcu jednak zmarzł i postanowił się rozgrzać. Pływał silnie pracując nogami. Wyszedł z wody z uczuciem wewnętrznego oczyszczenia. Zbliżył się do pozostawionego na brzegu ubrania.

Wtedy zauważył, że coś jest nie w porządku. Brakowało bronii. Spojrzał ku ciemnej ścianie lasu. Spokój, żadnego podejrzanego ruchu. Pospiesznie wciągnął spodnie, zachodząc w głowę, któż to bawi się z nim w kotka i myszkę. Czyżby John? Zaiste, do Johna było to podobne.

W mroku pod koronami drzew dał się zauważyć jakiś ruch. Wskoczył jeden człowiek, za nim następny. Aż

nagle Alex znalazł się w kręgu mieczy i włóczni. Napastnicy nosili barwy Kerów i w jednej chwili Alex zrozumiał swoją głupotę. Jak mógł być tak lekkomyślny i przyjeżdżać tu w pojedynkę? Instynktownie sięgnął do boku, lecz jego ręka trafiła w pustkę. Usłyszał wystrzał z pistoletu. Każda próba obrony skazana była na niepowodzenie. Z szeregu wystąpił wysoki czarnowłosa mężczyzna i dotknął czubkiem ostrza obnażonego torsu Aleksa. Niezauważalny ruch ręką i z niewielkiego rozcięcia popłynęła krew.

A potem rozległ się tętent i na polance pojawiła się kobieta. Siedziała w siodle prosto i pewnie, a jej kary koń płynął w miękkim galopie. Ściągnęła wodze dosłownie w ostatniej chwili. Alex poczuł na ciele dwa ciepłe strumienie powietrza, wydobywające się z rozdętych chrap.

Nie mógł oderwać wzroku od nieznajomej. Wschodzące słońce przemieniło jej bujne włosy w płomienistą aureolę. Jej figura ginęła pod fałdami luźnego płaszcza, ale z pewnych oznak wdzięku, z kształtu dłoni i smukłości szyi nietrudno było się domyślić cielesnego piękna.

Spojrzała nań ze wzdardą pomieszana z gniewem.

- Brać go! - rozkazała swym ludziom.

Aleksowi teraz dopiero objawiło się w pełni jego położenie. Uskoczył w bok, daleko poza zasięg godzącego weń ostrza, i walnął pięścią w brzuch najbliższego ze Szkotów. Ten runął na ziemię, obalając przy okazji swojego sąsiada. Powstała wyrwa w szeregu. Alex skoczył w tę wyrwę. Sadził długimi susami. Tam wśród

drzew czekał jego koń. Jeśli wpiery nie zostanie ugodzony włócznią ciśniętą mocarnym ramieniem, to dopadnie Demona i będzie uratowany. Już miał nad sobą listowie buków i dębów. Już tylko kilka jardów dzieliło go od konia, gdy nagle został czymś przywalony. Upadł, tracąc na chwilę przytomność. Gdy ją odzyskał, właśnie krępowano mu wykręcone do tyłu ręce. Dźwignięty na nogi, wprędce znów stanął przed nieznaną. Na jej pięknej, acz surowej twarzy widniał ślad zaciekawienia.

Alex skłonił się z godnością.

- Widzę barwy Kerów - rzekł mocnym, dźwięcznym głosem.

- Widzę earla Huntington - zdradziła, iż wie, z kim ma do czynienia.

- I twego unieżonego sługę, pani - zdobył się na ironiczny uśmiech.

Elsbeth zacisnęła usta. Drażniła ją sarkastyczna dworność jeńca. A mimo to nie mogła oderwać od niego oczu. Jego w tej chwili mokre włosy wydawały się tak czarne, że aż granatowe. Nosił je krótko przystryżone nad karkiem i uszami, co uwydatniało harmonijność rysów. Oczy miał szare i chmurne i w ogóle nie przypominał pozostałych Careyów. Tamtym zbywało na męskiej urodzie, on miał jej aż nadto. Tamci nosili brody i szczeciniaste wąsiska, on był gładko wygolony. Ale cała ta miła i pociągająca powierzchowność skrywała z pewnością duszę czarną jak noc, zgodnie z porzekadłem, że nie wszystko złoto, co się świeci.

- Przewiążcie mu oczy i wsadźcie na konia - zwróciła się do swoich ludzi, spośród których wyróżniał się

ciemnowłosa wysoki mężczyzna, który skaleczył Aleksa czubkiem swego rapiera. Podczas gdy na pozostałych twarzach malowało się przede wszystkim zaciekanie, on miał surowo zaciśnięte usta i spoglądał z ponurą wrogością.

Instyktownie cofnął się dwa kroki, ale w tej samej chwili chwycono go i przewiązano oczy chustką. Poczował, jak kilka par rąk unosi go w powietrze, a potem rzuca na konia niczym worek owsa. Skrępowano mu też nogi w kostkach i obwiązano sznurem w pasie. Tylko cudem mógłby uwolnić się z tych wszystkich więzów.

Wisiał więc głową w dół i przeklinał swój los. Wszystko wskazywało na to, że zabiorą go do twierdzy Kerów. Zapowiadała się długa i wyjątkowo męcząca podróż.

Przez cztery lata, które spędził przykuty do wioseł, nauczył się znosić ból i inne dolegliwości z niewzruszoną, kamienną twarzą. Ale teraz narastał w nim gniew. Przede wszystkim wściekły był na samego siebie. Żaden Carey, będąc przy zdrowych zmysłach, nie zapuszczałby się w pojedynek pod szkocką granicę. Usprawiedliwiało go tylko to, że od dnia jego powrotu do domu Kerowie nie urządzili ani jednego napadu, i nie do końca jeszcze uświadomił sobie konieczność ustawicznej czujności.

Grzbiet koński uwierał go w brzuch, stopy i dłonie nabiegły krwią i zdrętwiały, poruszył się więc, by przyjąć wygodniejszą pozycję. Efekt jednak okazał się przeciwny zamierzonemu. Sznury jeszcze bardziej się zacisnęły i zaczęły wrzynać się w ciało.

Niewątpliwie porwano go dla okupu. W przeciwnym razie już by nie żył. Nie mógł też liczyć na jakieś względy i w ogóle ludzkie traktowanie. Kerowie obchodzili się z nim jak z bandytą, a nie angielskim szlachcicem. Nawet nie próbowali wziąć od niego słowa honoru, że nie podejmie próby ucieczki.

Gdyby nie czuł się tak paskudnie, śmiałyby się teraz w głos. Porywacze mieli się srodze rozczarować. Liczyli na złoto, które nigdy nie znajdzie się w ich posiadaniu. John z radością przyjmie wiadomość, że tak tanim kosztem, bo cudzymi rękami, pozbył się intruza, samozwańca. Odmowa. Johna będzie wszak oznaczała dla niego, Aleksa, wyrok śmierci. Cała wściekłość Kerów skupi się na nim i nawet nikt się nie dowie, gdzie został pochowany.

Chyba że uda mu się uciec.

Próbował skupić się na tej myśli. Intuicja podpowiadała mu, że jego największą nadzieją jest ta kobieta.

Istniała pewna sfera, w której czuł się w miarę pewny. Nim trafił na galery, zasłynął z miłosnych sukcesów na angielskim dworze. Nadine zmieniła to jego nastawienie. Już nie lubował się w krótkich miłostkach, w których z reguły chodzi jedynie o zmysły. Odzyskawszy wolność i zjawiwszy się w Londynie, zaskoczył wiele dam swoją chłodną rezerwą. Zaskoczył, ale tym bardziej zaciekał i zaostrzył ich apetyty.

Tak, ta kobieta była jego największą nadzieją. W związku z tym będzie musiał sięgnąć do swoich dawnych doświadczeń. Tamte podboje były dobrą szkołą, a myśl o uwiedzeniu tej Szkotki coraz bardziej mu

się podobała. Jeżeli można uwieść kamień. Bo sądząc z tych zimnych słów, którymi go zaszczyciła, tej kobiecie nie sposób było rozgrzać.

Elsbeth krążyła myślami wokół mężczyzny, z którym zetknęła ją twarda konieczność.

Wszystko do tej pory przebiegało zgodnie z planem, wszystko z wyjątkiem jej reakcji na tego człowieka, czego wciaż nie mogła zgłębić.

Miał oczy szare jak deszczowa chmura, a włosy czarne jak bezksiężycowa noc. Harmonijnie rzeźbiony tors i umięśnione ramiona świadczyły o nieprzeciętnej sile. Kiedy zaś został osaczony, powalony i spętany, bynajmniej nie ciskał się w ataku niepohamowanej furii. Odmianę swego losu przyjął na pozór z całkowitym spokojem. Owszem, zaryzykował próbę ucieczki i wówczas ona, Elsbeth, mogła podziwiać go w biegu. Sadził niczym jeleń i miał w sobie wdzięk tego śmigłego zwierzęcia.

Jego i Johna Careya musiały chyba wydać na świat inne matki. Różnili się aż do kontrastu. John miał błoniebieskie oczy, w których czaiło się okrucieństwo, i wąskie, bezkrwiste usta znamionujące słabość charakteru. Poza tym ubierał się śmiesznie, jak fanfaron.

Obaj jednak byli Careyami, upomniała się w duchu. Nikt z tego smoczego plemienia nie zasługuje na żadne względy. Więzień spalił jej dzierżawców, unieszczęśliwił wielu ludzi, zasłużył sobie na najsurowszą karę. Już to, że go nie zabili, było wystarczającym świadectwem ich wielkoduszności.

A może właśnie powinni byli go zabić? Ktoś tak dumny i arogancki może okazać się bardzo kłopotliwym jeńcem. Ten Carey łątwo się nie podda. Kto wie, czy po kilku dniach nie ucieknie.

Ciekawa była, jak długo trzeba będzie czekać na wypłacenie okupu. Życzyła sobie, by trwało to jak najkrócej. Dziś jeszcze pchnie posłańca, nakazując mu, by doręczył list przy świadkach, co zmusi Johna do działania. John był złym człowiekiem, lecz chyba nie na tyle, by pozwolić bratu umrzeć, tym bardziej, że ów brat miał potężnych protektorów na królewskim dworze.

Zaczęły dręczyć ją obawy i wątpliwości. Jeżeli żądana suma nie zostanie wypłacona, członkowie klanu zażądają głowy jeńca. Bądź co bądź, Careyowie mieli krew Kerów na rękach, za ich sprawą stała się sierotą. Spojrzała na przerzuconego przez koński grzbiet earla. Był obnażony do pasa i zapewne marzł. Rozkazała zabrać jego ubranie i zwrócić mu je, gdy tylko przybędą na miejsce. Nie chciała jego śmierci. Życzyła mu długiego życia. Coraz większym niesmakiem napełniał ją ów bezcelowy akt okrucieństwa, jakiego za jej zgodą dopuszczono się na bezbronny jeńcu.

Znała jednak swój klan i wiedziała, że nie wolno jej okazać cienia słabości. Tylko w ten sposób mogła zapewnić sobie lojalność członków klanu.

Wreszcie zza drzew wyłoniła się warowna wieża. Wjechali w obręb murów. Jeńca oswobodzono z więzów i ściągnięto z konia. Upadł na ziemię, co wywołało falę wesołości. Posypały się szyderstwa. On powoli

dźwignął się na kolana, po czym przyjął wyprostowaną postawę. Stał z dumnie uniesioną głową i nieodgadniwym wyrazem twarzy. Na prawym ramieniu znaczyła mu się duża blizna o poszarpanych brzegach. Strużka krwi sącząca się z niewielkiego draśnięcia na piersi zdążyła już zakrzepnąć. Ten Carey, chociaż upokorzony i obolały, wyglądał jak górski szczyt pośród pagórków.

Elsbeth oblała się rumieńcem.

- Wziąć go do celi! - rozkazała, bardzo się starając, żeby w jej głosie zabrzmiała pogarda.

Kiedy zniknął w drzwiach, poczuła się bardzo zmęczona. Zsiadła z konia i rzuciła wodze pachołkowi. Zatrzymała wzrok na czarnym, wręcz smolistym ogierze Careya. Szlachetne zwierzę rozgrzebywało ziemię przednim kopytem. Przeszacowała w myślach jego wartość i nieco pokrzepiona na duchu ruszyła w kierunku wieży.

W sieni natknęła się na Annie, gospodynię. Twarz sługi pałała ciekawością.

- Kapiel gotowa, panienko. Jest też pieczone kurczę, do którego nie zawadzi wypić trochę wina.

Elsbeth uśmiechnęła się. Zawsze mogła liczyć na swoją Annie.

- Widziałam, jak prowadzono earla na górę - ciągnęła gospodyni. - Urodny gaszek, trzeba rzec.

- Jak na Careya - dodała Elsbeth szorstko.

Annie zmrużyła oczy. Była na przyjacielskiej stopie ze swoją panią i bardzo dobrze ją znała. Wiedziała więc, że kiedy Elsbeth przyjmuje ów wyniosły wyraz twarzy, to lepiej zmienić temat.

- Przypominam o kąpieli.
- Najpierw muszę pchnąć człowieka z listem. Wolałabym, żeby Carey był tu jak najkrócej.

Annie zmarszczyła czoło.

- Nie wygląda mi na takiego, z którym można się nudzić.

- Tym bardziej obawiam się wymyślonych przez niego rozrywek.

- Czy panience coś jeszcze leży na sercu?

- Zgoła nic. Po prostu czuję się zmęczona. Ta noc w siodle dała mi się we znaki.

- Biedactwo. - Annie chciała jeszcze dodać, że kobiecie w tym wieku potrzebny jest mąż, lecz w końcu zdecydowała, że zachowa tę uwagę na inną okazję.

W świetlicy na dole Elsbeth zeszła się z Patrickiem i Ianem. Patrick właśnie umieścił więźnia w celi, Ian postawił strażę.

- Chciałabym jak najprędzej powiadomić tych zdradzieckich Anglików o naszych warunkach.

- Poczekałbym z tym dzień lub dwa - poradził Patrick. - Niech zaczną się niepokoić.

- Przednia myśl - rzucił Ian.

- Co z więźniem? - zapytała.

Oczy Patricka błyszczały zimnym światłem.

- Domagał się rozmowy z tobą. Zuchwałły łajdak.

Elsbeth ani myślała kontaktować się z Anglikiem. Zresztą po co? Nie miała mu nic do powiedzenia.

- Nie ucieknie?

- Mysz by nie uciekła.

- Zwróciłeś mu ubranie?

- Zwróciłem, ale najchętniej trzymałbym go nagiego.
- Pewnie też poskapiłbyś mu jedzenia i picia. Rzecz w tym, że z martwego Careya nie będziemy mieć żadnej korzyści.

- A jednak wolałbym widzieć go martwym - wyznał Patrick.

- Skąd u ciebie ta żądza krwi, kuzynie? - zapytał Ian.

- Nie jestem z tych, co przebaczą swym wrogom. Im mniej Careyów na świecie, tym spokojniejsi Kerowie.

Elsbeth ogarnęła wzrokiem kuzynów. Patrick chodził niespokojnie od ściany do ściany, Ian siedział na krześle w pozie znudzonego arystokraty. Dobrze, że miała ich obu. Byli tak różni, reprezentowali tak odmienne postawy i punkty widzenia, a przecież nie wiedziała, co by bez nich zrobiła.

- Kiedy więc? - zapytała, nawiązując do najważniejszej kwestii.

- Dwa dni powinny wystarczyć - odparł Ian. - Przez ten czas postaramy się poczynić niezbędne przygotowania.

Powoli kiwnęła głową. Potrzebowali czasu na wzmocnienie obrony. Należało liczyć się z odwetowym atakiem Careyów.

Wypełniały ją najsprzeczniesze uczucia. Poczuciu zwycięstwa towarzyszyło znużenie, a do tego dochodził lęk przed tym, co miało nastąpić. Ryzykowna gra rozpoczęła się. Nikt na razie nie wiedział, jaki będzie jej końcowy wynik.

Ruszyła na piętro do swojej komnaty. Rozebrała się i weszła do drewnianej wanny. Rozkosznie było zanurzyć się w ciepłej, lekko parującej wodzie. Myślami wciąż była przy więźniu. Próbowała wyobrazić go sobie i niezmiennie widziała go na tle zakratowanego okna. Spoglądał w dal na lasy i wzgórza i tęsknił za wolnością.

Po kąpieli zasiadła do posiłku. Prócz kurczęcia pojawiła się na stole również wołowina. Wino miało cierpki smak. Weszła Annie, ale jedno spojrzenie na dziedziczkę wystarczyło, by uznała za stosowne wycofać się bez słowa.

W końcu trzeba było zażyć trochę snu. Elsbeth położyła się, powieki jednak nie chciały się kleić. Powodem był Alexander Carey.

Alex rzucił się na wąski twardej siennik i zaczął analizować swoje położenie. Znajdował się w dość obszernej komnacie, pozbawionej wszak sprzętów. Kominek zionął czarnym, wychłodzonym otworem, a w oknie na tle nieba znaczyła się solidna krata. Jedyłą rzeczą, która mogłaby zastąpić broń, był cynowy nocnik. Nocnikiem tym jednak, owszem, dałoby się ubić kurczaka, lecz jego przydatność w walce z krępkim strażnikiem wydawała się bardzo wątpliwa.

Zdjęto mu z oczu opaskę dopiero po wprowadzeniu do tej izby, ale już wcześniej zorientował się, że wchodzi na szczyt jakiejś wieży. Zrobiono wszystko, aby zaniechał myśli o ucieczce. Nawet gdyby udało mu się wyrwać kratę, skok z okna równałby się samobój-

stwu. Poza tym wywiercona w drzwiach spora dziura umożliwiała strażnikom obserwowanie go dniem i nocą.

Poderwał się z posłania i zbliżył do drzwi. Ujrzał w otworze człowieka, który zagroził mu rapierem zaraz na początku porwania. Ten człowiek miał oczy zabójcy. Wyczuł, że jest obserwowany, i odwrócił głowę.

- Zadowolony z gniazda, angielski ptaszku? - zapytał z ironią.

- Bywało się w różnych miejscach - odparł Alex, starając się ważyć słowa. - Były wśród nich lepsze od tego, były również gorsze.

Do tych gorszych, zaiste, zaliczało się śródokręcie francuskiej galery. Ale oni nie musieli o tym wiedzieć. Tamten splunął.

- Ty bękarci pomioście Careyów!

Alex wziął głęboki oddech i rozluźnił mięśnie. Spokój. W takich sytuacjach najlepszy jest spokój. Z odpowiedzią poczeka na właściwy moment.

- Chciałbym porozmawiać z twoją panią, sir.

Zabrzmiało to niczym rozkaz i Patrick aż zgrzytnął zębami.

- Moja pani nie zagląda do psiarni i nie rozmawia z psami.

- Szkoda - rzekł Alex miękkiem, dziwnie łagodnym głosem. - Proszę o rozmowę z nią w trosce również o jej dobro.

- Odważnie szczekasz jak na kogoś w twoim położeniu.

- A jakie jest to moje położenie?

- Jeszcze się nie domyśliłeś? Chcemy zobaczyć, ile jesteś wart dla Johna.

Alex błysnął w uśmiechu białymi zębami.

- Byłbym wdzięczny za przekazanie dziedzicze mej prośby o posłuchanie.

- Wdzięczny? Mam gdzieś wdzięczność Careya. - Szkot odwrócił się plecami do drzwi.

- Czy mógłbym dostać kubek wody?

Patrick zawahał się. Tej prośbie więźnia nie mógł odmówić. Elsbeth wyraźnie powiedziała, że Carey nie może cierpieć pod jej dachem głodu, chłodu i pragnienia.

- Dobrze - warknął. - Jeśli nie będziesz już więcej obracał tym swoim angielskim jęzorem.

Alex uważniej przypatrzył się mężczyźnie. Był wysoki i barczysty. Wyglądał na niebezpiecznego. Poza tym trudno było przejrzeć jego myśli.

- Jak cię zowią, sir?

Patrick obruszył się.

- Należę do klanu Kerów. To powinno ci wystarczyć.

Alex zamyślił się. Wiedział, że lady Elsbeth żyje wciąż w panińskim stanie i że nawet nie jest zaręczona. Ten opryskliwy, ponury mężczyzna nie mógł być również jej bratem, gdyż nie miała rodzeństwa. Kimże więc był dla niej? Dalekim krewnym? Pretendentem do jej ręki? Zdziwiło go, że zadaje sobie te wszystkie pytania.

Wrócił wysłany po wodę strażnik. Nim jednak dzban wniesiono do celi, kazano Aleksowi podejść do prze-

ciwległej ściany i stanąć do niej twarzą. Pomyślano więc o wszystkich środkach ostrożności. Nie dawano mu praktycznie żadnych szans.

Woda była chłodna i wspaniale gasiła pragnienie. Pił wolno, małymi łykami. Przywykły do oszczędzania wody na francuskiej galerze, postanowił wrócić do tamtego zwyczaju. Mądre gospodarowanie mogło mu się opłacić. Nie wiedział, kiedy ponownie napełnią mu dzban.

Postanowił uporządkować wydarzenia dzisiejszego dnia. Pogrzyżył się w myślach. Nagle uświadomił sobie, że Kerowie jakoś przecież musieli się dowiedzieć o jego porannych kąpielach w jeziorze. Kto im o tym doniósł? Niewiele osób znało cel jego codziennych wyjazdów z twierdzy o wschodzie słońca, a do końca wtajemniczona w to była tylko jedna osoba. John.

Okup. Alex uśmiechnął się z goryczą. Okupu Kerowie nigdy się nie doczekają. To z kolei oznaczało dla niego wyrok śmierci.

Serca zamieszkujących tę wieżę osób przepełniała nienawiść do Careyów. Praktycznie nie było żadnych szans na ugodę.

Ale był jeszcze Garrick.

I lord protektor, jeśli dotarłaby do niego wieść o jego, Aleksa, porwaniu i uwięzieniu. Bo o ile znał Johna, jego brat najpierw porwie list z żądaniem okupu, a potem całą winę za zamordowanie starszego brata zrzuci na Kerów, by pod tym pretekstem pustoszyć i wyludniać ich ziemie.

Dobry Boże, ta kobieta musi go wysłuchać!

Poczęło ubywać światła. Kończył się dzień i nadcho-

dziła noc. Alex ciekaw był, czy Davey Garrick już zaczął go szukać.

O zmierzchu przyniesiono mu wieczerzę. Jadł chciwie, wiedząc, że musi dbać o tężyznę fizyczną. Noc zapowiadała się zimna. Na szczęście zwrócono mu ubranie i nie poskapiono derek.

Zasnął z mocnym postanowieniem wymuszenia na Elsbeth Ker spotkania i rozmowy.



Znów była ciemna noc i znów na pustym gościńcu spotkało się dwóch mężczyzn. Nie ufali sobie i każdy swój ruch śledzili podejrzliwym okiem.

- Ma być zabity - rzekł jadący po prawej.
- Lady Ker nie wyrazi zgody. Nie zdołam jej przekonać. Liczy na okup.
- Nie będzie żadnego okupu.
- A jeśli dwór angielski się dowie, że pośrednio skazałeś na śmierć pieszczoszka tamtejszych dam?

Anglik zaklął.

- Nie radziłbym intrygować za moimi plecami!
- Nie radziłbym straszyć mnie groźbą użycia siły!

Mierzyli się wzrokiem jak dwa rozjuszone odyńce. Uświadamiali sobie, że znaleźli się w pułapce. Wedle planu Alex miał zostać zabity. Porwanie go stworzyło całkiem nową sytuację.

Szkot wiedział, że spiskując z tym angielskim psem, stąpa po grząskim gruncie. Chciał zostać głową klanu i żeby osiągnąć ten cel, gotów był wejść w konszachty nawet z samym diabłem. Diabeł już zresztą dobierał mu się do skóry. Zdradził starego dziedzica, licząc, że przyspieszy tym swój ożenek z jego córką. Laird był mięk-

ki, pragnął pokoju, natomiast tylko w bitwach klan Kerów mógł odzyskać dawną świetność. Zajazdy i napady w przygranicznym obszarze uświęcone były wielowiekową tradycją. Tak, musiał stanąć na czele klanu, choćby droga ku temu była stroma i kamienista.

- Nikt nie może się dowiedzieć o waszym żądaniu okupu - rzekł Anglik.

- Oto pretekst do wymordowania wszystkich Kerów - powiedział Szkot, jakby głośno myśląc.

- Pewnego dnia to zrobię, ale dziś wpadliśmy obaj do głębokiego dołu i musimy się z niego jakoś wygrzebać.

- I mam ufać człowiekowi, który zdradził własnego brata.

- Tak jak ty zdradziłeś starego dziedzica.

Zacisnęli dłonie na rękojeściach swych mieczy. Dyszeli, każdy ogarnięty żądzą rozsiekania tego drugiego na drobne kawałki. Pierwszy opanował się Anglik. Po prostu miał więcej do stracenia.

- Gdyby mojemu bratu udało się uciec...

- Wówczas mógłby zostać zabity gdzieś w lesie - Szkot podchwycił myśl.

- Lub utonąć w jakimś strumieniu.

- Co może nie być łatwe, zważywszy, jak dobry to pływak.

Anglik wzruszył ramionami.

- Są różne sposoby wysyłania ludzi na tamten świat. Znam ścieżkę, którą na pewno będzie jechał. Mógłbym urządzić tam na niego zasadzkę.

- A co z posłańcem, który wyruszy z listem?

- Też musi zginąć.
- Może być ich dwóch lub trzech. To moi ludzie!

Zapanowała cisza. W końcu Szkot kiwnął głową. Naprawdę nie miał wyboru.

- Gdy okup nie zostanie wypłacony, a więzień ucieknie - rzekł Anglik - członkowie twojego klanu zaczęną pytać o przyczyny tych wszystkich niepowodzeń. Kto wie, czy nie zażądają, ażeby lady wzięła sobie męża. Wtedy będziesz mógł się oświadczyć - zakończył z lekkim szyderstwem.

Mówił co innego, a myślał co innego. Porwanie i uwięzienie Aleksa chciał wykorzystać jako pretekst do wojny z Kerami. Musiał pozbyć się świadków, którzy mogliby zdradzić przed światem jego knowania. A przede wszystkim tego Szkota.

Tymczasem ten Szkot dobrze wiedział, co zamierza John Carey, i miał swoje własne plany. Znał ścieżkę, o której wspomniał mu Anglik. Kiedy już John dokona bratobójstwa, on zasadzi się na zabójcę i wymierzy mu karę, na jaką tamten kilkakroć już zasłużył. W ten sposób pozbędzie się świadka tego szczególnego przymierza.

- A zatem postanowione.
- Postanowione - potwierdził Anglik.

I nie podając sobie rąk, rozjechali się w przeciwnych kierunkach.

Niech to wszystko piekło pochłonie!

Elsbeth miotała się w gniewie po swojej komnacie. Wysłała już trzech posłańców z żądaniem okupu i żaden z nich nie powrócił.

Mogło być tylko jedno wytłumaczenie. Careyowie uwięzili ich lub pozbawili życia. A to z kolei oznaczało, że odmawiali zgody na jakiegokolwiek pertraktacje.

Żywiła więc więźnia, którego handlowa wartość spadła do zera. Należało się spodziewać, że klan zażąda niebawem jego głowy. Już mówiono, że najlepiej byłoby go powiesić. Careyowie zaczęli krwawe zapasy, zabili jej ojca i odwet był sprawą honoru. Tymczasem ona, Elsbeth, była jak najdalsza od zabijania. Wszystko w niej buntowało się przeciwko czemuś takiemu. Czy jednak zdoła przeciwstawić się zbiorowej woli?

Alexander Carey już od tygodnia był jej więźniem i każdego dnia zabiegał o widzenie się z nią. Konsekwentnie odmawiała, lękając się z jakiegoś powodu tej rozmowy. Prześladowały ją szare oczy Careya. Widziała je na jawie i w snach. Co to wszystko mogło oznaczać? Tak czy inaczej, doświadczała czegoś nowego. Wypełniała ją jakaś nieokreślona tęsknota, ciało, bywało, zalewały fale rozkosznego gorąca. Szczególnie męczące były pod tym względem noce. Zamiast spać, oddawała się marzeniom, nie wiedząc nawet, o czym marzy.

A teraz stanęła przed koniecznością zdecydowania o losie więźnia.

Patrick, czemu nie można było się dziwić, aż dyszał żądzą wbicia swego miecza w serce Anglika. Ian radził grać na zwłokę i zalecał cierpliwość.

Obu tego wieczora nie było w twierdzy. Jeden wyjechał na polowanie, drugi formować oddziały na wypadek poważniejszego konfliktu. Reszta domowników

udała się na spoczynek. W wieży prócz niej i Annie mieszkały jeszcze tylko dwie kobiety - matka Patricka Joan oraz jedna z jej kuzynek, Louisa. Elsbeth lubiła Louise, nieśmiałe i osieroczone dziewczątko, natomiast ambitnej matki Patricka wręcz nie znosiła.

Wzięła z półki książkę i próbowała skupić się na lekturze. Jej ojcu udało się zgromadzić sporą bibliotekę. Na tle innych baronów, zazwyczaj niepiśmiennych i zajętych jedynie wojaczką, stary dziedzic był chlubnym wyjątkiem. Znał łacinę i nauczył córkę tego języka. Książka, którą trzymała w dłoniach, napisana była właśnie po łacinie. Ale rozumiejąc słowa, Elsbeth nie rozumiała zdań. Myślamy była gdzie indziej.

Alexander Carey codziennie zarzucał ją przez strażników prośbami o udzielenie posłuchania. Właściwie to winna mu była taką rozmowę. Bądź co bądź, ważył się w tych dniach jego los.

Dobrze, że Patrick i Ian byli nieobecni. W przeciwnym wypadku musiałyby rozmawiać z więźniem, mając ich u swego boku. W rezultacie rozmowa mogłaby się przerodzić w wymianę oskarżeń przetykanych groźbami i przekleństwami. Z drugiej jednak strony obowiązkiem jej było pamiętać, że earl Huntington jest niebezpiecznym człowiekiem. Co będzie, jeśli rzuci się na nią i grożąc jej śmiercią, zażąda konia i otwarcia bramy? Musiała jednak zaryzykować. Nie liczyła na obecność strażników. Chciała dowiedzieć się o nim czegoś więcej, a mogła osiągnąć to tylko w swobodnej rozmowie bez świadków.

Rozkazała przyprowadzić więźnia. Postanowiła, że

przyjmie go w reprezentacyjnej komnacie na dole. Czekając, chodziła tam i z powrotem. Zastanawiała się, co ją właściwie skłoniło do podjęcia tej decyzji. Ciekawość? Pragnienie przeżycia jakiejś niespodzianki? A jeśli okaże się, że Carey jest tylko nędznym łajdakiem, za jakiego zresztą zawsze go miała? Wówczas wyrzuci go z myśli i przekaże Patrickowi.

Na korytarzu dały się słyszeć ciężkie kroki. Drzwi otworzyły się i wprowadzono więźnia. Miał skrępowane ręce i przewiązane chustką oczy. Zapamiętała go takim, jakim po raz ostatni widziała przed tygodniem na dziedzińcu - czyli obnażonym do pasa. Widząc go więc teraz w koszuli i skórzanym kaftanie, zdumiała się. Dziwne, ale w tym jej zdumieniu było też sporo rozczarowania.

- A teraz zdejmijcie mu opaskę i poczekajcie na korytarzu przed drzwiami - zwróciła się do strażników.

- Czy nie lepiej byłoby... - zaczął rudobrody olbrzym.

- Na korytarzu - powtórzyła głosem nie znoszącym sprzeciwu.

Na twarzach strażników odmalował się niepokój. Posłuchali rozkazu, ale widać było, że nie podoba im się lekkomyślność lady Elsbeth.

Alexander Carey rozejrzał się po komnacie. Zobaczył świece w lichtarzach i kominek, na którym trzaskały płonące polana. W kącie stała szafa biblioteczna, wypełniona kosztownie oprawionymi książkami, a na długim dębowym stole flaszka wina oraz taca z kielichami.

Złożył dworny, lecz pełen chłodnego dystansu ukłon. Przez tydzień ignorowano jego prośby o widzenie się z lady Ker. Był to ewidentny dowód pogardy. Nic jeszcze nie wiedział o okupie, zauważył tylko, że z dnia na dzień strażnicy odnoszą się do niego coraz bardziej grubiańsko. Domyślał się, że John odmówił wypłacenia pieniędzy. I bynajmniej nie był tym zaskoczony.

- Chciałaś się ze mną widzieć, pani - rzekł głosem, w którym dawało się wyczuć urazę.

- Jest akurat odwrotnie. To ty, panie, od wielu dni żebrzesz o rozmowę ze mną, a ja, wiedząc, że niebawem zostaniesz wydany w ręce kata, postanowiłam spełnić to twoje życzenie.

- A zatem nie otrzymaliście okupu - powiedział, a jego chmurne oczy jeszcze bardziej poszarzały.

- Nikomu, jak widać, nie zależy na twoim życiu, Angliku. Nawet twoim najbliższym krewnym.

Kąciki jego ust drgnęły w uśmiechu. Był w nim jakiś bezmierny smutek, który zaraz zniknął za maską arogancji. Znów stał przed nią na poły ironiczny, na poły dumny Carey, którego rodzina zabiła jej ojca i od pokoleń dawała się we znaki jej klanowi.

Ale on sam nie wyglądał na mordercę czy zbójca. Miał pochmurne oczy, ale nie było w nich śladu okrucieństwa. Miał mocno zarysowaną brodę i wyraziste usta, ale nie była to broda i usta człowieka bezlitosnego. Coś mówiło Elsbeth, że w żadnym wypadku nie powinna utożsamiać go z jego bratem.

Podeszła do stołu i nalała sobie wina. Wypiła duszkiem.

- Co właściwie chcesz mi powiedzieć, Angliku? - starała się mówić z lekkim znudzeniem.

- Chcę cię ostrzec, pani - odparł bez namysłu.

Otworzyła szerzej oczy. Nie spodziewała się takiej odpowiedzi.

- Ostrzec? Przed kim? Przed Careyami?

- Konkretnie przed moim bratem. Podejrzewam, że z radością przyjął wieść o moim porwaniu. A już na pewno nie uronił ani jednej łzy. Myślę, że w tej chwili szykuje się do walnej rozprawy z tobą i wszystkimi Kerami.

- Czyżby leżał ci na sercu los Kerów?

- Dwór pragnie pokoju na granicy.

Wybuchnęła krótkim, gorzkim śmiechem.

- I tenże dwór przyryka oczy na napaść Careyów na moich dzierżawców!

Pokręcił głową.

- Nie masz szans na wygraną tej wojny, pani. Mój brat nie zapłaci okupu. A kiedy dwór dowie się o mojej śmierci, przyśle tu zaciężne wojska, które nie będą oszczędzać twoich włości.

- Jesteś aż tak ważną osobą, Angliku?

- Bynajmniej - odparł z powagą w głosie. - Ale książe Northumberland nie chce niepokoju na tej granicy. Moją śmierć potraktuje jako pretekst do inwazji. Pójdzie śladem Somerseta.

- Wtedy Szkoci chwycą za broń.

- I wielu z nich polegnie. Czy tego właśnie pragniesz, pani?

- Pragnę, żeby Careyowie zapłacili za śmierć mego ojca.

Stała z uniesioną głową, dumna i wyzywająca. Jednakże Aleksowi wydała się przede wszystkim piękna. Przeklinał sznury krępujące mu ręce. Och, z jaką rozkoszą objąłby ją i pocałował.

- Nie zapłacą tak długo, jak długo będziesz mnie więziła.

- Skoro żałują złota, to zapłacą krwią.

- I znowu krew Careyów zmiesza się z krwią Kerów. Chcesz, żeby te krwawe żniwa trwały tu bez końca?

Pytanie zabrzmiało dramatycznie. Ale w głosie więźnia wyczuwało się również znużenie i zawód.

- Nie wyobrażam sobie ułożenia stosunków z Careyami na podstawie jakiejś umowy. Do tego bowiem potrzeba choć trochę zaufania i dobrej woli. Natomiast w uczciwej walce sprostamy każdemu.

- Liczysz na uczciwą walkę z moim bratem? Na pewno już rozesłał wici do wszystkich okolicznych baronów i namawia ich do wojny z tobą, pani.

- W takim razie co proponujesz, Angliku? Żebyś pozwoliła ci odejść i naraziła tym Kerów na powszechną wzgardę?

- Pozwól mi uciec - rzucił tak lekko, jakby chodziło tu o przechadzkę przed udaniem się na spoczynek.

Zdumienie odebrało jej mowę.

- Chyba jesteś szalony! - wykrzyknęła po chwili, nalewając sobie drżącą ręką kielich wina.

- I oczywiście nie przetniesz mi więzów, nawet gdybym dał słowo, że nie ucieknę?

Zmieszała się. Sprawiał to dziwny ton jego głosu.

- Na pewno jesteście szalony.
- Być może. - Uśmiechnął się. - Bardzo lubię wino.

Cofnęła się o krok. Ogień płonący na kominku ogrzewał komnatę, lecz ona czuła tylko to ciepło, którym promieniował ten dziwnie urokliwy Anglik.

Zatrwożona własną reakcją, ruszyła ku drzwiom.

- Jeśli to wszystko, co masz mi do powiedzenia...

- Bynajmniej, pani - przerwał jej surowym głosem. Znow miał powagę na twarzy, a w oczach burzowe chmury.

Wróciła na swoje poprzednie miejsce.

- Mów zatem.

- Jaką wiadomość przesłał mój brat?

- Nie przesłał żadnej. Pchnęłam trzech umyślonych, ale przepadli bez śladu. Jeśli zostali zabici, to mamy dodatkowe powody, by skazać cię na śmierć.

- Podejrzewam, że nawet nie dotarli na miejsce.

Uniosła brwi, nie rozumiejąc sensu tych słów. Patrzyła teraz na wpół pytającym, na wpół podejrzliwym spojrzeniem.

- Czy o porwaniu mnie wiedział ktoś spoza klanu?

Do czego zmierza ten Anglik?

- O ile wiem, to nie - odparła po chwili zastanowienia.

- Zakładając więc, że posłańcy nie dotarli do Huntington, nikt nie będzie wiedział, że mój brat odmówił zapłacenia okupu.

Elsbeth poczuła, że krew odpływa jej z policzków. Anglik dał jej właśnie do zrozumienia, że w jej klanie jest zdrajca.

- Nie - szepnęła.

Podszedł do niej na odległość dwóch kroków.

- Zapewniam cię, pani, że ci posłańcy musieli zginąć. Leżało to zarówno w interesie Johna, który nie chce przedstawić się światu jako wyrodny brat, jak i w interesie kogoś z klanu, kto chce mojej śmierci.

- Nie rozumiem.

- Raczej nie chcesz zrozumieć.

- Pośród nas nie ma zdrajcy!

- Zdrada to choroba, którą każdy się może zarazić.

Mój brat zdradził.

- Wy jesteście Anglikami - powiedziała, jakby to wyjaśniało wszystko.

Uśmiechnął się.

- Twoim zdaniem, pani, Szkoci nie zdradzają. Radościłbym więc przypomnieć sobie historię, również tę najbliższą. O to tylko proszę.

- Prosisz o znacznie więcej.

- Chcę pokoju - rzekł z wyraźnym znużeniem w głosie i na twarzy. - Chcę mieć dorodne bydło, zawsze obsiane pola i szczęśliwych dzierżawców.

- Chcesz bydła Kerów, pól Kerów i trupów Kerów - rzuciła gwałtownie, próbując otrząsnąć się z magicznego wpływu jego słów, jego oczu i jego oblicza. Miała już dość tych kłamstw.

Podeszła do drzwi i wyjrzała na korytarz.

- Możecie już zabrać tego angielskiego psa.

Ale gdy dwie pary rąk wyciągnęły się po niego, gwałtownie się cofnął.

- Czy ten angielski pies może prosić o odrobinę

światła w swej budzie? - spytał z cieniem uśmiechu na wargach.

- A może jeszcze jakąś książkę? - rzuciła sarkastycznie, z góry wykluczając, że umie czytać.

A jednak czekała ją niespodzianka.

- Byłbym wdzięczny.

- A zatem potrafisz czytać?

- Tak, pani. Potrafię czytać, oddychać, smucić się i śmiać.

Zagryzła dolną wargę. Wymykał się jej jak piskorz. Kpił sobie z niej, ale też kpił z samego siebie. A przecież wyczuwała w nim przy tym dużo wewnętrznej powagi.

- Rozważę twoją prośbę, Angliku.

- A czy mógłbym dorzucić do niej kolejną i, przyrzekam, ostatnią?

- O co chodzi? - spytała niecierpliwie.

- Z wielką chęcią napiłbym się wina.

- Zabierzcie go - krzyknęła do strażników - bo powieszę go własnymi rękami!

Był pod wrażeniem jej urody.

Przez cały tydzień myślał o niej i zadawał sobie pytanie, czy tam nad jeziorem czasami nie uległ czarownemu złudzeniu. Zanim wtedy zawiązano mu oczy, dostrzegł w jednej krótkiej chwili skończoną piękność, promieniującą ciepłymi barwami. Obawiał się, że w swym odosobnieniu wyidealizował tamten obraz, czyniąc ze zwykłej kobiety boginię. Ale nie. Wyobraźnia nie musiała tu niczego dodawać, gdyż

sama rzeczywistość przechodziła wszelkie oczekiwania.

Roztarł nadgarstki, na których znaczyły się głębokie ślady po rzemieniu, i podszedł do okna. W lesie w pobliżu granicy płonęły ogniska Kerów. Klan czuwał, spodziewając się ataku od południa. On, Alex, nie miał najmniejszego wyobrażenia ani o liczebności Szkotów, ani o obronności twierdzy. Postarano się o to, żeby mógł dostrzec jak najmniej.

Na niebie to pojawiał się, to niknął sierp księżyca, aż wreszcie przesłonięty został jednolitą powalą chmur. Alex odszedł od okna i rzucił się na siennik. Wrócił myślami do kobiety, która trzymała w rękach nici jego losu. Pod każdym względem wydawała mu się fascynująca.

Tak, lady Elsbeth objawiła się jako osoba o żywym umyśle. W lot chwytła sens jego słów, jakkolwiek wyraźnie nie chciała przyjąć jego interpretacji wydarzeń. Ważne jednak, że wysłuchiwała go. Wolno mu było uznać to za swój sukces.

Alex umiał czekać. Prędzej czy później stanie do rozprawy ze zradzieckim bratem. Kerowie byli tu stroną wyraźnie mniej winną. Wymierzali tylko swoją sprawiedliwość.

Gdyby tylko mógł uciec.

Wszystko zdawało się wskazywać, że ucieczka jest niemożliwa. Pilnowano go niczym więźnia stanu. Umieszczono na samym szczycie wieży w izbie z zakratowanym oknem. Dębowych drzwi zabezpieczonych sztabą strzegło dniem i nocą dwóch uzbrojonych

po zęby strażników. Schody wiodące w dół były wąskie i kręte, a w samej wieży roiło się od ludzi. Kto wie, ilu rozwścieczonych, płonących nienawiścią Kerów zastąpiłoby mu drogę, gdyby nawet jakimś cudem udało mu się zbiec na któreś z niższych pięter.

Jednak musiał spróbować. Jeśli okup nie zostanie wypłacony, lady Elsbeth znajdzie się w bardzo trudnym położeniu. Zdołał poznać ją już na tyle, że nie obawiał się wyroku śmierci z jej ust. Na ile jednak panowała nad swym klanem i potrafiła narzucić mu swą wolę? Nie ulegało bowiem najmniejszej wątpliwości, że ma pod sobą ludzi żadnych krwi. Aleksowi wystarczyło jedynie przypomnieć sobie te wszystkie nienawistne spojrzenia, które zdążył zaobserwować przez tydzień swojego tu pobytu.

Teraz miał tylko nadzieję, że ziarno, które zasiał w umyśle lady Elsbeth, zakiełkuje i wyda plon. Niechaj będzie świadoma zdrajcy w swym najbliższym otoczeniu. Niech zacznie zadawać sobie pytania. Niech z nieprzyjaciółki zmieni się w jego sojuszniczkę.

Była pierwszą kobietą, którą zainteresował się po utracie Nadine, Nadine o czystej, spokojnej urodzie i wielkim sercu. Szanował ją, kochał i długo opłakiwał jej śmierć w męczarniach. Teraz część tamtych doznań zaczynała jakby powracać, choć spowodowała to całkiem inna kobieta - władcza, płomienna i bardzo zmysłowa. Toteż czuł, jak burzy mu się krew, a serce bije jak po walce. Budził się w nim mężczyzna.

Roześmiał się w duchu. Przywykł dawać odpór nawet najsroższym ciosom losu i żaden szczyt nie był

dlań nie do zdobycia. Ale zdobycie tej kobiety wydawało się niepodobieństwem. Rozciągała się między nimi przepaść wielowiekowej rodowej nienawiści. Tylko szalencieś mógłby próbować ją przeskoczyć.

Chyba że dobry Bóg użyczy mu skrzydeł.

Elsbeth wpatrywała się w ogień płonący na kominku.

Alexander Carey, earl Huntington, objawił się jej jako zagadka, której nie rozumiała. A przecież od dziecka celowała w rozwiązywanie najprzeróżniejszych zagadek.

Jego zmienny nastrój, jego pomysły, sugestie i żądania oszołomiły ją. Choćby ten zwariowany pomysł, żeby pomogła mu w ucieczce. Albo ta bezczelna uwaga, że w jej otoczeniu jest judasz.

Prawdopodobnie chciał zasiać w jej duszy niepokój. Podejrzliwość osłabia wolę i właśnie słabą chciał ją widzieć ów przebrzydły Carey. Wystąpił przed nią w roli kusiciela i o mało co nie dopiął swego. Niech go piekło pochłonie!

W prostym przyodziewku, z tygodniowym zarostem na policzkach i zmierzwionymi włosami wyglądał bardziej jak bandyta niż angielski szlachcic. A jednak jego sposób bycia zdradzał szlachectwo. Poza tym miał w sobie sporo uroku i to właśnie było bodaj najbardziej niebezpieczne.

Urok zmieszany z drwiną i arogancją, tak mogłaby najkrócej określić jego zachowanie. Tylko na chwilę stał się inny: kiedy przedstawiał jej swoją wizję pokoju na granicy. Wtedy w jego głosie pojawiła się tęsknota,

a w szarych oczach łagodna melancholia. Nie bronił się też przed zarzutem, że osobiście kierował ostatnim najazdem, jakkolwiek dobrze wiedziała, że nie miał z nim nic wspólnego.

Był jak ta pograniczna ziemia, piękna, lecz niebezpieczna dla tych, którzy nie znali jej dróg i ścieżek.

Zaiste, po rozmowie z nim czuła się całkiem inną osobą. Przepęłniał ją niepokój i jakaś żałość chwytąca za serce. Rozpoczęła coś, czego lepiej było w ogóle nie zaczynać. Teraz nic już nie będzie tak jak dawniej.

Elsbeth wciąż miała w pamięci słowa więźnia. Ale im dłużej zgłębiała sens oskarżenia, tym większy był jej gniew. Nigdy nie miała powodu wątpić w lojalność członków klanu. Jej ojciec też nigdy jej nie wspomniał o przypadku zdrady. Swoje oskarżenie Alexander Carey musiał wyssać z palca. Toteż zapłaci jej za to.

Patrick i Ian dowiedzieli się o spotkaniu zaraz po powrocie i każdy na swój sposób wyraził swoje niezadowolone. Nieco złagodnieli słysząc, że zachowane zostały wszelkie niezbędne środki ostrożności.

- Czy waszym zdaniem, kuzyni, nie wolno mi spotykać się z więźniem w cztery oczy? - dopytywała się Elsbeth, wyzywająco unosząc brwi.

- Ależ nikt tego prawa nie może ci odmówić, miła kuzynko - odparł Ian ugodowo. - Pytanie tylko, czy to było mądre posunięcie.

- Pertraktujemy z naszym wrogiem o okup, a ja do tej pory nawet nie wiedziałam, za kogo ten okup chcemy uzyskać.

- Jak zatem oceniłaś swego gościa?

Nie miała gotowej odpowiedzi. Naprawdę nie wiedziała, co sądzić o Careyu.

- Wygląda jak każdy Anglik, a wiemy, co to za zdraдлиwe plemię. - Te słowa nie odbiły się echem prawdy w jej sercu. - Zmieniła temat. - Czy wciąż żadnych wieści o posłańcach?

Ian przestał się uśmiechać.

- Robin i Will przepadli jak kamień w wodę. Podobnie Adam. A byli to jedni z najpewniejszych i najrzetelniejszych.

- Cara jeszcze o niczym nie wie - wtrącił Patrick. - Muszę się zebrać i powiadomić ją, tylko jak to zrobić?

Elsbeth zacisnęła wargi. Cara była córką Robina, a przy tym najśłodsza i najładniejsza dziewczyną pod słońcem.

- Cara nie może pozostać bez opieki. Niech przenie się do wieży. Annie zajmie się nią. Boleję tylko nad tym, że opłacam tak nędznie swych ludzi.

- Musimy wydrzeć pieniądze z gardła tym angielskim psom - powiedział z mocą Patrick.

Elsbeth zmierzyła go uważnym spojrzeniem.

- Ktoś i tak zapłaci - powiedziała miękko.

- Nasz szanowny więzień? - zapytał.

- Być może - odparła. - Choć poszukałabym raczej prawdziwego mordercy.

- Tam go należy szukać. - Ian wskazał ręką ku południowej stronie.

- A co z tym angielskim kogucikiem? - dopytywał się Patrick. - Nie możemy go trzymać w nieskończoność.

W oczach Elsbeth pojawiły się błyski.

- Nie? A to niby dlaczego?

Patrick zwilżył językiem wargi.

- Bo stwarza sobą zagrożenie. To oczywiste, że jego brat nie życzy sobie jego powrotu.

- I dlatego właśnie powinniśmy go trzymać. - Elsbeth podniecała się z każdym słowem. - W ten sposób wpędzimy Johna Careya w chorobę, która nazywa się niepewność. Dopóki jego brat żyje, nie zrobi żadnego ruchu, będzie jak sparaliżowany. Zabijając earla, sprawilibyśmy mu miły prezent.

Mężczyźni wlepili w nią oczy. O ile jednak Ian spoglądał z uśmiechem na pełnych wargach, o tyle Patrick swoim zwyczajem patrzył spode łba.

- Nie możemy go trzymać - Upierał się, lecz na jego twarzy pojawił się pierwszy ślad wątpliwości.

- Najważniejsze, żeby nie uciekł - powiedziała, puszczając mimo uszu słowa kuzyna.

Ian zachichotał.

- John Carey stanie przed nielichym problemem.

- Ma ochotę na tytuł, ale dopóki brat żyje, nie będzie mógł ogłosić się earlem Huntington - dodał Patrick.

- Ani poprowadzić ludzi na wyprawę - dorzucił Ian.

I spojrzeli na Elsbeth z nie skrywanym szacunkiem.

Alex liczył dni, wydrapując je na ścianie. Z liczby kresek wynikało, że minęły pełne dwa tygodnie. Uświadomił to sobie z pewnym bólem. Drogo płacił za przyjemność kąpieli w jeziorze.

Sam był sobie winien. Zachłystywał się świeżo odzyskaną wolnością, aż w końcu znów ją utracił. Rozkoszował się chłodną wodą jeziora, majestatem lasu, piękn-

nem wschodów słońca, by w jednej chwili zmienić to wszystko na cztery ściany celi i zakratowane okno. Tylko głupiec może pomylić pas ziemi między Anglią a Szkocją ze starożytną Arkadią.

Ta granica nigdy nie była spokojna i bezpieczna. Nawet w okresach pokoju nadgraniczni baronowie brali się za bary. Wycieczki na drugą stronę granicy, obojętnie, północną czy południową, były rodzajem sportu, obyczaju, religijnego obrządku, stylu życia i dobrej zabawy.

Alex miotał się po swej celi niczym lew w klatce. Był coraz bardziej niespokojny. Na galerze mógł przynajmniej zwalić się na koję i spać snem podobnym omdleniu. Noce w wieży spędzał na bezowocnych rozmyślaniach. Szukał sposobu wydostania się z potrzasku.

Myślał też o tej, która kazała go tu uwięzić. Rozmowa z lady Ker przed tygodniem niczego praktycznie nie zmieniła. Nadal otrzymywał dwa proste posiłki dziennie i nadal, zanim je wniesiono, kazano mu stawać twarzą do ściany. A najgorsze, że nie miał do kogo otworzyć ust.

Znajdował się też pod ustawiczną obserwacją. Sprawdzano chyba, czy nie wyfrunął. Och, gdyby tak naprawdę mógł przemienić się w ptaka!

Podszedł do okna i spojrzął w niebo. Za taką możliwość powinien właściwie dziękować losowi. W ciągu lat spędzonych na galerze widział niebo tylko trzy razy. Zawsze przy okazji wrzucania do oceanu ciała zmarłego towarzysza niedoli.

Odzyskawszy wolność, wyrzucił tamte lata z pamięci. Były pasmem udręki i bólu, lepiej było o nich nie myśleć. Spoglądał teraz na blizny po kajdanach i te po uderzeniach batem nadzorcy i dziwił się, że są już prawie niewidoczne. Oto potęga czasu, który wszystko zacierał.

Czas zacierał również obraz Nadine. Dlaczego tak się działo? Czy życie było tylko przemijaniem?

Usłyszał hałas za drzwiami. Poczował na sobie przenikliwe spojrzenie. Nienawidził tych spojrzeń z ukrycia. Zabierały mu to, co najcenniejsze - poczucie prywatności. Potem drzwi otworzyły się i weszła ta kobieta.

Być może sprawiło to światło słoneczne wpadające do celi przez okno, a być może nagłe drgnięcie osamotnionej duszy, jakakolwiek zresztą była przyczyna, lady Ker objawiła się jego oczom jako nieziemski wręcz piękność.

Musiała być jednak realną istotą, gdyż jej ręce coś trzymały. Uśmiechnął się z wdzięcznością, po czym uwolnił ją od ciężaru. Teraz on trzymał świecę, krzesiwo, książkę i pękaty skórzany bukłak, wypełniony, domyślał się, winem. Przez chwilę sycił wzrok tymi skarbami, by następnie położyć je na posadzce przy sienniku.

- Pani, dziękuję z całego serca za te szczodre dary - rzekł, tym razem powstrzymując się od ironii.

Spoglądała nań z zaciekawieniem pomieszanim z nieufnością. Jakby zastanawiała się, czy grozi jej coś z jego strony. W końcu jednak podjęła decyzję i nakazała strażnikom, którzy weszli za nią do celi, wycofać się na schody.

- Nie obawiasz się mnie, pani? - spytał z lekką kpina.
- A czy powinnam?
- Gdy widzieliśmy się po raz ostatni, miałem skrępowane ręce.

Wzruszyła ramionami.

- Strażnicy dostali dokładne instrukcje. Wiedzą więc, że gdybyś rzucił się na mnie, Angliku, mają cię zabić bez względu na to, czy to zagrozi mojemu życiu.
- W takim razie mało je sobie cenisz - zauważył.
- Honor jest ważniejszy od życia.
- Też tak myślę.
- Cóż Carey może wiedzieć o honorze?
- Po co pytać, skoro się zna odpowiedź.
- Czasem pyta się z ciekawości.
- Angielski pies nie należy do ciekawych stworzeń.

Oblała się rumieńcem.

- Być może.

Oparł się o ścianę. Niedbała poza w najmniejszym stopniu nie odzwierciedlała stanu jego ducha. Nerwy miał napięte jak postronki.

- Czy już zdecydowałaś, pani, o mym losie?
- Obawiam się, że zabawisz tu dłużej.
- Och, czyżby akt łaski?
- Nie sędzę - odparła krótko, a jej usta ułożyły się mimowolnie do czarującego uśmiechu.

- Ponieważ Anglik nie zasługuje na łaskę, czy tak?
- Lekko się skłonił. - Lecz jeśli mimo wszystko powodowałaś się dobrocią, pani, postaram się na nią zasłużyć. Zechciej, proszę, rozgościć się w mojej skromnej izdebce.

Elsbeth przebiegła wzrokiem po nagich ścianach, zimnej kamiennej posadzce i chłopskim sienniku. Zabiło ją współczucie. Jak musi czuć się człowiek zamknięty w tej ponurej klatce? Jeśli o nią chodzi, to nie wytrzymałaby tu ani jednego dnia. Jej orzechowe oczy przyćmiła mgła melancholii.

- Czy rozważyłaś, pani, naszą rozmowę sprzed tygodnia?

Elsbeth ucieszyła się, że padło to pytanie.

- Mówiłeś dużo, ale raczej bez sensu.

- Z tego „raczej” wnioskuję, że jednak pewnym słowom dałaś wiarę.

- I owszem - przyznała. - Że na przykład twój brat chętnie widziałby cię na szubienicy.

- Coś jeszcze?

- Reszta to same wymysły, rzeczy wysane z palca, a wszystko po to, by zasiać zamęt w mej głowie, a niepokój w sercu.

Nic nie odpowiedział, nie bronił się, tylko głęboko spojrzał jej w oczy.

- Muszę już iść - rzuciła, ale stała nadal bez ruchu.

- Mam pewną prośbę.

- Co drugie twoje słowo, Angliku, to jakaś prośba.

Uśmiechnął się jak człowiek, którego nie dotyczą sprawy tego świata.

- Kto nie ma nic do dawania, ten zazwyczaj prosi.

- Prośbami można zanudzić na śmierć.

- Więc odroczenie wyroku zawdzięczam tobie, pani?

- Ostrzegam, moja cierpliwość się kończy.

Zrobił ku niej krok, potem następny, zaś Elsbeth musiała wezwać na pomoc całą swą wolę, by nie spuścić wzroku. Rósł przed nią na kształt strzelistej budowli - wysoki, barczysty i czarnowłosy. Ale największą grozę budziły jego oczy. Miały w sobie jakąś magiczną moc. Samym spojrzeniem mógłby jej rozkazywać, a ona byłaby mu posłuszna. I tego, nie zaś jego siły fizycznej, najbardziej się lękała.

- Jeśli spełnisz mą prośbę, będzie to z korzyścią dla nas obojga.

- Nie rozumiem.

- Chcesz okupu, a nie mojej śmierci, czy tak?

- Tak - odparła wolno. - Careyowie pozostawili po sobie zgliszcza. Żeby postawić nowe domostwa, potrzebne są pieniądze.

Spoglądał na nią z powagą. Widać było, że o czymś intensywnie myśli.

- Jest w Huntington pewien człowiek, nazywa się Davey Garrick. Jeśli mój brat nadal będzie milczał, można wysłać tego Garricka do Londynu, zaopatrzywszy go wpierw w listy ze stosownym wyjaśnieniem. Świadomy rzeczy lord protektor z pewnością będzie już umiał zmusić Johna do zapłacenia okupu.

Elsbeth kiwnęła głową. Bądź co bądź, oboje chcieli tego samego. On chciał odzyskać wolność, ona marzyła o pozbyciu się go.

- Czy coś jeszcze? - spytała.

- Proponowałbym, żebyś wybrała, pani, do tej misji najpewniejszą osobę i ją tylko wtajemniczyła w sprawę.

Targnął nią gniew. Po raz kolejny podawał w wątpliwość lojalność jej poddanych.

- Nie podobają mi się twoje sugestie, Angliku. Kerrom, w odróżnieniu od Careyów, obca jest zdrada.

- W takim razie udowodnij mi, pani, że się mylę.

- Nie muszę niczego udowadniać. Zapominasz, że jesteś moim więźniem i podlegasz mej woli.

- O niczym nie zapominam - zaprzeczył na pozór spokojnie, lecz w jego głosie można było usłyszeć niebezpieczne tony. - W pełni świadom jestem swojej sytuacji.

- Toteż radziłabym trzymać język na uwięzi.

- Język jest moją jedyną bronią.

- Żeby nie okazał się twoją największą słabością, Angliku.

- A czyż nie jest słabością zamykanie oczu na oczywiste fakty?

- Ufam moim ludziom. Nie potrzebuję ich sprawdzać.

Wpił się w nią swym niesamowitym spojrzeniem. Przypominał jej w tej chwili drapieznika czyhającego na ofiarę.

- Prosiłem tylko, by cała rzecz pozostała pomiędzy tobą, pani, a wybranym przez siebie człowiekiem.

- A jeśli on również zostanie zabity? A jeśli Davey Garrick jest duszą i ciałem oddany Johnowi?

- Cóż, bardzo trudno w tym świecie o absolutną pewność. Ale musisz, pani, zaryzykować. Wszak zależy ci na tym okupie.

Wyglądało to na wyzwanie. Spojrzała mu w oczy. W jednej chwili zrozumiała, że przejrzała ją do głębi.

- Przemyśle to - powiedziała, nie chcąc od razu ustępować na całej linii.

Aleksowi ledwie udało się powstrzymać uśmiech triumfu. Osiągnął cel. Jeśli pojedzie do Daveya, dowie się, że żaden z posłańców nie dotarł do Huntington. Fakt ten być może podważy jej ślepa wiarę w doskonałość Kerów.

Ale Elsbeth pragnęła mieć ostatnie słowo.

- To Careyowie zabili moich ludzi. Znani są z tego rodzaju praktyk.

Coraz trudniej było mu zachować spokój. Wszystko w nim wrzało. Oderwał się od ściany i postąpił naprzód. Nie zamierzał jej dotykać ani nawet skracać obowiązującego dystansu. Coś jednak pchnęło go ku niej. A może raczej coś go przyciągnęło. Była samą pokusą. Fascynowała i nęciła. Przyzywała go tą swoją rozognioną twarzą, rozplamionymi oczyma i rozchylonymi wargami. Och, z jakąż rozkoszą pocałowałby ją i otoczył ramionami jej gibką kibić. Zdumiała go siła tego pragnienia.

Zauważył, że Elsbeth drży. Zatem nie był jej całkiem obojętny. Na chwilę ich oczy spotkały się, po czym, spłoszone, jako że żadne z nich nie chciało wyznać zbyt wiele, umknęły na boki.

- Czy mogę wiedzieć, jak zginął stary dziedzic? - spytał zduszonym głosem.

Było to ryzykowne pytanie. A jednak musiał wiedzieć.

- Mój ojciec wybrał się na polowanie. Towarzyszyło mu czterech ludzi. Wpadli w zasadzkę i zostali wymor-

dowani. Tylko jednemu, choć był ciężko ranny, udało się dotrzeć do twierdzy z wieścią. Pomimo iż od razu zajął się nim medyk, skonał jeszcze tego samego dnia.

- A zatem to była zasadzka - rzekł Alex z taką miną, jakby już wszystko stało się dla niego jasne.

- Dwudziestu przeciwko pięciu - powiedziała z gniewem i goryczą.

- Skąd Careyowie mogli wiedzieć, gdzie zasadzić się na lairda?

Otworzyła szeroko oczy. Jak śmiał! Znów próbował zasiać w jej umyśle ziarno podejrzeń. Robił wszystko, by odwrócić jej uwagę od prawdziwych morderców, którymi byli jego ojciec i brat, i skupić na Kerach, ofiarach przemocy tamtych.

Ruszyła ku drzwiom. Zrozumiał, że posunął się za daleko.

- Zaczekaj, pani. Musimy zakończyć tę rozmowę.

I znów dała dowód słabości woli. Ale czuła się też słaba fizycznie. Nogi uginały się pod nią i z chęcią przysiadłaby na posłaniu.

Czekała ją niespodzianka. Alex nagle zmienił temat.

- Jak się powodzi mojemu koniowi? - zapytał.

- To już nie jest twój koń, Angliku.

- Obawiam się, że innym trudno będzie go dosiąść.

- Patrick dosiądzie każdego konia.

- Patrick? Czy to ten z czarnymi kędziorami?

Kiwnęła głową, dziwiąc się samej sobie, dlaczego odpowiada mu na te wszystkie pytania.

- Zdaje się, że ów Patrick nie przepada za mną.

- Jest moim kuzynem.

- Dowodzi w walce?
- On i Ian.
- Ian?
- Inny kuzyn - wyjaśniła cieplejszym tonem.
- I co oni zamierzają ze mną zrobić?
- To nieważne. Wszystkie *decyzje* są w moich rękach.

- Opowiedz mi, proszę, pani, o swoim ojcu.

Zdumiewająca prośba. Cóż mógł go obchodzić jej tragicznie zmarły ojciec? A jednak odpowiedziała bez chwili namysłu:

- Był uczonym człowiekiem. Miał dobre serce i odwagę lwa.

- Kochałaś go?

- Tak, bardzo.

Nagle opamiętała się. Ten łotr znowu to czynił. Chciał wyprowadzić ją z równowagi. Zaciemniał prawdę, by wieść ją krętymi korytarzami kłamstwa. Chciał doprowadzić ją do stanu, w którym nie będzie już mogła odróżnić wroga od przyjaciela. Kto zamordował podstępnie jej ojca jak nie Careyowie? A teraz jeden z nich pyta bezwstydnie, czy go kochała.

Uświadomiła sobie z przerażeniem, że oczy ma pełne łez. Już nie pamiętała, kiedy płakała po raz ostatni.

Odwróciła się ku drzwiom, tym razem z mocnym postanowieniem, że odejdzie i nigdy tu już nie wróci. Znow zatrzymał ją jego głos:

- Nie odchodź.

Tak mógł prosić tylko człowiek, któremu bardzo zależy na spełnieniu jego prośby.

Spojrzała na Careya. Stał napięty, jakby gotował się do skoku. Zauważyła też w nim coś, czego przedtem nie dostrzegła. Ślady cierpienia na twarzy. Musiał wiele przejść i były to bolesne doświadczenia. Przynajmniej takie teraz odnosiła wrażenie, patrząc na bruzdy w kącikach jego ust i zmarszczki wokół oczu. Tak, nie myliła się, była to twarz człowieka, któremu doskwiera samotność. Od śmierci ojca sama również czuła się osamotniona. Jej samotność rozpoczęła się z chwilą utraty bliskiej i kochanej osoby. Jego była innego rodzaju. Elsbeth przeczuwała, że ten Anglik niewiele doświadczył w życiu szczęścia i miłości. I ów brak, owa pustka położyła się cieniem na jego twarzy. Rzecz jasna, próbował go na różne sposoby rozjaśnić. Jak chociażby tym na poły kpiącym, na poły aroganckim uśmiechkiem, którego tak nie znosiła.

Czy jednak nie przesadzała z tym współczuciem dla Careya? Careyowie to plemię doświadczone w intrygach i zręczne w uwodzeniu. Kto wie, ile ten już spłodził bękartów. Nie było go tyle lat, bo pewnie uganiał się za dziewczkami.

Krzyknęła do strażników, by otworzyli drzwi. Na odgłos zamykanych i zabezpieczanych sztabą drzwi ścisnęło się jej serce. Odroczenie wyroku nigdy nie jest tym samym co uchylene wyroku. Członkowie klanu w każdej chwili mogli stracić cierpliwość. Kiedy ta chwila nadejdzie?

Tak, kiedy Alexander Carey zostanie wydany w ręce kata?

Dobry Boże, co go podkusiło?

„Nie odchodź"! Co za beznadziejnie głupie słowa w ustach więźnia. Zaraz ich pożałował, widząc, jak jej wzrok wyostreza się i staje badawczy. Ale czuł się taki samotny! Dni płynęły, a on nie miał do kogo się odezwać.

Po ośmiu latach nieobecności, w tym czterech prawdziwego koszmaru, spodziewał się serdecznego powitania w Huntington. Prędko zrozumiał, jak absurdalne były to nadzieje. Brat go nienawidził, żołnierze byli nieufni, a dzierżawcy zgorzkniali. Ale miał wielkie plany i właśnie one podtrzymywały go na duchu.

Dziś musiał przyjąć do wiadomości, że jego brat chce jego śmierci. Inni w Huntington pozostaną co najwyżej bierni. Może z wyjątkiem Daveya. Ale i to nie było pewne, bo miał własną przyszłość do wygrania.

Przytłaczała go myśl, że nie ma na świecie nikogo, komu zależałoby na jego życiu. To dlatego te chwile rozmowy z Elsbeth Ker wydały mu się tak cenne. Cenniejsze od złota. Elsbeth okazała mu pewną troskliwość. Nie wiedział tylko, czy płynęła ona z dobroci jej serca czy z zainteresowania jego osobą.

W pewnej chwili odniósł nawet wrażenie, że odnajduje w niej ciepło zrozumienia, które przekreślało jak gdyby tamte wieki rodowej nienawiści. Musiał przywołać na pomoc całą swoją wolę, żeby nie dotknąć jej, mimo iż odgadywał w niej to samo pragnienie. Obawiał się, że przestraszona ucieknie z celi, a nie chciał zostać sam. Dlatego wziął się w karby. Nie pierwszy zresztą raz. Taki już był ten jego los, że wciąż musiał wycofywać się w głąb samego siebie i poskramiać, jakby był równocześnie jeźdźcem i rozhukanym koniem.

Nawet z Nadine musiał zachowywać powściągliwość. Nie było to trudne, ponieważ zazwyczaj był z nimi jej ojciec, człowiek, którego Alex darzył głębokim szacunkiem. A Nadine, mimo że kochająca, nigdy nie okazywała mu prawdziwie miłosnej pasji. Całą namiętną stronę swej natury poświęciła religii i Bogu. Natomiast ta Szkotka była żywym ogniem, który grzał, nawet parzył. Zadawał sobie teraz pytanie, czy czasami jego miłość do Nadine nie była tylko mistycznym uwielbieniem czystego piękna i dobra.

Zaiste, miał teraz dużo czasu na myślenie. Przede wszystkim powinien skoncentrować się na swym celu, którym była wolność, a zaraz potem zemsta. Nie chciał być pionkiem w rękach innych, odwrotnie, sam chciał poruszać nimi po szachownicy życia. Jedną z figur będzie Elsbeth Ker. Przeznaczał jej rolę szachowej figury, gdyż z góry wykluczał jakiś głębszy związek. Dzieliło ich morze przelanej krwi.

Schylił się po książkę. Oprawna w miękką skórę, zdobiona była wewnątrz drzeworytami. Na jednym

z nich widniała Helena trojańska. Zadał sobie pytanie, jak Elsbeth Ker wyglądałaby w takiej zwiewnej chlamidzie.

Nazajutrz po wizycie Alexandra Careya Davey Garrick oczekiwał na wezwanie. Wieczorem wiedział już, że coś musiało się stać. Jakkolwiek ich przyjaźń ograniczała się do lat chłopięctwa i młodości, odnalazł w earlu wszystkie te cechy, które go niegdyś w nim tak pociągały.

Alex już na pierwszy rzut oka różnił się od innych lordów i baronów. Nie było w nim ani siadu pychy i arogancji. Jego sposób bycia charakteryzował się prostotą i życzliwością. Ojciec Daveya był kapitanem w wojsku starego earla, co go stawiało wyżej od dzierżawców, ale wciąż utrzymywało w grupie płatnych sług. William, najstarszy syn Careya, wynosił się ponad swoich rówieśników, tyranizował ich i gnębił. Gdy razu pewnego Davey zbuntował się i rąbnął pięścią młodego dziedzica, stary earl osobiście go wychłostał. Po tej przykrej nauce Davey postanowił być rozważniejszy.

Kiedy odumarł go ojciec, do domu zakradła się bieda. Na barki Daveya spadł obowiązek utrzymywania matki i młodszego brata. Przede wszystkim musiał starać się o jedzenie. Pewnego dnia, kiedy kłusował w lesie i ubił już jednego królika, natknął się na Aleksa. Za kłusownictwo groziła kara śmierci, więc nie namyślając się wiele, Davey rzucił się na młodego lorda. Uczynił tak pod wpływem impulsu, powodowany strachem, gdyż fizyczna napaść na dziedzica była jeszcze większym przestępstwem.

Wywiązała się walka. Alex był młodszy i mniejszy, ale niedostatek sił nadrabiał zwinnością i refleksem. W pewnej chwili Davey uświadomił sobie ze zgrozą, że walczy o życie, nie tylko swoje życie, ale również matki i brata, jako że tych dwoje nie poradziłoby sobie, gdyby zginął.

Ile czasu się zmagali, żaden z nich nie wiedział. Walka była zacięta i bezpardonowa. Obaj ociekali krwią i ze świstem chwyтали w płuca powietrze. Wreszcie całkiem opadli z sił i pokładli się obok siebie na trawie. Leżeli dysząc i pojękując. Pierwszy poruszył się Alex. Usiadł z sykiem bólu. Na jego napuchniętych i pokrzwionych wargach pojawił się uśmiech.

- Walczysz, jakby wstał w ciebie demon - powiedział.

Davey spojrzał zdumiony. Spodziewał się raczej przekleństw i gróźb.

- Niekiedy nie ma innego wyjścia.
- Dlaczego rzuciłeś się na mnie?
- Upolowałem jednego z twoich królików.

Alex wzruszył ramionami.

- Tu jest mnóstwo królików. Jeden mniej, jeden więcej, żadna różnica.

Davey zdumiał się. Wiedział, że stary lord wiesza za kłusownictwo. Przygnieceni podatkami dzierżawcy, nie bacząc na ryzyko śmierci, często chadzali z wnykami lub łukiem do lasu.

- Nie muszę być taki sam jak mój ojciec - rzekł Alex, jakby czytając mu w myślach.

Wstali z ziemi, obmyli w strumieniu twarze, upo-

rządowali odzienie i wrócili do Huntington razem z królikiem.

Nie minęły dwa dni, jak Davey został wezwany na zamek. Poszedł, gdyż nie miał innego wyjścia. Idąc modlił się o opiekę nad sobą oraz nad matką i bratem. Miał wówczas jedenaście lat. Wszedł do wielkiej sali. Alex stał u boku ojca i Davey już nigdy nie miał zapomnieć lodowatych oczu starego earla.

- Jesteś synem Erica Garricka? - dotarło do jego uszu władcze pytanie.

Skłonił się, przerażony i zawstydzony drżeniem swych nóg.

- Tak, panie.

- Był dobrym żołnierzem.

Davey milczał, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Słyszałem od syna, że również dobrze sprawujesz się w walce. Mój syn chce cię za towarzysza i sługę. Razem będziecie uprawiać się w szermierce.

A zatem miał być sługą. Nie był tym zachwycony. Co innego szermierka. Zawsze marzył o tym, by zostać żołnierzem jak ojciec. Na razie potrafił jedynie strzelać z łuku.

- A co z moim bratem i matką?

- Dostaniesz niewielkie wsparcie - powiedział earl i machnął ręką na znak, że rozmowa skończona.

Daveyowi szumiało w głowie. Nie mógł uwierzyć w tę nagłą odmianę losu. A wszystko dlatego, że zaatakował młodego dziedzica. Wprędce przekonał się, że sługą jest tylko formalnie. Traktowano go tak jak Aleksa. Ten wypłacał mu pobory z własnej sakiewki. Sto-

sunki pomiędzy ojcem a synem były napięte i pozbawione serdeczności. Alex trzymał się zasady, aby o nic nie prosić ojca. Robił wyjątki, gdy rzecz dotyczyła cierpiących nędzę dzierżawców, ale jego prośby zazwyczaj bywały odrzucane.

Jak przystało Careyowi, Alex brał udział w wycieczkach na teren Szkocji i sprawiał się dzielnie. Po każdym jednak powrocie wpadał w melancholię. Davey robił wszystko, by go rozweselić, ale nie zawsze mu się to udawało. Byli już serdecznymi przyjaciółmi. Obaj robili szybkie postępy w opanowywaniu rzemiosła wojennego.

Podczas jednej z tych wycieczek porwano i zgwałcono wiele kobiet. Doszło do ostrej wymiany zdań pomiędzy Alekssem a jego ojcem. Po kilku dniach Alex został wysłany do Londynu. Davey otrzymał rozkaz pozostania. Cóż było robić, został, gdyż tutaj żyli jego brat i matka, będący wciąż na jego utrzymaniu. Na nich spadłby gniew earla, gdyby okazał nieposłuszeństwo. Poza tym zakochał się w pewnej dziewczynie, córce dzierżawcy.

Mijały miesiące, potem lata, a Alex nie wracał. Nie było odeń żadnej wiadomości. Davey tęsknił za przyjacielem i zachodził w głowę, co też mogło mu się przydarzyć. Gdyby zginął lub umarł, na pewno byłoby o tym głośno, gdzie zatem jest i co się z nim dzieje? Pojawił się niespodziewanie dopiero kilka miesięcy po śmierci ojca i starszego brata. Jak gdyby czekał w sobie tylko wiadomym miejscu na przejęcie dziedzictwa.

Daveya nie było wówczas w Huntington. Gościł

u jednego z przygranicznych baronów, któremu doradzał w sprawach obronności. Gdy wrócił i usłyszał o powrocie Aleksa, chciał iść na zamek i powitać go. Ale przecież minęło tyle czasu. Ludzie się zmieniają. Nic nie wiedział o nowym dziedzicu.

A potem Alexander Carey sam go odnalazł i odwiedził. Był dawnym Alekssem, tyle że stwardniał na kamień. Życie musiało go doświadczyć, inaczej nie miałby tych bolesnych zmarszczek w kącikach ust i oczu.

Pojawił się i zniknął. Przepadł jak kamień w wodę.

Davey zdawał sobie sprawę, że poza nim jednym Alex nie ma tu życzliwej mu duszy. Wszyscy niemal żołnierze na zamku to byli nowi ludzie, przyjęci do służby w ostatnich latach. Na ich lojalność nowy dziedzic nie mógł liczyć, tym bardziej że zdążył ich już zrazić swoją wizją pokoju na pograniczu. Dzierżawcy również nie dawali żadnego oparcia. Gnębieni podatkami, żyjący na granicy głodu, nie dostrzegali na razie żadnej różnicy pomiędzy nowym earlem a dawnymi.

No i John. Tego dnia, kiedy Alex przepadł bez wieści, na twarzy Johna wielokrotnie gościł uśmiech.

Davey poważnie się zaniepokoił. Alex nie umawiałby się z nim na spotkanie, gdyby zamierzał gdzieś wyjechać. Wynikało z tego, że przydarzyło mu się jakieś nieszczęście i on, Davey, gotów był postawić cały swój dobytek, że za tym wszystkim stał John Carey.

„Wybierz człowieka, któremu ufasz, i nie wtajemniczaj nikogo innego”.

Dlaczego te słowa tak ją prześladowały?

Czy naprawdę krył się za nimi podstęp, jak z początku myślała?

Ale jaki miałby w tym cel? Co spodziewał się osiągnąć, namawiając ją do wyprawienia kolejnego posłańca? Liczył na zwłokę? Odsunięcie wykonania wyroku? Czas potrzebny na przygotowanie ucieczki? To było możliwe. Wszystko było możliwe, gdy rzecz dotyczyła któregoś z Careyów. To plemię nie cofnie się przed żadną zbrodnią, żadnym kłamstwem. Im dłużej jednak Elsbeth zastanawiała się nad udzieloną jej radą, tym bardziej czuła się nią spętana.

Planowali zachować porwanie w sekrecie aż do dnia wypłacenia okupu. Przede wszystkim nie chcieli rozdrażnić obu strażników, szkockiego i angielskiego, wyznaczonych przez oba rządy do pieczy nad pograniczem.

Elsbeth nie dowierzała tym ludziom. Mieli swoje własne interesy. Angielski nadzorca nie kiwnął nawet palcem, kiedy Kerowie wnieśli sprawę w związku ze śmiercią starego lairda. Utrzymywał, że nie widzi dowodów zasadzki, a tym samym zabójstwa z rozmysłem. Oskarżenie opierało się na zeznaniu jednego człowieka, któremu udało się uciec, jednak zaraz zmarł na skutek odniesionych ran. W rezultacie Anglik nie zgodził się na pociągnięcie Careyów do odpowiedzialności.

Z kolei szkocki funkcjonariusz, choć miotał się i cisnął gromy, miał niewielki wpływ na stronę angielską i nie chciał ryzykować konfrontacji.

Decydując się na porwanie earla, Kerowie liczyli się z poważniejszymi konsekwencjami i robili wszystko,

żeby ich uniknąć. Nie bez znaczenia też było stanowisko innych klanów, które miały prawo się spodziewać, że w przypadku odmowy okupu Alexander Carey zostanie stracony. To była sprawa honoru, najsprawiedliwsza odpłata za śmierć lairda. Kerowie mogli stracić cały szacunek innych rodów, gdyby postąpili inaczej.

Nagle zdecydowała się.

Ukryje wszystko przed Patrickiem i Ianem, gdyż żaden nie zrozumiałby jej ani nie dałby jej wiary. Poza tym znała człowieka, któremu ufała bardziej niż innym. Jej ojciec powierzyłby jego opiece królewski skarb, gdyby takowy posiadał. Tym człowiekiem był Hugh.

Pochodził z klanu Armstrongów, lecz wżenił się w rodzinę Kerów, by potem wrócić na ojcowiznę. Po tym, jak król Jakub kazał powiesić Johnny'ego Armstronga i członków jego świty, Hugh poczuł się wyjęty spod prawa i poprosił teściów o schronienie. Z czasem stał się najbliższym i właściwie jedynym doradcą lairda. Nawet brał udział w zbrojnych wyprawach, ale zaczęły mu dokuczać stare rany i postanowił zająć się gospodarstwem. Dochował się sześciu synów, z których dwóch zginęło w potyczkach z Anglikami. Był mądry, sprytny i przewidujący. Jeżeli on nie poradzi w tej trudnej sprawie, pomyślała Elsbeth, to nie poradzi nikt inny.

Kazała osiodłać konia. Hugh mieszkał niedaleko, więc zrezygnowała z eskorty. Jadąc rozkoszowała się wciąż jeszcze chłodnym, ale już wiosennym powietrzem. W pewnej chwili obejrzała się za siebie. Ujrzała szczyt wieży wraz z zakratowanym oknem. Tam był jej

więzień i to on sprawił, że kłusowała teraz tą leśną przesieką.

Kiedy weszła do domu Armstrongów, Hugh grzał się przy piecu, a jego żona rozczyślała chleb. Po wymianie pozdrowień Hugh dał znak, że nic tu po niej. Posłusznie przeszła do innej izby.

- I jak sprawy stoją? - zapytał.

- Żadnych wieści o Robinie, Willu i Adamie. John Carey milczy jak zakłęty.

Hugh nie rzekł ani słowa. Ona była głową klanu i w jej rękach spoczywały decyzje.

- Czy John Carey odważyłby się skazać na śmierć brata? - spytała.

- Tak - odparł bez chwili namysłu. - Niczego bardziej nie pragnie.

- A służba, żołnierze, członkowie rodziny?

- Oni wszyscy prawie nie znają nowego earla.

- W takim razie porwanie go było błędem.

- To zależy, w jakim celu go porwałeś. Jeśli dla okupu, to faktycznie można mówić o błędzie. Co innego zemsta.

- Samą zemstą nie nakarmię Kerów i nie odbuduję spalonych domostw. Potrzebne mi złoto.

W oczach starego Hugh pojawiły się iskierki wesołości.

- To wielki głądysz ten Carey.

- Widziałeś go?

- Tak, przed laty na turnieju urządzonym z okazji rozejmu. Pokonał wszystkich przeciwników.

Elsbeth zamyśliła się. Dziwne, ale w ostatnich

dniach usłyszała o swoim więźniu same pochlebne opinie.

- Co wiesz o śmierci mojego ojca?
- Nie było mnie wówczas przy nim.
- Czy gotów jesteś dopuścić, że zdradził go jeden z naszych ludzi?

Hugh zmrużył oczy, a jego dłonie zacisnęły się na poręczy krzesła.

- To możliwe. Skąd wiedzieli, że będzie akurat tam-tędy przejeżdżał?

- Wykluczasz zatem, że doszło do przypadkowego spotkania i Careyowie wykorzystali swoją liczebną przewagę.

- To była zasadzka obmyślona w najdrobniejszych szczegółach.

- Czym jednak kierował się zdrajca?
- Możemy się tylko domyślać. Laird chciał pokoju, wielu czerpie korzyści z wojny.

Elsbeth poczuła, że coś siadło jej na piersiach i gniecie. Jej lud, jej przyjaciele, przyjaciele jej ojca!

- Nie wierzę - wyszeptwała.
- Wiem, że to trudne, ale powinnaś być świadoma pewnych rzeczy.

- Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz?
- Nie dałabyś mi wiary.
- W takim razie kto zdradził?
- Gdybym wiedział, zdrajca już by nie żył. Powiedz lepiej, kto podsunał ci tę myśl?

Elsbeth zawahała się. Ciężko było przyznać, że dała posłuch wrogowi.

- Więzień.

Hugh zmarszczył brwi.

- Jest zatem mądrzejszy, niż myślałem.

- Wiedział również, że John nie zapłaci okupu.

- A dlaczego miałby płacić, skoro zrobi rękami Kerów to, czego pragnie, a co być może wzdragałby się zrobić.

- Och, Hugh, nie chcę go zabijać. Już dość zabijania.

- Tak, sporo już krwi wsiąkło w tę ziemię. Czy Carey miał jakieś propozycje?

- Wczoraj prosił mnie, żebym przesłała wiadomość do jednego z jego ludzi, aby z kolei tamten powiadomił Londyn. John, jego zdaniem, nie ośmieli się odrzucić żądań lorda protektora.

- Na to może być już za późno - rzekł zasepiony Hugh.

- Oczekuje też, że pomogę mu w ucieczce.

Wąskie wargi Hugh'a wykrzywiły się w uśmiechu.

- Gdyby nie nazywał się Carey, polubiłbym go.

- Polubiłbyś Anglika? - spytała zdumiona.

- Gdy przeżyło się ponad pół wieku, łatwiej zrozumieć, że źli i dobrzy znajdują się po obu stronach granicy.

To było coś nowego. Elsbeth była dotychczas, przeświadczona, że granica dzieli na dobro i zło. Oczywiście, zło panoszyło się po tamtej stronie.

- Nigdy nie zapomnę haniebnego postępu króla Jakuba, który kazał pojmać i powiesić lairda Gilnockie, gdy ten, nie uzbrojony, wyszedł go powitać. A wszystko dlatego, że Johnny Armstrong ściał kilka angielskich głów w odwecie za napad.

Elsbeth słyszała tę historię kilkadziesiąt razy. Pamięć o hańbie wciąż żyła na tym obszarze, choć rzecz wydarzyła się przed dwudziestu laty. Armstrong przyjmując sentencję wyroku, spojrzawszy w oczy królowi i rzekł: „W ten oto sposób nieprzyzwoitość osądziła słuszość”.

- Ale żeby w naszym własnym klanie...

- Wszędzie pleni się zawiść i chciwość.

Serce Elsbeth było niespokojnie. Wychowano ją w niemal religijnej czci dla więzów klanowych. Tutaj, na granicy, gdzie śmierć każdego dnia zbierała swoje żniwo, lojalność wobec klanu była najwyższą wartością. Ale nawet i tutaj znalazł się Judasz.

- Przewiozę tę wiadomość do Huntington.

- A twoja noga?

- Ruch dobrze mi robi.

- Nie darowałabym sobie, gdybyś zginął.

- Cóż mogą zrobić biednemu domokrażcy? Porozmawiaj z twoim Careym i przywieź list dziś wieczór. Wrócę w ciągu trzech dni.

- To nie jest mój Carey. Z wielką ochotą pozbyłabym się go raz na zawsze.

- Jest twoim Careym, bo trzymasz go w swojej wieży - rzekł Hugh z lekkim uśmiechem. Było w tej Elsbeth coś nowego, nowy blask w oczach, nowe myśli w głowie. I to za sprawą owego Anglika.

- Będziesz na siebie uważał?

- Jasne, chcę spłodzić jeszcze przynajmniej jedno dziecko.

Elsbeth wrócił humor. Uśmiechnęła się. Wszyscy

wiedzieli, że Hugh prócz własnych dzieci ma jeszcze cały zastęp bękartów.

- Byłabym niepokieszona, gdyby nic ci nie wyszło z tych planów.

- Na pewno wyjdzie. A teraz zmykaj. Spotykamy się o zmierzchu.

- Dziękuję, Hugh.

Kiwnął głową. Była dzielną dziewczyną. Ale nawet najdzielniejsza dziewczyna potrzebuje silnego i mądrego mężczyzny.

Wróciła do twierdzy tuż przed obiadem. Przebrawszy się, przeszła do sali biesiadnej. Przy stole zgromadzili się wszyscy zamieszkujący twierdzę Kerowie. Elsbeth siedziała pomiędzy Patrickiem a Ianem, dalsze zaś miejsca, patrząc od szczytu stołu, przypadały Joan, Louisie oraz pozostałym członkom klanu wedle rangi i wieku. Joan była zgorzkniałą, nieszczęśliwą kobietą, która wbiła sobie do głowy, że jej syn Patrick powinien zostać lairdem. Od razu też zaczęła swoje narzekania.

- Nie rozumiem, dlaczego Carey jeszcze żyje.

Elsbeth udała, że nie usłyszała tej uwagi.

- Chodzą słuchy, że to dorodny, krzepki gach - ciągnęła wdowa. Podobnie jak Patrick, miała czarne włosy. Jednak w jej nadmiernie pociągłej, wiecznie skwaszonej twarzy trudno było dopatrzeć się urody.

- Trzeba lubić Anglików, żeby powiedzieć o nich coś miłego - odparowała Elsbeth. Nie znosiła siebie takiej, ale Joan zawsze budziła w niej demony.

Joan, która nigdy nie kryła, że najlepszą partią dla

Elsbeth jest jej syn Patrick, spojrzała na nią z chytrym wyrazem twarzy.

- Trzeba lubić Anglików, żeby ich żywić bez żadnej korzyści.

Wszyscy słyszeli te słowa. Klan dzielił się na tych, którzy żądali natychmiastowej śmierci earla, oraz na tych, którzy gotowi byli czekać na okup.

Elsbeth prześlizgnęła się wzrokiem po zwróconych ku niej twarzach.

- Któż jak nie my ma większe powody, by nienawidzić Careyów? - spytała podniesionym głosem.

Trzydzieści głów schyliło się, przyznając jej rację.

- I postawić ich wraz z ich winami przed bezstronnym trybunałem?

Znowu zbiorowe kiwanie głowami.

- Czy ktoś z tu obecnych wątpi w to? - Było to jawne wyzwanie i nawet Joan siedziała jak trusia.

- Careyowie nie unikną odwetu. Rachunek zostanie wyrównany. Przysięgam wam.

Do końca posiłku nikt już nie wspomniał o więźniu na górze. Ian uśmiechał się z aprobatą. Z miny Patricka niczego nie można było wyczytać.

Po obiedzie Elsbeth spotkała się z obydwoma kuzynami w świetlicy.

- Co zamierzasz? - zapytał Patrick.

Elsbeth obrzuciła mężczyznę podejrziwym spojrzeniem. Nigdy jeszcze tak na nich nie patrzyła, teraz zaś uczyniła to całkiem mimowolnie. Czy któryś z nich był zdrajcą? A jeśli tak, to który?

Ta niepewność sprawiała jej ból. Kochała obu jak

braci. Ian rozweselał ją, Patrick z kolei był bardzo uczynny. Miała dowody, że miłowali jej ojca i służyli mu wiernie. Jakaż ulgę przyniosłoby jej wtajemniczenie ich we wszystko. Ale gdyby któryś z nich faktycznie był zdrajcą, dotarcie do prawdy stałoby się bardzo wątpliwe. Odpowiedziała pytaniem:

- Co mówią w okolicy?
- Tylko to, że earl jakby zapadł się pod ziemię.

Wtrącił się Ian:

- Wszystko zdaje się wskazywać, że nie doczekamy się okupu. Trzeba cos' postanowić.

- Carey, którego więzimy, nie zamordował mego ojca.

- Ale jest synem mordercy. Od wieków trzymamy się zasady: życie za życie.

Była zaskoczona. Dotychczas to Patrick nastawał na jak najszybsze wykonanie wyroku, podczas gdy łanowi zależało na okupie. Teraz jednak Patrick milczał, Ian zaś przywołał starą zasadę „oko za oko, ząb za ząb”. Zrozumiała, że musi pozbyć się ich na kilka dni.

- Mam dla was zadanie. Ty, Ianie, zawieziesz list ode mnie do naczelnika klanu Douglasów, a ty, Patricku, do naczelnika klanu Homesów.

- Chcesz im o wszystkim powiedzieć? - Ian zmarszczył brwi.

- Zamierzam ich uprzedzić, że w każdej chwili możemy poprosić ich o pomoc przeciwko Anglikom.

- Nie sądzę, byśmy musieli wyjeżdżać równocześnie. A co się stanie, jeśli Careyowie zaatakują? - Patrick także był niezadowolony.

- Wtedy Hugh obejmie dowództwo. Koniecznie muszę wiedzieć, czy będę mogła liczyć na pomoc Douglasów i Homesów.

- A jeśli spytają o powody?

- Znają nasze kłopoty z Careyami.

- Kiedy mamy wyruszyć?

- Jeszcze dzisiaj. Za cztery dni powinniście być z powrotem.

Ian próbował protestować, lecz Elsbeth przerwała mu:

- Dzisiaj. Żadnych dalszych dyskusji. Lepiej gotujcie się do drogi.

Powoli ubywało w celi słonecznego światła i Alex uświadomił sobie, że kolejny dzień niewoli ma się ku końcowi. Zakratowane okno wychodziło dokładnie na wschód i dlatego poranki, o ile dopisywała pogoda, były jasne, a czasem nawet wesołe. Już jednak wczesnym popołudniem w kątach zaczynał czaić się półmrok. Oczywiście, miał świecę, ale korzystał z niej bardzo oszczędnie. Podobnie dawkował sobie wino. Jeden łyk, najwyżej dwa, i odkładał bukłak. W ogóle zachowywał się jak skapiec.

Czas zabijał lekturą, a jedynymi zdarzeniami w jego obecnym życiu były dwa posiłki dziennie. Niekiedy kuśiło go, by rzucić się na strażników, powalić ich, wybiec z celi i dalej już liczyć tylko na cud. Rozsądek jednak podpowiadał mu, że jedynym skutkiem byłoby albo zabicie go, albo przykucie łańcuchami do ściany.

Elsbeth Ker nie pojawiała się i nie wróżyło to najlepiej. Mimo wszystko rozumiał ją. Dzieliły ich całe stulecia wrogości i nieufności. Dlaczego miałyby spełnić jego prośbę? Próbował zdobyć jej życzliwość, ale widocznie nie udało mu się. Musiał zatem polegać wyłącznie na sobie, nawet gdyby miało to oznaczać zabicie

iluś tam Kerów. Ale w żadnym wypadku nie wolno mu było poddać się i czekać jak ta owca na zarżnięcie. Przecież poprzysiągł sobie, że już nigdy nie będzie pionkiem w rękach innych ludzi. Czym jednak dysponował? Naczyniem na nieczystości, wypaloną do połowy świecą, skórzanym bukłakiem i książką. I to książka była tą najcenniejszą rzeczą. Nie mówiąc już o tym, że najcenniejszą.

Usłyszał hałas u drzwi i poderwał się z siennika. To z pewnością niesiono mu wieczerzę. Nie czuł się głodny. Na galerze przywykł do skąpych porcji, a gdy odzyskał wolność, długo nie mógł się nadziwić, że ludzie potrafią wpakowywać w siebie w ciągu dnia takie ilości pożywienia. Więzienne posiłki, mimo że nie rozpieszczano go tutaj, całkowicie mu wystarczały.

Podjął decyzję w jednej chwili. Dość już tej bierności i pobożnych życzeń. Ostatnio zauważył, że jego strażnicy nie są już tak czujni. Nawet przestali wymagać, by przed każdym otwarciem drzwi stawał twarzą do ściany. Spoglądali nań z pogardliwym lekceważeniem, zupełnie jak na tchórza, który małodusznie pogodził się z losem. Bardzo mu to odpowiadało.

Weszli strażnicy, dwóch pleczastych drabów. Jeden stanął w pobliżu otwartych drzwi, drugi zbliżył się do siennika. Kiedy pochylił się, by postawić tacę z jedzeniem na posadzce, Alex zaatakował. Był raczej szczupłej budowy ciała, lecz lata wiosłowania przemieniły jego mięśnie w żelazo. Toteż cios, jaki spadł na szczękę bliższego ze strażników, o mało co nie zmiażdżył mu twarzy. Rozległ się łomot padającego ciała. Błyskawic-

cznie pochylił się, a kiedy się wyprostował, miał już w ręku broń. Drugi strażnik zdążył dotknąć dłonią rękkojeści, a w tym samym momencie poczuł na swym gardle jadowite ostrze.

- Zrobisz, co powiem - rozległ się szept Anglika.
- Nie wydasz się z twierdzy.
- Być może, ale ty nie dożyjesz do zachodu słońca, jeśli zdecydujesz się na opór.

Strażnik zawahał się. Wiedział już, że źle ocenił tego Anglika. Czuł ostrze na szyi. Jeden ruch i padnie z rozplatanym gardłem.

- Zgoda - rzekł.
- A teraz zaciągnij swego towarzysza w tamten kąt pod oknem - padło polecenie.

Szkot podszedł do leżącego i pochylił się. W tej samej chwili otrzymał straszliwe uderzenie w głowę. Nawet nie jęknął. Zwalił się jak kłoda.

Alex odetchnął. Pokonał pierwszą przeszkodę. Tych dwóch nie będzie się czuło jutro najlepiej.

Z jednego ściągnął kubrak, szybko się ubrał, by następnie przypasać do boku broń. Miał nadzieję, że uda mu się przemknąć na dół nie zauważonym. Największym problemem był kolor jego włosów. Kerowie przeważnie mieli ryżawe owłosienie, z wyjątkiem jednego człowieka, o którym Alex wiedział, że ma na imię Patrick. Poza tym nosili rude brody lub byli gładko wygoleni. Broda, która wyrosła Alexowi w więzieniu, była czarna jak skrzydło kruka.

Zajął się teraz powalonymi strażnikami. Jednego kilkoma ruchami wturlał na siennik, po czym nakrył derką

drugiego zaś zaciągnął w kąt przy drzwiach na wypadek, gdyby ktoś zająrzył do celi. Oba kąty przy drzwiach znajdowały się poza polem widzenia patrzącego od strony korytarza i schodów.

Następnie szybko ocenił sytuację. Koniecznie musiał zgolić brodę. Ale czym i gdzie? Miał wprawdzie sztylet, który zabrał jednemu ze strażników, ale nie był on dostatecznie ostry. Cóż, pozostawało zdać się na traf i ślepy przypadek. Nie wiedział bowiem nawet, jak zbudowana jest twierdza. Jeśli przypominała inne graniczne twierdze, to musiała mieć solidne zewnętrzne mury i dobrze strzeżoną bramę. Pozostawał zatem podstęp i oszustwo.

Opuścił celę i zamknął za sobą drzwi. Zbiegł na podest pomiędzy piętrami i na chwilę zamarł bez ruchu. Nasłuchiwał, równocześnie próbując sobie przypomnieć, ile pięter ma do pokonania. Trzykrotnie prowadzono go schodami, ale za każdym razem miał przewiązane oczy. Mimo to naliczył bodajże pięć poziomów. Wszystko poza tym wskazywało, że na każdym piętrze znajdują się pomieszczenia mieszkalne. Kerowie trzymali się razem i pokaźna część klanu mieszkała,; w twierdzy. Zbiegł więc na czwarte piętro i skoczył w pierwsze drzwi na lewo.

Szczęście tym razem mu sprzyjało. Izba okazała się pusta. Przez wychodzące na zachód okno wpadało jeszcze trochę światła. Na prostej skrzyni leżała męska szkocka czapka. Bez wątplenia mieszkał tu mężczyzna, co dobitnie potwierdzał stalowy pręt do ostrzenia noży, leżący pod lustrem. Alex mimowolnie się uśmiechnął.

Nie mógł trafić lepiej. Zmoczył twarz wodą z kubła, wyostrzył sztylet i zgolił brodę. Dzięki lustru udało mu się nawet uniknąć skaleczeń. W szkockiej czapce, która częściowo przesłoniła mu włosy, mógł teraz udawać Kera.

Na razie jednak zdecydował się czekać na zapadnięcie zmierzchu. Najlepsza na przemknięcie się jest pora wieczery, kiedy wszyscy mieszkańcy gromadzili się w sali biesiadnej. Słońce już zaszło, ale zachodnia strona nieba wciąż jeszcze mieniła się jasnością.

Wreszcie zaczęło się ściemniać. Alex stał napięty i czujny. Od czasu do czasu za drzwiami dały się słyszeć głosy i wówczas wstrzymywał oddech. Ale nikt nie wchodził do środka, jakby właścicielem tej izby był jeden z ogłuszonych przez niego strażników. W końcu uciszyło się i trzeba było przejść do działania. Znowu wymknął się na schody, po których dzięki swym miękkim hiszpańskim butom mógł zbiegać prawie bezszelestnie.

Na drugim piętrze natknął się na dziewczynę. Sądząc z ubioru, była służebną. Niosła smukły, błękitny dzban i gdzieś się śpieszyła. Nim znikła, prześlizgnęła po nim obojętnym spojrzeniem. A zatem wzięła go za Kera. Alex odetchnął. A już myślał, że dziewczyna podniesie alarm.

Jednak najcięższa próba czekała go na samym dole. Tam bowiem jedzono wieczerzę i tam musiało kręcić się najwięcej ludzi.

I faktycznie, kiedy schody miał już poza sobą, wszedł między sługi i czeladź. Jedni nieśli misy z mię-

siwem, inni puste talerze, inni wreszcie śpieszyli do kuchni z pustymi na razie rękoma. Nikt jednak nie zwrócił na niego jakiejś szczególnej uwagi. Szedł wolnym, kołyszącym się krokiem. Bardziej jak człowiek, który dopiero zastanawia się, gdzie pójść, niż jak ktoś, kto już ma jasne wyobrażenie celu. Kierował się ku drzwiom. Gdy wreszcie znalazł się na dziedzińcu pod kopułą ciemnego nieba, miał ochotę krzyczeć z radości.

Z rozkoszą kilkakroć napełnił płuca chłodnym powietrzem wieczoru. Poszukał wzrokiem budynków stajennych. Zamierzał uciec, ale na własnym koniu. To było wyzwanie rzucone losowi, ale, zaiste, ten koń wiele dla niego znaczył. Skan Anula przerobiła pona.

Dotarł do stajni bez najmniejszych przeszkód. W środku czekała go jednak przykra niespodzianka. Wpadł prosto na stajennego chłopaka, który bodajże dopiero co skończył napełniać koniom żłoby. Chłopak najwidoczniej rozpoznał go, gdyż patrzył nań rozszerzonymi, okrągłymi, napełnionymi przerażeniem oczami. Już zresztą otwierał usta do krzyku. Alex zamknął mu te usta dłonią. Nie chciał skrzywdzić dzieciaka, ale musiał myśleć o sobie. Właściwie nie miał wyboru. Walnął chłopaka pięścią w skroń, a zwiotczałe ciało ułożył na kupce siana, po czym wyprostował się i zmarł.

W drzwiach stajni stało dwóch mężczyzn. Byli bardzo dobrze widoczni na tle wieczornego nieba. Jeden miał jasne, rudawe, drugi czarne włosy. Mieli na sobie ubrania podróżne, a u boku rapiery z graniastymi pałkami. W ciemnowłosym Alex od razu rozpoznał Patri-

cka. Jego zazwyczaj zasepiona twarz była jednak w tej chwili wyjątkowo pogodna. Prawą dłoń położył na jelicu, rozległ się charakterystyczny poświst wyciąganej broni. Alex natychmiast uczynił to samo.

A zatem zanosilo się na pojedynek. Miała to być uczciwa walka pomiędzy dwoma uzbrojonymi mężczyznami, nie zaś rzucanie się całej gromady Szkotów na bezbronnego, jak nad jeziorem przed z górą trzema tygodniami. Alex poczuł, że narasta w nim podniecenie. Dołąd przeciwnik upokarzał go, teraz dawał mu szanse, odzyskania rycerskiego honoru.

- Angielski łotrzyk czmycha jak zając - wycedził Patrick. - W takim razie zastąpmy mu drogę.

Blondyn niczego nie dodał od siebie, tylko skrzyżowawszy ręce, oparł się o belkę obwieszoną uździenicami. Najwidoczniej wybrał rolę widza i świadka.

Stal uderzyła o stal. Konie w boksach skuliły po sobie uszy, parskały i niespokojnie przestępowały z nogi na nogę.

Przeciwnicy wlepili w siebie oczy, siedząc każdy swój ruch. Na razie tylko sprawdzali swoje umiejętności, szacowali zwinność ruchów i siłę ramienia.

Alex znał wszystkie swoje braki. Był w niekorzystnym położeniu. Niegdyś był bardzo dobrym szermierzem, teraz całkiem wyszedł z wprawy. Na szczęście był w wyśmienitej kondycji fizycznej. Postanowił wobec tego postawić na wyczerpanie przeciwnika i wydłużać pojedynek. Galera nauczyła go wytrwałości.

Patrick zamachnął się i zaryzykował silny cios, po którym poszło zaraz kilka następnych. Alex cofał się,

parując cięcia, aż dotknął plecami przepierzenia. Tutaj zebrał się w sobie i ruszył do przodu. Młody Szkot bronił się z łatwością, a nawet pewnym wdziękiem. Mimo to na jego twarzy odmalowało się zdumienie. Było jasne, że spodziewał się łatwego zwycięstwa i szybkiego końca starcia. Natrafiwszy na zdecydowany opór, zaciął usta i ściągnął brwi.

Atak Aleksa zawiódł walczących na dziedziniec. Usłyszano szczęk broni i nie minęło wiele czasu, jak Patrick i Alex znaleźli się w ciasnym kręgu widzów. Możliwość ucieczki została zaprzepaszczona. Teraz nawet po zwycięstwie Alex miał pozostać więźniem. Pomyślał o Elsbeth Ker. Na pewno była gdzieś w tłumie, lecz nie miał czasu na szukanie jej twarzy. Przeciwnik pochłaniał całą jego uwagę. Był zwinny, szybki i znał swoje rzemiosło. Właśnie zaatakował. Alex próbował uskoczyć, ale uczynił to odrobinę za późno. Ostrze dotknęło jego ramienia, które w mgnieniu oka spłynęło krwią.

Walka przecież wciąż trwała. Gęstniejącą ciemność rozpraszało światło pochodni. Ruchy przeciwników były coraz wolniejsze, oddechy zaś szybsze i głośniejsze. Alex parował cięcia Patricka, nie mógł jednak znaleźć szczeliny w jego obronie. Zaczynała przynosić wymierne efekty jego wytrzymałość i siła. Po każdym złożeniu to rapier Patricka wpadał jak gdyby w większe drżenie. Ale to on był lepszym szermierzem. Jeden błąd w walce z nim mógł oznaczać śmierć. Patrick dyszał żądzą krwi. Płonące nienawiścią oczy nie pozostawiały co do tego żadnych wątpliwości.

I stało się. Rapier Aleksa brzęknął przeraźliwie na kamieniach dziedzińca. Patrick zamachnął się do kolejnego, ostatecznego już ciosu. Ale uczynił to ze zbyt dużą pewnością siebie, to znaczy zbyt wolno. Dał Aleksowi więcej czasu, niż powinien, gdyż ten rzucił się na swój rapier niczym jastrząb na gołębia, porwał go z ziemi i jeszcze zdążył zasłonić się od ciosu. Rozległ się szmer uznania i podziwu.

Teraz górą był Alex, gdyż Patrickowi dawało się we znaki zmęczenie. Rozwścieczony coraz bardziej natarł ze zdwojoną furją. I właśnie podczas tego ataku popełnił zupełnie podstawowy błąd, pozwalając ciału na zbytne wychylenie do przodu. Rapier Aleksa skierował się ku sercu przeciwnika. Ale nie nie przeszył go, gdyż w ostatniej chwili ostrze zmieniło kierunek i poszło na ramię.

Ta chwila wahania pozwoliła Patrickowi uskoczyć i zamachnąć się do strasznego ciosu. Znow rapier Aleksa znalazł się na kamieniach dziedzińca. On sam jednak nie zdołał już powtórzyć swej poprzedniej sztuczki. Poczł ostrze na szyi. Uniósł głowę. Czekał na niechybną śmierć.

- Nie! - rozległ się przenikliwy okrzyk i nikt nie mógł mieć wątpliwości, że to krzyknęła kobieta.

Alex wciąż jednak spoglądał w oczy Patrickowi, Które przypominały ślepią gotującego się do uczt wilka.

- Na tym skończymy widowisko - padły z ust Elisabeth dużo już spokojniejsze słowa.

Patrick powoli opuścił broń, po czym z trzaskiem wsunął ją do pochwy. Jego oczy mówiły Aleksowi, że

tylko pani tej twierdzy zawdzięcza życie, bo on sam z rozkoszą porąbałby go na sztuki.

W tłumie zaległa cisza. Słysząc było tylko ciężkie oddechy dwóch mężczyzn. Pot spływał im z twarzy. Alex gorzko się uśmiechnął. Nie osiągnął dziś niczego. Jedynie uprzytomnił Kerom, że muszą go lepiej pilnować. Poczł ból w zranionym ramieniu. Zobaczył, że krwawi. Ścisnął rozcięte mięśnie zdrową ręką, by zatamować upływ krwi. Prześlizgnął się wzrokiem po twarzach zgromadzonych Kerów. Wciąż jeszcze malowało się na nich ożywienie i podniecenie walką. Odnalazł w końcu oblicze Elsbeth Ker. Pałało gniewem.

- Zabrać go z powrotem do celi - rozkazała dźwięcznym głosem.

Alex poczuł na ramionach ciężkie dłonie strażników. Brutalnie pchnięto go w kierunku wieży. Był zrezygnowany. Nie zdołał odzyskać dzisiaj wolności. Wszystko wydawało się tak beznadziejne. Nagle jednak pochwycił wzrok tamtego drugiego mężczyzny, tego o jasnych włosach. Zobaczył w jego oczach niczym nie skrywane szyderstwo. To wystarczyło, by w porywie dumy przyrzekł sobie, że nigdy nie pogodzi się z przegraną.

Strażnicy nie musieli już go popychać. Wracał do celi długim, marszowym krokiem, wyprostowany niczym żołnierz. Nie wyglądał na pokonanego.

Wreszcie stanęli na piątym piętrze przed zamkniętymi drzwiami. Ten o jasnych włosach zajrzał przez judasz do środka. Zobaczył leżącą na sienniku postać. Ruszała się. Nietrudno było się domyślić, że to jeden z powalonych strażników.

- Gdzie klucz? - padło pytanie.

Alex wzruszył ramionami. Milczał.

- Lubisz, jak ci się coś przytrafia, Angliku?

- Bynajmniej. Po prostu znudziło mi się korzystać z waszej gościnności.

- Okaż wdzięczność, że nie kazano cię zakuć w kajdany. Tę łaskę zawdzięczasz mojej kuzynce, pani tej twierdzy. Proponowałbym jednak, żebyś nie nadużywał jej dobroci. Łatwo wpada w gniew.

Alex uznał, że tamten zbyt czule mówi o swojej kuzynce. Nie spodobało mu się to.

- Czy to ty jesteś Ian Ker?

Mężczyzna lekko skinął głową.

- Klucz. Nie mam czasu do stracenia. Mogą wezwać kowala, ale wtedy zlecę mu również inną robotę.

Alex domyślił się, o jakiej robocie mówił Ian Ker. Kajdany. Sięgnął do cholewy buta i podał Szkotowi klucz.

Otworzono drzwi celi. Strażnicy na tyle już doszli do siebie, że mogli samodzielnie dźwignąć się na nogi.

- Powinienem zostawić ich tu razem z tobą - powiedział Ian z niesmakiem. - Bezbronny Anglik, a na dokładkę Carey, pobił dwóch uzbrojonych Kerów. Sądny dzień.

Strażnikom jednak pozwolono odejść. Zanim wyszli, zdążyli jeszcze obrzucić Aleksa morderczymi spojrzeniami.

Ian oparł się o ścianę.

- Zdumiewasz mnie, Angliku - rzekł po chwili milczenia.

- Niby dlaczego? - zapytał Alex. Zranione ramię dawało mu się coraz bardziej we znaki.

- Bo oszczędziłeś Patricka.

- Naprawdę to zrobiłem?

- Była chwila, kiedy mogłeś rozplątać go jak kapłona. Dlaczego nie skorzystałeś z okazji?

Alex opadł na pośłanie.

- I cóż bym przez to osiągnął?

- Zadowolenie z dobrze wykonanej roboty.

- Zabijanie nie sprawia mi uciechy - zauważył Alex kpiącym tonem.

- Twoja śmierć ucieszyłaby Patricka.

- A ciebie?

- Myślę, że wszystkich Kerów.

- Przykro mi, że nie stało się wedle waszych życzeń.

Ian uśmiechnął się.

- Myślę, że mógłbym cię polubić, Huntington.

Alex skrzywił się. Chciał, aby ten Szkot jak najszybciej sobie poszedł. W końcu został sam. Rozległ się zgrzyt klucza w zamku, a potem szmer wydawanych rozkazów.

Godzinę później Patrick i Ian byli już w drodze. Nim jednak dosiedli koni, Patrick, obmywszy w korycie przy studni spoconą twarz, udzielił Elsbeth następującej rady:

- Trzymaj się od niego z daleka, kuzynko. Jest bardziej niebezpieczny, niż sądzimy. W każdej chwili może znowu coś wymyślić.

Elsbeth milczała. Nie lubiła, gdy traktowano ją jak małą dziewczynkę.

Patrick potrząsnął głową.

- Lepiej, gdybyśmy nigdy go nie porywali.

- Tak - zgodziła się ochoczo. - Zastawiliśmy pułapkę, w którą sami wpadliśmy.

Zmierzył ją badawczym spojrzeniem.

- Zdażył przypatrzeć się twierdzy. Zna już nasz system obronny. Właściwie nie powinien wyjść stąd żywy.

- Nie przykładałabym do tego aż takiej wagi. Wiedzę o twierdzy Careyowie mogliby uzyskać od pierwszego lepszego kupca, który, jak to się zdarza, spędził u nas kilka dni.

- Wolałbym nie odjeżdżać i nie zostawiać cię samej z tym Anglikiem.

- Mam za tarczę i osłonę stu Kerów. Wątpię, by lord Huntington dał im wszystkim radę.

Patrick sapnął.

- Lepiej każ zakuć go w kajdany.

Pomysł wydał się Elsbeth okrutny i wstrętny, choć nie wiedziała do końca dlaczego. Przecież nie leżała jej na sercu wygoda earla Huntington, jej odwiecznego wroga, który na dokładkę próbował zabić Patricka.

Lecz czy na pewno?

Dobrze pamiętała krótkie wahanie, gdy miał przeważyć i mógł zadać cios. Pamiętała też jego twarz. Czoło zroszone potem, oczy o barwie morza w czas burzy, rozwarte jak do krzyku usta. Jego lewe ramię zalane było krwią, ale to nie ból sprawił, że otrząsnął się, gdy poczuł na sobie dłonie strażników. Serce zamarło jej w piersi. Bo nagle uświadomiła sobie, że jest pełna podziwu dla tego Anglika, dla jego odwagi, dumy i niepokornego ducha.

Spojrzała na kuzyna.

- Rozważę to - powiedziała sucho. - A teraz ruszaj w drogę.

Patrick rzucił jej ponure spojrzenie.

- Jadę, ale ty uważaj na siebie, Elsbeth - rzekł i widać było, że całkowicie poddaje się jej woli. Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej policzka. - Uważaj na siebie - powtórzył głosem pełnym ciepła i serdeczności.

Elsbeth w jednej chwili złagodniała. Tak było zawsze. Zazwyczaj zasepiiony i zamknięty w sobie, Patrick nagle odsłaniał się i pokazywał tkliwe i gorące serce. Aż dziw brał, że jego matką była Joan, która poka-

zywała światu jedynie skwaszoną twarz, knuła intrygi i czerpała przyjemność z niesnasek i waśni. Myśli te przerwało pojawienie się Iana. Na jego twarzy, jak zawsze, gościł uśmiech.

- Co z nim? - zapytała Elsbeth i było wiadomo, że pyta o więźnia.

- Butny i bezczelny. Angielskość w skrajnej postaci. - Pochylił się i pocałował ją w rękę. - Będę tęsknił za tobą, droga kuzynko.

Elsbeth uśmiechnęła się. Czarujący Ian potrafił wyrwać ją ze stanu najgłębszego przygnębienia. Mógł mieć każdą kobietę, której by zapragnął, ale wybrał sobie ją jedną i tylko z nią chciał się ożenić. Jeżeli romanśował na boku, to tak sekretnie, że nic o tym nie wiedziała. Patrick, przeciwnie, wręcz słynął z miłosnych podbojów. Jego małżeńska oferta brała się z troski o dobro klanu. Starał się o jej, Elsbeth, rękę wyłącznie w drodze formalnej, bez miłosnych deklaracji. Mimo to łączyła ich głęboka przyjaźń, zrodzona jeszcze w czasach dzieciństwa.

Czyż w ogóle któryś z nich mógł dopuścić się zdrady?

Jeżeli w klanie był zdrajca, to na pewno nie był nim żaden z jej kuzynów.

Obdarzyła uśmiechem obydwu po równi.

- Niech Bóg was prowadzi.

- Postaram się wrócić jak najprędzej - rzekł Ian.

- Pamiętaj o tym, co powiedziałem - dorzucił Patrick. - Bądź ostrożna.

Dosiedli koni. Elsbeth przypatrywała się Patrickowi. Znow się zamknął w swojej skorupie, mimo to odniosła

wrażenie, że chce coś jeszcze powiedzieć i na gwałt szuka odpowiednich słów.

- Czy nie za bardzo wyczerpała cię ta walka? - zapytała.

- Trzeba mi mocniejszego przeciwnika od Careya, żebym poczuł się zmęczony.

W słowach tych nie było cienia zawadiactwa czy pychy. Patrick był naprawdę wspaiałym szermierzem. Jego wytrzymałość w boju nie miała sobie równych. Poczuli wyrzuty sumienia, że w swej głupocie ośmieliła się podejrzewać go o coś tak okropnego jak zdrada.

Trącili konie ostrogami i skierowali się ku bramie, którą już otwierała warta. Na pogodne niebo wytoczył się księżyc. Noc była jasna. W takie noce pogranicznicy lubili wyruszać na swoje wyprawy. Elsbeth wiedziała, że pierwszy odcinek drogi jej kuzyni przejadą razem, by dopiero przy wielkim dębie rozdzielić się i ruszyć w dwóch przeciwnych kierunkach.

Żałość ścisnęła ją za gardło. W tym ostatnim okresie po śmierci ojca Patrick i Ian stali się jej nieodłącznymi towarzyszami. Nie odstępowali jej ani na krok, służąc moralnym wsparciem i polityczną radą. I za to wszystko wysłała ich w drogę pod błahym pretekstem i z wątpliwą misją, bo pewien Anglik zasiał w jej umyśle ziarno podejrzeń. Mylił się. Albo może celowo wprowadzał ją w błąd. Już nigdy go nie posłucha. Nie pobiegnie też i nie opatrzy mu ramienia. Rana nie wydawała się poważna, Ian zlekceważył ją. A to, że obficie krwawiła? Cóż, lord Huntington miał w sobie dużo złej krwi.

Wtedy pomyślała o Hugh, który oczekiwał w tej chwili na jej rozkazy. Próba ucieczki Huntingtona oraz jego pojedynki z Patrickiem sprawiły, że na śmierć zapomniała o tamtej sprawie. Musiała ją wszakże doprowadzić do końca. Inaczej nie miałyby sensu wysyłanie Iana i Patricka. Wynikało z tego, że tak czy inaczej musiała zobaczyć się dziś z Careyem.

Pośpieszyła do wieży. W obszernej sieni na parterze minęła się z Louisą. Dziewczyna miała jeszcze ślady łez na policzkach, ale jej oczy były wesołe. Zapewne razem z innymi obserwowała walkę i teraz radowała się zwycięstwem ukochanego. Bo że była zakochana w Patricuku i że była to miłość granicząca z uwielbieniem, *wiedzieli wszyscy*.

Mieszkała w twierdzy już bez mała dwa lata. Była córką poległego oficera. Osierocona również przez matkę, znalazła się pod prawną opieką ojca Elsbeth. Była miłą i ładną dziewczyną. Miała jasnobrązowe włosy z ciemniejszymi pasami i piwne oczy. Trzymała się na uboczu, do czego skłaniała ją wrodzona nieśmiałość. Już wielokrotnie Elsbeth próbowała się z nią zaprzyjaźnić. Za każdym razem dziewczyna odpowiadała półsłówkami, ciągle zamknięta w sobie.

Być może ona, Elsbeth, zajęta sprawami klanu, wkładała w te próby za mało uporu i wysiłku. Być może. Tak czy inaczej, Louisą opiekowała się faktycznie Joan, matka Patricka. Nagle Elsbeth przestała myśleć o dziewczynie, gdyż oczyma wyobraźni ujrzała przed sobą stalowoszare oczy, czarną grzywę nad czołem i wykrzywione w ironicznym uśmiechu usta.

Przywołała Annie, kazała jej nagrzać wody, sama zaś rozejrzała się za czystym płótnem. Postanowiła mimo wszystko odwiedzić więźnia. Jego śmierć na skutek zakażenia bądź z upływu krwi nie przyniosłaby klanowi żadnych korzyści, tylko same szkody. Poza tym Hugh musiał wiedzieć, z kim dokładnie ma się skontaktować i o co prosić tamtego człowieka. To były wszystko argumenty za rozmową z Careym.

Przed drzwiami celi siedziało na ławie dwóch nowych strażników. Gdy oświadczyła im, że chce porozmawiać z więźniem, spojrzeli po sobie, jakby niepewni, czy wolno im spełnić tego rodzaju prośbę. W końcu jednak wstali i upewniwszy się, że więzień ich nie *zatakuję, otworzyli drzwi. Zanim weszła, Elsbeth wyjęła z uchwytu płonąca pochodnię. Na progu odwróciła się i rzekła:*

- Za chwilę pojawi się Annie. Nie róbcie jej żadnych przeszkód. Będzie mi pomocna.

Rozejrzała się za więźniem, a znalazłszy go na posłaniu, zatknęła pochodnię w pierścień na ścianie.

Oślepiiony światłem, Alex mrużył oczy. Zdążył już usiąść, ale z powstaniem zwlekał. Mimo że w celi panował przejmujący chłód, miał na sobie tylko spodnie. Od pasa w górę był nagi. Lewą ręką okręconą miał odartym z okrycia kawałkiem sukna. Opatrunek przesiąknięty był krwią.

- Zachciało ci się wolności, Angliku - rzekła urągliwie.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Raczej chciałem uwolnić cię od kłopotu, pani.

- I prawie że ci się to udało.

Wykrzywił usta.

- Żałujesz, że nie uciekłem?

Czuła się zbyt zmęczona, żeby zмагаć się z nim na słowa.

- Chcę okupu. Wszystko inne wynika z tego prostego faktu.

Próbował się podnieść, lecz stracił równowagę i podparł się zranioną ręką. Wydał stłumiony jęk, a na jego pobladałą twarz wystąpiły krople potu.

- Siedź, jak siedziałeś, panie, a ja obejrzę twoją ranę. - Starła się nadać głosowi ostre brzmienie.

Zbliżyła się i uklękła. Weszła Annie z garnkiem przegotowanej wody. I o mało co nie wypuściła tego garnka z rąk. Czegoś takiego nie spodziewała się zobaczyć. Jej pani klęcząca przed Anglikiem, który siedział w niedbałej pozie na sienniku.

- Pozwól, pani, że ja opatrzę mu ramię.

- Nie, Annie. Ty wracaj na dół i przygotuj mi kąpiel.

Gospodyni postawiła garnek i z wysoko uniesioną brodą opuściła celę. Tego jeszcze nie było, żeby córka szkockiego lairda tak tańczyła przy nędznym Angliku!

Elsbeth zauważyła reakcję Annie i wpadła w panikę. Co ona tu najlepszego robiła? Dlaczego nie panowała już ani nad swoim sercem, które zalewało współczucie, ani nad rękami, które drżały jak w febrze, ani wreszcie nad głosem, który wydobywał się ze ściśniętego gardła? Co sprawiło, że wpadła w takie pomieszanie? Czyżby ten Anglik miał na nią jakiś magiczny wpływ? Musiała czym prędzej zająć swe myśli czymś innym.

- Dlaczego nie zabiłeś Patricka, choć miałeś okazję?

Pytanie padło niespodziewanie. Alex wrócił pamięcią do tamtej chwili. Była tak krótka, że nawet on miał wątpliwości, czy podjął świadomą decyzję. Ale Ian Ker i Elsbeth Ker zobaczyli dokładnie to samo. Tej kobiecie widocznie znane były arкана sztuki szermierczej.

- On nie zawahałby się - dodała prowokacyjnie.

- Wiem.

- Więc dlaczego?

Wzruszył ramionami. Patrzył na jej dłonie, które odwijają nasiąkniętą krwią szmatę.

- Mógłbym na tym tylko stracić.

- Nie mścilibyśmy się na tobie. My, Szkoci, potrafimy uszanować uczciwą walkę.

Najchętniej powiedziałyby jej, że ma już dość rozlewu krwi, nienawiści i dzikiej, beзуżytecznej przemocy. Nie uwierzyłaby mu. Był Careyem, a w jej przeświadczeniu wszyscy Careyowie palili, gwałcili i mordowali. Milczał więc patrząc, jak obmywa mu ranę i przewiązuje czystym płótnem.

Skończyła, głęboko westchnęła i już miała podnieść się z klęczek, gdy wzrok jej zatrzymał się na bliźnie na jego piersi. To nie mógł być ślad ani po kuli, ani po cięciu mieczem. Znała oba te rodzaje blizn. Była mieszkanką pogranicza. Tutaj wojenne żniwa praktycznie nigdy się nie kończyły. Machinalnie dotknęła dłonią blizny. Wzdrygnął się i cofnął.

- Co... - Nie dokończyła pytania, zmrożona wyrazem jego twarzy. W oczach miał gradowe chmury.

- Ranny więzień dziękuje ci, pani, za pomoc.

- Dobrze walczyłeś.
- Trochę fechtowałem się w życiu.
- Patrick nigdy nie został pobity.
- To bardzo możliwe.

Spojrzała nań z ciekawością. Wciąż nie rozumiała, dlaczego nie zabił Patricka.

- Patrick uważa, że powinnam cię zakuć, Angliku.

Aleksowi zaschło w gardle. Znow miał przed sobą wizję łańcuchów. Czyż nigdy nie przestanie być niewolnikiem? Jeżeli teraz nałożą mu kajdany, z pewnością oszałeje. Nadludzkim wysiłkiem woli zachował obojętność.

- A co o tym myśli moja pani?
- Myślę, że strażnicy nie dadzą się tak łatwo podejść po raz drugi.

Wyciągnął rękę i chwycił jej dłoń. Ścisnął ją mocno, a zarazem delikatnie i czule, bo była to dłoń kobiety, która nie chciała spętać mu nóg, a tym samym wtrącić w szaleństwo.

Na Elsbeth tymczasem biły ognie. Nigdy jeszcze nie doświadczyła czegoś takiego. Ciemniało jej w oczach. I kto to sprawił? Wyrwała dłoń i wstała z klęczek.

- Jak się nazywa człowiek, o którym wspomniałeś w naszej poprzedniej rozmowie?

Przez chwilę patrzył na nią z wyrazem oszołomienia na twarzy, w końcu jednak pojął, o co jej chodzi.

- Davey Garrick.

Kiwnęła głową i ruszyła ku drzwiom.

- Lady Ker!

Zerwał się i wcisnął jej w dłoń gruby pierścień z rubinem, herbowy klejnot Careyów.

- Niech posłaniec przekaże mu to ze słowami, by pośpieszył do Londynu i pokazał ten pierścień księciu Northumberland. Książę zapłaci okup, na którym tak wam zależy.

Spojrzała nań z zaciekawieniem w oczach.

- Masz godnych przyjaciół, panie.

Dobrze wiedziała, jaką to osobistość na dworze Anglii wymienił Aleksander Carey. Chodziło o samego lorda protektora, Johna Dudleya, który niedawno do tytułu hrabiego Warwick dodał tytuł księcia.

- Powiadasz zatem, że ów Garrick ma skontaktować się z najpotężniejszym człowiekiem w Anglii?

- Tak, pani.

Zawahała się. To porwanie z rozgrywki pomiędzy dwoma rodami mogło przemienić się w sprawę polityczną o szerokim zasięgu. Jeżeli Huntingtona i Northumberlanda łączyły więzy przyjaźni, to jej klan prędzej czy później znajdzie się w bardzo trudnym położeniu. Ani Kerowie, ani też inne przygraniczne klany nie, sprostają sile angielskiej armii.

Alex zbyt późno uświadomił sobie, jak poważny popełnił błąd. Zamiast wspominać lorda protektora, powinien był spuścić się na przemyślność Daveya. Elsbeth Ker słusznie mogła się obawiać, że z powiadomienia o sprawie angielskiego dworu mogą wyniknąć nieobliczalne konsekwencje. W rezultacie nawet nie zdziwiłby się, gdyby zaniechała działań.

- Najlepiej byłoby, gdybym nigdy cię nie spotkała, Angliku - rzuciła z mieszaniną gniewu i rozpacz i wyszła.

Drzwi zatrzasnęły się z głuchym łoskotem. Alex znów został sam. Natychmiast opadły go najczarniejsze myśli. Jak na ironię, pozostawiona przez Elsbeth pochodnia paliła się wesołym płomieniem. Zasadnicze pytanie brzmiało, co teraz zrobi lady Ker.

Tymczasem Elsbeth zastanawiała się dokładnie nad tym samym. W jakimkolwiek kierunku zwracała się myślami, dostrzegała same tylko pułapki i niebezpieczeństwa. Jej ojciec nigdy by nie porwał człowieka, którego nie można wymienić na brzęczącą monetę. Ale stało się i ona, Elsbeth, musi coś z tym zrobić. Nauczyła się nienawidzić Careyów w dzieciństwie. Byli dla niej ucieleśnieniem wszystkich złych mocy, które psuły świat. Dobrym Careyem był tylko martwy Carey.

Dlaczego jej więzień nie zabił Patricka? I czy Patrick był świadom, że darowano mu życie? Z pewnością. Dobry szermierz nie mógłby tego nie rozpoznać. A Patrick był dobrym szermierzem. Mimo to do końca dyszał żądzą zabicia Anglika. Czy Patrick mógł być zdrajcą?

Pytań przybywało i w rezultacie stwierdziła, że ma mętlik w głowie. Musiała czym prędzej zobaczyć się z Hugh. Narzuciła ciepłą opończę i po dwóch kwadransach była już w chacie Armstrongów. Zastała ich przy wieczerzy. Hugh odłożył nóż i widelec i wyszedł z nią na dwór. Nie chciał wtajemniczać w najważniejszą sprawę klanu swojej żony i dzieci.

- Słyszałem o próbie ucieczki i o pojedynku. Ten Carey musi być tęgim chwatem.

- Nie dostrzegłam w nim nic wyjątkowego.

Hugh cmoknął.

- Zapomniałem, że Careyowie są wyjątkowi jedynie w czynieniu zła. Powiedz mi lepiej coś o zadaniu, które mnie czeka.

- Ten człowiek w Huntington nazywa się Davey Garrick.

- Znam go - powiedział Hugh. - Mówią, o nim jako o znawcy sztuki wojennej.

Zsunęła z palca pierścień.

- Wręczysz to Garrickowi. Będzie wiedział, od kogo.

Hugh kiwnął głową.

- Powiedział coś jeszcze?

Westchnęła.

- Garrick ma powiadomić o wszystkim Dudleya.

- Lorda protektora?

- Tak.

Hugh cicho gwizdnął.

- Wiedziałem, że ma przyjaciół na dworze, ale nie miałem pojęcia, że tak blisko tronu.

- Może z tego wyniknąć wojna.

- Tak - zgodził się Hugh. - Wszystko się skrupi na Kerach, choć wiadomo, że to John Carey chce śmierci brata.

- Przecież mógł nasłać na niego zabójców, potem zaś obwinić nas o morderstwo.

- Zbyt duże ryzyko. Wszyscy znają jego żądzę władzy. Od razu stanąłby w centrum podejrzeń. Dlatego wymyślił, że to my wykonamy za niego tę robotę.

- I pomógł mu w tym jeden z naszych?

- Earl miał zginąć od razu, w momencie porwania. Nie wiedzieli, że będziesz na miejscu i zapobiegiesz temu.

Elsbeth pamiętała, jak zdecydowanie Patrick i Ian przeciwstawiali się jej uczestnictwu w wyprawie. Żaden z nich nie byłby zasmucony śmiercią earla.

Powinna odrzucić sam pomysł porwania. Ale wtedy wydał się jej bardzo pociągający. Podobnie jak inni członkowie klanu, ona też pragnęła zemsty i odpłaty. Rozpętała burzę i nie wiedziała teraz, jak ją uciszyć.

- Więc co nam pozostaje, Hugh?

- Przekażę wiadomość Garrickowi, ale nic mu nie wspomnę o lordzie protektorze.

- A jeśli Garrick nie jest sprzymierzeńcem Johna Careya?

- Wątpię, by ten twój Carey aż tak mało znał się na ludziach.

- I nadal sądzisz, że mamy zdrajcę w klanie?

- Trzeba poważnie liczyć się z taką możliwością.

- Mało brakowało, a Patrick zabiłby dziś Careya.

- Patrick łatwo wpada w szał bojowy. Trudno go wówczas pohamować.

- Czy to już nigdy się nie skończy?! - wykrzyknęła głosem nabrzmiałym rozpaczą.

Wszystko waliło się w gruzy. Nikomu już nie wierzyła. Wyraźny podział na dobro i zło, który stanowił dotąd fundament jej istnienia, powoli się zacieśniał.

- Jakoś temu poradzimy, dziewczyno - próbował pocieszyć ją Hugh.

Musiła zadowolić się tym jego zapewnieniem. Po-

prosiła, żeby podtrzymał jej strzemień. Dosiadła konia. Raz jeszcze spojrzała na starego człowieka. Będzie modliła się dziś w nocy za niego. I za cały klan.

Dwóch jeźdźców spotkało się na gościńcu. Przybyli z przeciwnych kierunków. Nie zsiadli z koni. Spieszyło się im. Darowali sobie nawet słowa powitania.

John Carey nie krył wściekłości.

- Spóźniłeś się! - warknął, patrząc na owiniętego w czarny płaszcz Szkota.

- Dobrze, że w ogóle mnie widzisz. Jadę z misją na północ. Mam prosić inne klany o pomoc w wojnie granicznej.

- Co z moim bratem?

- Wciąż przebywa w celi.

- Nie zabiją go?

- Elsbeth na to nie pozwoli. Wciąż liczy na okup.

- Więc musi uciec, jak planowaliśmy.

- Kiedy wrócę, pomogę mu w ucieczce.

- Żywy Aleksander zagraża tyleż mnie, co tobie.

- Nikt nie wie tego lepiej ode mnie.

- Kiedy więc planujesz wrócić?

- Za cztery dni.

- W takim razie wszystko musi rozstrzygnąć się w nocy po twoim powrocie.

- Tak też się stanie.

- Będę czekał na niego.

To było wszystko, co mieli sobie do powiedzenia. Dźgnęli konie ostrogami i rozjechali się w przeciwnych kierunkach. Żaden z nich nie zauważył człowieka

ka, który znajdował się w pobliżu i słyszał każde ich słowo.

Davey Garrick wyłonił się z zarośli i skierował ku miejscu, gdzie zostawił konia. Trafił tutaj, siedząc Johna Careya. I dobrze, że zdecydował się wreszcie na ten krok. Dzięki temu dowiedział się, co się stało z jego przyjacielem i panem. Porwali go Kerowie przy cichym udziale Johna Careya. Co jednak najważniejsze, Alex żył. Lecz John wydał na niego wyrok śmierci. Egzekucja miała się odbyć za pięć dni. Pięć dni. Z pewnością planowano jakąś zasadzkę. John Carey był dobry w wymyślaniu różnych podstępów. Ale tym razem na nic mu się zda cała ta jego Chytróść. Chyba że on, Davey Garrick, jest ostatnim niedorajdą. A ten Szkot? Jaka rolę odgrywał w całej tej diabelskiej intrydze? Davey na razie nie miał odpowiedzi. Był jednak dobrej myśli. Pięć dni to kawał czasu. Zdaży jeszcze dowiedzieć się wszystkiego.



8

Nazajutrz Elsbeth Ker robiła wszystko, by nie myśleć o uwiezionym Angliku.

Z samego rana udała się z wizytą do Cary, córki jednego z posłańców, którzy przepadli bez wieści. Dziewczyna mieszkała w pobliżu twierdzy i powitała lady Ker z nadzieją w oczach, lecz Elsbeth nie miała czym jej pocieszyć. Znow Careyowie okazali się sprawcami czyjegós nieszczęścia. Trudno jednak było ich winić za wszystko. Elsbeth dręczyły wyrzuty sumienia. Wyraziła zgodę na porwanie earla Huntington, a więc w jakiejś mierze ponosiła odpowiedzialność za śmierć ojca Cary.-

Ktoś bierze kamień i ciska w siedzącego na gałęzi ptaka. Kamień stacza się po ośnieżonym zboczu i tworzy lawinę. Lawina zasypuje wioskę w dolinie. Takim właśnie kamieniem było porwanie Aleksa Careya. Skutki tego czynu okazywały się na razie fatalne, a już na pewno przeciwne zamierzonym. Zginęło trzech ludzi, w klanie panował ferment, nadzieje na okup przysły. W dodatku był to dopiero początek. Ile jeszcze istnień ludzkich będzie kosztowało to, co ona i jej kuzyni pomysleli jako akt sprawiedliwości?

Pocieszając Carę, Elsbeth robiła wszystko, by nie

zdradzić się przed nią ze swoimi troskami. Dziewczyna miała dość własnych. Dwa lata temu straciła matkę, którą zabrała ciężka choroba, teraz zaś ojca, a jego śmierć wydawała się tym straszniejsza, im mniej o niej było wiadomo.

- Chciałabyś przeprowadzić się do wieży? - spytała w pewnym momencie Elsbeth. - Pomagałabyś Annie.

Błada twarz Cary pojaśniała. Praca w obrębie murów była traktowana jako wyróżnienie. Poza tym lady Elsbeth znana była ze swojej dobroci i wyrozumiałości. Równocześnie Cara wiedziała, że jeśli się nie zgodzi, oddana zostanie pod opiekę jakiejś rodziny, która zapewne już i tak miała zbyt wiele gęb do wyżywienia. Toteż bez chwili namysłu podziękowała za okazaną jej troskę.

Elsbeth objęła i uściskała sierotę.

- Wszystko będzie dobrze, Cara - pocieszała ją, wiedząc, że zarazem pociesza samą siebie.

Przeprowadzka do skromnej, lecz miłej izdebki w wieży odbyła się jeszcze tego samego dnia. Elsbeth wpadła na pomysł, by powierzyć dziewczynę, która wciąż nie mogła otrząsnąć się z przygnębienia, bezpośredniej opiece Louisy.

Louisa aż klasnęła w dłonie z radości, kiedy usłyszała, czego po niej Elsbeth oczekuje. Być może właśnie na coś takiego czekała: by stać się komuś potrzebna. Natychmiast też pobiegła do Cary i na powitanie uściskała ją jak siostrę.

Natomiast Joan, matce Patricka, całkiem brakowało ludzkiego ciepła i serdeczności. Ciągłe skwaszona,

skarżyła się na wszystko i wszystkich. Ostatnio sarkała na służbę i jedzenie. Gdy zirytowana Elsbeth powiedziała jej, że są zbyt biedni, by trzy razy dziennie jeść mięso, Joan wykrzyknęła.

- Ale na żywienie Careya nie brakuje pieniędzy! Karmić wroga! Raczej powinno się go zabić. On jeszcze sprowadzi na nas nieszczęście. Cały klan boi się tego wraz ze mną.

Elsbeth nic by sobie nie robiła z tych słów, gdyby słyszała je tylko z ust matki Patricka. Ale podobnie mówili inni i tych było coraz więcej. Joan podsyciała tę nienawiść. Wyczuwała, że ten Carey może stać się rywalem jej syna. A wtedy w łeb wezmą plany połączenia małżeńskim węzłem Elsbeth i Patricka. Jakim sposobem Anglik mógł pomieszać jej szyki, nie miała najmniejszego pojęcia, w każdym razie czuła się zagrożona z jego strony i robiła wszystko, by temu zapobiec.

Elsbeth świadoma była intryg Joan, której z dnia na dzień przybywało zwolenników. Rzadkością bowiem był Ker, który nie miałby z Careyami jakichś porachunków. Tyle że w jednej rodzinie były to spalone przez angielskich najeźdźców budynki lub zagarnięte bydło, w drugiej zaś zarąbany syn lub zgwałcona córka.

Cierpliwość Kerów była na wyczerpaniu.

Świadoma, że zbliża się czas rozstrzygnięć, Elsbeth zadawała sobie pytanie, jak długo jeszcze będzie w stanie narzucać swoją wolę pozostałym Kerom, tym bardziej że bez Patricka i Iana pozycja jej uległa znacznemu osłabieniu. Szkatuła była pusta i jedynie okup za Huntingtona mógł ją napełnić. Wtedy można byłoby

odbudować spalone domostwa, powiększyć stada i zmniejszyć na jakiś czas podatki. To wszystko jednak nigdy nie nastąpi, gdyż John Carey nie zapłaci okupu. Natomiast jak najbardziej realny wydawał się wybuch wojny. Niech piekło pochłonie wszystkich Careyów!

Wczesnym popołudniem powróciło tamto. Dziwna, upokarzająca, niemal fizyczna potrzeba zobaczenia więźnia. Im więcej Elsbeth wynajdywała sobie zajęć, tym intensywniej o nim myślała. Wreszcie kazała osiodłać konia i wzięwszy eskortę, ruszyła na objazd zamieszkujących rubieżę rodzin. Chciała namówić dzierżawców do przeniesienia się w obręb murów twierdzy; powrócą do swoich domostw, kiedy między Kerami a Careyami dojdzie do jakiejś ugody. Przekonała wszystkich, a jedna rodzina nawet zabrała się z nią w drodze powrotnej.

Dotarli do twierdzy już pod wieczór. Przez dziedzińiec biegł ku Elsbeth jeden ze strażników.

- Coś z nim nie tak - wykrztusił, chwytając za końską grzywę. - Rana zaczęła się paskudzić.

Powoli zsiadła z konia. Dziwne, ale sprawy, które dotychczas uważała za ważne, nagle straciły na znaczeniu.

- Posłałeś po Magdalene?

- Czekaliśmy na twój powrót, pani.

- Więc teraz ją przyprowadź. - Magdalene była akuszerką i znała się na leczeniu ziołami. - Opisz jej stan więźnia i powiedz, by się pospieszyła.

Zrzuciła opończę i natychmiast udała się schodami na piętro. W celi panował półmrok. Anglik leżał nieruchomo, patrząc w sufit szklistymi, szeroko otwartymi

oczami. Czoło zroszone miał potem, twarz bladą i zmierniałą. Oddychał szybko, płytko i z poświstem. Nawet nie przypominał tego szermierza, który walczył wczoraj z Patrickiem.

Dotknęła czoła więźnia. Miał wysoką gorączkę.

- Lordzie Huntington - szepnęła, lecz nie uzyskała odpowiedzi.

Ogarnęła wzrokiem celę i poślanie. Zobaczyła nędzę i brud tego miejsca. Doszło do zakażenia, gdyż najpierw obwiązał sobie ranę brudną szmatą.

- Przenieście go do izby Patricka - zwróciła się do strażników.

- Ależ pani...

- Pozostawiając go tutaj, skazujemy go na śmierć. A cóż nam po martwym zakładniku?

Ujęto więc więźnia za nogi i pod pachy i zniesiono dwa piętra niżej. Izba Patricka miała dwa duże okna i wygodne łożo. Zjawił się człowiek z wodą i czystymi lnianymi szmatami.

Chory jak gdyby wyczuł, że dokonała się wokół niego jakaś zasadnicza zmiana. Zamknął oczy. Długie rzęsy niemalże dotykały policzków, nadając obliczu rys młodości i szlachetnej niewinności. Cicho jęknął.

Elsbeth odruchowo spojrzała ku drzwiom. Magdalenie wciąż nie nadchodziła.

Sama więc zdjęła założony wczoraj opatrunek. Wokół rany widać było brzydkie zaognienie. Ramię napuchło i bił od niego żar.

- Lordzie Huntington - szepnęła po raz wtóry, pragnąc wyrwać chorego z maligny.

Tym razem zareagował. Otworzył oczy.

- Nadine?

Znękane serce Elsbeth zadrzało, po czym zaczęło bić gwałtownie.

- Nadine - powtórzył Alex zbolałym głosem.

Pochyliła się, by wilgotną szmatką przetrzeć mu twarz. Ruch ten zaniepokoił go. Wyciągnął w obronnym geście zdrową rękę, jakby próbował odeprzeć złe moce.

- Jestem tu. Nadine czuwa nad tobą.

Chyba sam Bóg włożył jej w usta te słowa, gdyż chory nagle odprężył się i uspokoił. Przypominał teraz dziecko, zbyt zmęczone zabawą, by umyć się samemu, ale chętnie godzące się na to, by umyła je piastunka. Albowiem Elsbeth wciąż maczała szmatkę w wodzie i przecierała nią czoło, policzki, usta i piersi Aleksa.

- Wyzdrowiejesz, wyzdrowiejesz na pewno - mówiła na wpół do siebie, na wpół do chorego.

Wreszcie pojawiła się Magdalene. Postawiła na stole przy łożu koszyk pełen ziołowych maści i wywarów. Od razu też zajęła się chorym. Przemyła ranę jakimś zielonkawym likworem, potem wtarła w nią żółtą maść. Na koniec wlała choremu w usta, poprosiwszy Elsbeth o uniesienie mu głowy, dwie łyżeczki jakiejś ciemnej i gęstej mikstury.

Elsbeth spojrzała na akuszerkę.

- Będzie żył? - spytała stłumionym głosem.

- Pod warunkiem dobrej opieki.

- Zapewnię mu ją.

- Już mu ją zapewniłaś, pani - rzekła kobieta z wiele mówiącym uśmiechem.

- Dopóki żyje, jest coś wart; gdyby umarł, niewart byłby złamanego szelaga - wyjaśniła Elsbeth w formie usprawiedliwienia.

- Oczywiście - zgodziła się kobieta. Była akuszerką, widziała wiele, ale starała się nie osądzać rzeczy. Od Elsbeth doświadczała tylko dobra. Podobnie jak inni Kerowie, nienawidziła Careyów, ale pomysł z okupem podobał się jej. - Ten proszek należy podawać choremu w ilości dwie szczypty na kwartę wody dwa razy dziennie. A tu jest balsam do wcierania. Przyjdę jutro późnym popołudniem.

- I to wszystko?

- Wszystko, jeżeli chodzi o leki. Poza tym niech dużo pije i ma zapewniony spokój.

Elsbeth czuwała przy chorym przez całą noc, chłodząc moczona w zimnej wodzie szmatką jego rozpalone ciało. Annie, która co jakiś czas zmieniała tę wodę, bezskutecznie usiłowała namówić swoją panią do udania się na spoczynek.

Z czasem oddech earla stał się spokojniejszy. Leki Magdalene zaczynały działać. Wciąż jednak miał gorączkę. Bełkotał coś przez sen. Z potoku niezrozumiałych słów Elsbeth zdołała wychwycić jedynie dwa imiona, Henri i Nadine, oraz kilka przekleństw. Przeplatane było to wszystko przejmującymi okrzykami bólu i trwogi, jakby widział siebie na mękach. Wówczas jej serce wzbierało współczuciem, choć przecież nie było mądrą rzeczą litowanie się nad wrogiem. Zaiste, dziwny był to wróg. Na jego przystojną twarz, szlachetne czoło i harmonijnie rzeźbiony tors mogłaby patrzeć godzinami.

Och, niechby był nawet sobie Anglikiem, tylko nie earlem Huntington, nie Careyem!

Był jednak tym, kim był, i nic na to nie mogła poradzić. Powinna zatem traktować go jak zakładnika i jeńca. Tymczasem pociągał ją i wabił, niczym szemrzący strumień spragnionego i zdżożonego wędrowca. Spoglądała na dziwną bliznę na jego piersi i tym bardziej pragnęła go poznać. Chciałaby wejrzeć w całą jego przeszłość, posiąść wszystkie jego tajemnice. Wstrząsnęła się. Stanowczo już nie panowała nad swymi pragnieniami.

Alex odzyskał świadomość i otworzył oczy. Rozejrzał się wokół z pewnym lękiem. Izba tonęła w świetle. Na dużym kamiennym kominku płonął ogień, a na ścianach migotały pochodnie. Bolała go głowa oraz lewe ramię. Ciało trawiła gorączka. Był słaby jak kociak.

Wtem dostrzegł nad sobą dwoje bursztynowych oczu. Wpatrywały się weń z napięciem i troską. Ta troska mogłaby uleczyć z każdego bólu. Poczował coś wilgotnego na czole. Chłód przynosił rozkoszną ulgę. Ileż to już lat minęło od dnia, gdy po raz ostatni doświadczał czyjeś czułości i troski? Pragnąłby pochwycić tę dłoń i przywrzeć do niej ustami w żarliwym, wielbiącym pocałunku. Był jednak taki słaby, tak bezgranicznie słaby.

No i nadal był więźniem. Właściwie nic się nie zmieniło. Po prostu zachorował. Kto liczy na okup, ten dba o zakładnika. Nikt nie zapłaci za truchło i padliną. Zdobyl się na błądy uśmiech.

- Jest fraszką choroba, gdy ma się taką opiekunkę.

Ten głos i uśmiech sprawiły jej radość.

- Radziłabym czym prędzej wyzdrowieć. Stajesz się, panie, kłopotliwym więźniem.

- Więźniem, nad którym pochyla się jasny anioł.

- Aniołowie pomagają w walce ze złem.

Roześmiał się.

- Dobro przeciwko złu. Czy można wiedzieć, jak skończy się ta walka?

- Czasem zwycięża dobro, a czasami zło - odparła z jakimś gorzkim smutkiem.

- Nie jestem twoim wrogiem, pani.

- Każdy Carey to mój wróg.

- Tak było niegdyś. Teraz mogło się zmienić.

Potrząsnęła głową. Wolała nie patrzeć mu w oczy. Miały w sobie siłę, która ją zniewalała. Kto wie, może naprawdę był diabłem.

- Gdzie jestem? - zapytał po chwili milczenia.

- W izbie mojego kuzyna Patricka.

Uśmiechnął się, tym razem szczerze rozbawiony.

- I co o tym myśli ów poczciwy Patrick?

- Nie ma go. Wyjechał.

Alex zmarszczył brwi i próbował się podnieść, ale ogromna słabość rzuciła go z powrotem na łóżko. W głowie huczały mu spiżowe dzwony.

Przestraszona tym jakby omdleniem, Elsbeth pode-
rwała się z krzesła i chwyciła ze stołu cynowy kubek.

- Wypij to - powiedziała, unosząc mu głowę.

Domyślił się, że to jakaś uzdrawiająca mikstura, i posłusznie spełnił jej życzenie. Chciał jak najszybciej wrócić do sił i zdrowia.

- Czy jestem bardzo chory?
- Tak - powiedziała. - Wdało się zakażenie.
Spojrzał na swoje ramię. Bolało jak sto diabłów.
- Dziękuję - rzekł.
- Ocalenie zawdzięczasz, panie, pewnej akuszerce.
- Akuszerce?
- Ma na imię Magdalene i zna tajemnice wszystkich ziół.
- W takim razie dziękuję za sprowadzenie jej do mnie.
Pomyślała, że wcale nie rozmawiają jak wrogowie.
- Martwy zakładnik niewart jest złamanego szeląga - powtórzyła słowa, które zdażyły już stać się jej tarczą.
- Obawiam się, że żywy jestem wart równie niewiele. Po co więc ratować życie komuś, kto i tak ma zostać powieszony?
- Egzekucja to także pewna rozrywka. Po co pozbawiać ludzi czegoś, co ich bawi? - odparła pytaniem na pytanie, ukrywając pod tą maską okrutnego żartu tklivość, lęk i smutek.
- Więc jestem tu tymczasowo? - Obiegł wzrokiem pomieszczenie.
- Tak.
- Nie powiem, żebym tęsknił za moją celą. - Lekarstwo zaczynało działać. Z trudem poruszał wargami. Członki opanowywała dziwna ociężałość. Wciąż jednak bronił się przed zamknięciem oczu. Nie chciał tak szybko pozbawiać się widoku tej pięknej twarzy, która zdawała się twarzą anioła.
- Każdy chce być wolny - rzekła łagodnie.

Patrzyła, jak jego powieki powoli opadają. Długie rzęsy rzucały już cienie na policzki. Wyglądał w tej chwili jak zmęczony harcami na źrebaku chłopiec.

- Jesteś tak diablo piękna - wyszeptał i osunął się w spokojny, głęboki sen.

To były bardzo miłe słowa. Duża łza spłynęła jej po policzku. Siedziała przy chorym do samego rana, chwilami zapadając w drzemkę. Kiedy budziła się, kładła dłoń na jego czole, które za każdym razem zdawało się jej chłodniejsze. Gorączka spadała, zakażenie ustępowało przed lekiem. Chory przestał majaczyć. Spał z uśmiechem na wargach, jakby śnił czarowne sny.

Nazwał ją diablo piękną. Nigdy nie myślała o sobie w ten sposób. Uroda była dla niej sprawą drugorzędną. Inne rzeczy wydawały się stokroć ważniejsze. Owszem, wielu starało się o jej rękę, lecz małżeństwo było dla niej tylko interesem. Dzięki małżeństwu można było powiększyć majątek, umocnić władzę, wypłacić się z długów, ustanowić przymierze, zawrzeć pokój.

Tak, zawrzeć pokój, ale tylko pomiędzy dwoma skłóconymi klanami. Nienawiści pomiędzy klanem szkockim a rodem angielskim nie mogło przekreślić żadne małżeństwo. Wrogość wrosła w ludzkie serca zbyt głęboko.

A przecież nie był jej nienawistny ten czarodziej, który spał teraz głębokim snem w łóżku Patricka. Nigdy nie zgodzi się na wydanie go w ręce kata. Jeżeli ostatnia próba wymuszenia okupu spełźnie na niczym, to pozwoli mu uciec. Tyle że przedtem każe mu przysiąc, że zaniecha odwetu na Kerach.

I już nigdy więcej go nie zobaczy. I zapewne wyjdzie za jednego ze swoich kuzynów, Patricka lub Iana, bo bez tego nie uda się jej utrzymać władzy nad klanem. Klan żądał od niej dowodów bezwzględności, ona zaś nie mogła sprostać temu żądaniu. Była kobietą i miała kobiece serce. Ukryła twarz w dłoniach i zalała się łzami. Jej cichy szloch mieszał się z trzaskiem płonących na kominku polan. Wtem poczuła, że ktoś delikatnie dotyka jej ramienia. Odwróciła twarz i zobaczyła szare, patrzące ze współczuciem oczy. Połączyła swoją dłoń z wyciągniętą ku niej dłonią. Poddała się sile przyciągania, chyląc się coraz bardziej i bardziej do przodu. Była teraz już bardzo blisko niego, ale on chciał, by była jeszcze bliżej.

- Chodź do mnie - wyszeptał, a ona go posłuchała.

Opadła na łóżko i wstrzymała oddech. Zaczął ją całować. Spijał wargami łzy z jej twarzy, pieścił usta, muskał skronie i czoło. Otoczył ją chmurą ciepła, czułości i zrozumienia. Zniknęły bariery, które ich dotąd dzieliły. Dotykali siebie, głaskali, całowali i pieścili. Jego oczy śmiały się do niej, przepastne niczym niebo nad doliną, bezchmurne, szarobłękitne.

Alex nigdy jeszcze dotąd nie doświadczył takiego uniesienia. Elsbeth Ker sięgnęła w głąb jego istoty i pozwoliła wytrysnąć źródłom uczuć, o których istnieniu nie miał pojęcia. Trzymał w ramionach samo światło, samo ciepło, sam blask i nawet nie czuł, że jedno z jego ramion pulsuje bólem.

- Elsbeth - wyszeptał - zaufaj mi.

Słowa te poraziły jej duszę. Chciała tego. Przesunęła

opuszkami palców, kreśląc na jego twarzy tajemne znaki miłosne. Dalej nie mogła się posunąć, bez względu na to, jak bardzo jej dusza i ciało ciążyły ku niemu. Był Careyem, tęsknił za wolnością i jakiś wewnętrzny głos szeptał jej do ucha, że nigdy nie powinna zaufać Careyowi.

Jak gdyby odgadł jej myśli, bo nagle jego oczy powlekły się mgłą smutku. I tak trwali w uścisku, nie mogąc ani się z niego wyzwolić, ani napełnić go żarem i nie hamowaną już niczym namiętnością.

Za drzwiami rozległ się hałas. Pewnie zmieniają się strażnicy, pomyślała Elsbeth i w przypływie lęku, na wszelki wypadek poderwała się na nogi.

- Nigdy cię nie skrzywdzę, Elsbeth - rzekł uroczystym głosem. - Wiem, że mi nie wierzysz. Ale może nadejdzie dzień...

Nie dokończył. Rozległo się pukanie do drzwi i weszła gospodyni. Niosła garnek z wodą. Badawczym wzrokiem przyjrzała się swej pani.

- A nie mówiłam? Wygląda panienka jak z krzyża zdjęta. Albo więc pójdzie panienka do łóżka, albo będziemy mieć dwoje chorych. - Obrzuciła Aleksa piorunującym spojrzeniem.

Elsbeth kiwnęła głową. Faktycznie, czuła się ledwie żywa.

Annie stanęła nad chorym.

- Wygląda jakby lepiej - zauważyła, równocześnie miną dając do zrozumienia, że byłoby dla wszystkich z korzyścią, gdyby choroba okazała się silniejsza.

Elsbeth patrzyła w okno. Wstawał dzień.

- Możesz natrzeć go maścią. - Wskazała na słoik na stole.

- A co z jego powrotem na górę? - zapytała Annie z beczelnością służącej, która wie, że ma względy u swej pani. - Patrick nie będzie zachwycony, że ktoś taki spał w jego łóżku.

- Przeniesiemy go tylko za zgodą Magdalene - odparła Elsbeth.

- Niech zatem wyrazi ją jak najprędzej - mruknęła Annie. - Przechodzi ludzkie pojęcie, żeby traktować Careya jak gościa.

Elsbeth poczuła, że musi przeciąć tę rozmowę.

- Annie! - rzuciła ostrzegawczo, po czym bez słowa opuściła pokój.

Wracała do swoich komnat z głębokim przeświadczeniem, że ta noc tak czy inaczej okaże się w jej życiu wyjątkowa. Los zetknął ją z prawdziwym diabłem, który sprawił swoimi czarami, że zapomniała o klanie, swoich zobowiązaniach i swojej pozycji. Och, zapomniała nawet o tym, z czyich skrytobójczych rąk zginął jej ojciec.

„Zaufaj mi” - powiedział.

Równie dobrze mogła zaufać żmii.

Zaraz jednak przypomniała sobie ów wyraz bólu i goryczy na jego twarzy, gdy zrozumiał, że nie będzie mu ufała. A czyż nie utulił jej i nie próbował pocieszyć w jej samotności?

Tak, to wszystko przechodziło ludzkie pojęcie, mówiąc słowami tej nieznośnej Annie. Córa Kerów pocieszana przez Careya! Jej obowiązkiem było nienawidzić go. Jej obowiązkiem było nie wierzyć ani jednemu jego słowu.

Natarty i napojony ziołowymi specyfikami, Alex spał przez większą część dnia. Późnym popołudniem gorączka całkiem ustąpiła i rozpoczął się proces powrotu do zdrowia.

Przyniesiony mu posiłek zjadł w całości i nawet wypił pół kieliszka wina. Oczekiwał wizyty lady Elsbeth, jakkolwiek nie miał żadnej pewności, czy ujrzy ją przed powrotem do celi na szczycie wieży. Nie miał żadnych wątpliwości, że ta przeprowadzka nastąpi.

Powinien był spytać ją dzisiejszej nocy, czy w końcu wysłała kogoś do Daveya. Gdy ujrzął łzy w jej oczach, poczuł, że musi ją pocieszyć. I stało się, że znalazła się w jego objęciach.

Była to wszakże ulotna chwila czarownej ułudy. Bo kiedy lady Elsbeth go opuszczała, znowu bił od niej chłód obojętności. A już gospodyni potraktowała go jak jakiegoś przestępcę. Jeśli wszyscy Kerowie czuli do niego taką wrogość, to mógł zapomnieć o ułaskawieniu.

Pod wieczór zjawiała się stara kobieta, w której odgadł akuszerkę.

Obejrzawszy ramię, starucha potrząsnęła głową.

- Czy źle? - spytał z niepokojem w głosie. - Czują się dużo lepiej niż wczoraj.

- Rzecz w tym, że nie widziałam, żeby ktoś tak szybko powracał do zdrowia.

Ściągnął brwi. Nie całkiem rozumiał.

- Lady powiedziała, że masz wrócić do celi, gdy odzyskasz siły.

- Czy już je odzyskałem?

- Nie - odrzekła. - Potrzebujesz ciepła i wygody.

- Nawet Carey? - zapytał z uśmiechem.

- Przede wszystkim Carey - odparła. - Chociaż ty wydajesz się jakby z innego stada.

Był zaskoczony.

- Widziałaś któregoś z Careyów?

- Twój ojciec zabił mojego Johnny'ego.

- Był twoim synem?

- Mężem. Wydarzyło się to dwadzieścia sześć lat temu. Spalili naszą zagrodę, zarabali Johnny'ego, a mnie pozostawili na skonanie.

Alex milczał. Dobrze wiedział, co musiało poprzedzić ich odjazd, skoro pozostawili ją na skonanie. Teraz już zupełnie nie rozumiał, jak mogła opiekować się nim i chronić go przed śmiercią.

- Stary lord był dobrym człowiekiem - ciągnęła Magdalene. - Ale ten, który rządził przed nim, był takim samym diabłem jak twój ojciec. To również jego wina, że tyle między nami nienawiści.

Zacisnął usta. Od dziecka słyszał o okrucieństwach Kerów. Dlatego na pierwszą łupieską wyprawę wybrał się z uśmiechem na ustach i pełen animuszu. Wrócił

ściszony i zamknięty w sobie. Ofiarą padli Bogu ducha winni ludzie.

- Jest moim gorącym pragnieniem, żeby to wszystko wreszcie się skończyło - oświadczył.

- Powiedziałaś to mojej pani?

- Czy Carey może przekonać do czegokolwiek głowę klanu Kerów?

- Uzbrój się w cierpliwość.

- Cierpliwość to czas, a ja nawet nie wiem, czy dożyję jutra.

- Nie upadaj na duchu, młodzieńcze. Myślę, że czekaliśmy na kogoś takiego jak ty.

Alex spojrzał jej prosto w oczy. Zobaczył w nich spokój pogodnego nieba. Wstąpiła weń otucha.

- Co wiesz o człowieku, którego izbę zajmuję? - zapytał.

- O Patricku? Jest w jakiejś mierze podobny do ciebie. Też pełen tajemnic.

- A Ian Ker?

- Łatwo u niego o śmiech. Wszyscy go lubią.

- Od dawna tu mieszkają?

- Można rzec, od zawsze.

- Czy któryś z nich jest żonaty?

- Obaj zabiegają o rękę lady Elsbeth.

- A co ona na to?

- Czeka. - Magdalene spojrzała na Aleksa przenikliwym wzrokiem, po czym wstała, gotując się do wyjścia. - Czas na mnie. Przyjdę jutro rano.

Alex chwycił ją za rękę i mocno uściśnął. Tylko w ten sposób mógł wyrazić jej swoją wdzięczność. Tak

naprawdę jednak wcale nie musiał dziękować. Wyraz jego oczu powiedział jej wszystko. Pozostawiła go głęboko poruszonym i pełnym nadziei.

Davey Garrick czekał na właściwy moment.

Śledził Johna Careya już od kilku dni, zanim stał się świadkiem jego spotkania ze Szkotem. Słyszał ich rozmowę, dowiedział się rzeczy, które dały mu ogólną orientację w uknutej intrydze. Dwa dni później John na jego oczach spotkał się z Simonem, człowiekiem występny i bez skrupułów.

A jednak chociaż Davey wiedział już tak wiele, nie wiedział wszystkiego. Na przykład w mroku nocy nie widział twarzy Szkota i wątpił, by w razie czego mógł go rozpoznać po głosie. Częściowo też tylko orientował się w obecnej sytuacji Alexandra Careya, swojego pana i przyjaciela. Nie był dobrej myśli, ponieważ znał Kerów i ich okrucieństwo. Uczestniczył w wielu wyprawach na terytorium wroga, wielokrotnie też bronił Huntington przed Szkotami. Wojaczka była jego zawodem. Nie trapił się za bardzo obrazami zniszczeń i śmierci. Takie po prostu było to życie na granicy, pełne waśni i gwałtów, bez których on, Garrick, zostałby bez zajęcia i środków do życia.

Nienawidził kłamstwa. Doprowadzała go do wściekłości dwulicowość Johna i poprzysiągł sobie, że tytuł earla Huntington pozostanie przy prawowitym dziedzicu.

Potrzebował jednak współnika i pomocnika, a nie bardzo miał komu zaufać. Na pewno nie wchodził w grę

nikt ze zbrojnej obsady zamku ani żaden z dzierżawców, gdyż wszyscy oni powiązani byli różnymi niemi zależności z Johnem Careym. Alexander sprawował władzę zbyt krótko, by zmienić ten układ na bardziej korzystny dla siebie. Poza tym Davey zdawał sobie sprawę, że gdyby John zorientował się w jego zamiarach, nie żałowałby grosza na pozbycie się go.

Davey mógł powiadomić o wszystkim dwór angielski, ale nie dysponował żadnym dowodem przeciwko Johnowi. Samemu jego słowu na pewno nie dano by wiary, tym bardziej że oskarżenie dotyczyłoby szlachcica. W rezultacie skończyłby na szubienicy lub ze sztyletem w plecach w jakimś ciemnym zakątku.

Tak więc musiał czekać na dzień ucieczki Alexandra i obronić go przed tymi, którzy mieli się nań zasadzić. Problemem był ten Szkot, z którym potajemnie spotkał się John. Davey nie znał do końca jego zamiarów.

Davey był człowiekiem prostym i myślał też prosto. Nie lubił zbyt skomplikowanych planów, opartych zazwyczaj na podstępnie i oszustwie. Ponad wszystko przekładał szarżę z uniesioną bronią oraz szarżę bojową, kiedy to nie prosi się o łaskę i nie daje łaski. Jego lojalność była całkowita, wiara niezachwiana, uprzedzenia stałe. Nie lubił Szkotów, bo nikt nie lubił tych barbarzyńców z północy. Nie ufał też nikomu, z wyjątkiem Alexandra Careya, człowieka, który trzymał niegdyś jego życie w ręku i darował mu je.

Uświadamiał sobie bardzo dobrze, że sam nie podoła wszystkiemu. Jeżeli coś pójdzie nie tak, narazi życie earla, a i swoje własne. Jednakże nie nasuwało mu się

żadne inne rozwiązanie. Nie widział żadnego sposobu ostrzeżenia Alexandra.

Aż pewnego dnia...

Davey ćwiczył właśnie oddział ochotników, kiedy nadbiegł chłopak z wiadomością, że pyta o niego jakiś wędrowny handlarz. Ma do sprzedania rzadki turecki kindżał, a słyszał, że mąż o nazwisku Garrick interesuje się różnymi rodzajami broni.

Davey broni miał pod dostatkiem i już chciał powiedzieć „nie”, gdy nagle coś mu przyszło do głowy. Skąd handlarz znał jego nazwisko? Nie był mającym człowiekiem, a tylko na bogaczu można zarobić. Wy tłumaczył żołnierzom, co mają robić podczas jego nieobecności, wskoczył na konia i pogalopował do swego domu.

Wóz handlarza wyglądał raczej nędznie, niewiele też było na nim towarów. Człowiek stojący obok gniadej szkapiny był grubokościsty i średniego wzrostu. Miał siwe włosy, w których tu i ówdzie przebłyskiwały miedziane pasma. Davey doznał wrażenia, że już widział gdzieś tego mężczyznę, ale nie mógł skojarzyć go sobie z żadną konkretną chwilą i miejscem.

Tamten spoglądał badawczo, ale uśmiechał się w sposób typowy dla domokrażcy, który spodziewa się ubić dobry interes.

- Stokrotne dzięki, że przyszedłeś, panie - powitał go wylewnie. - Powiedziano mi, że może zainteresować cię pewien przedmiot. - Podsunął Daveyowi na otwartej dłoni coś, co bynajmniej nie wyglądało na turecki kindżał.

Davey rozwinął szmatkę i ujrzał rodowy pierścień

Careyów. Ostatnio widział go na serdecznym palcu Alexandra.

- Skąd to masz, handlarzu? - zapytał.

Tamten obejrzał się na boki, nie przestając wszak uśmiechać się przymilnie.

- Dał mi to lord Huntington z prośbą, abym doniósł ci, panie, że uwięziony został dla okupu.

- Dlaczego zwracasz się z tym do mnie, a nie do jego brata?

- Do Huntington wysłano już trzech posłańców. Żaden z nich nie wrócił.

- Jesteś Kerem? - W głosie Daveya zabrzmiała wrogość.

- Armstrongiem - padła dumna odpowiedź. - Ale wszystkie sprawy Kerów były dotychczas moimi sprawami.

Davey uważnie przypatrywał się mężczyźnie. Bez wątpienia nie brakowało mu odwagi. Wjechał na terytorium wroga uzbrojony wyłącznie w fortel i maskę.

- A skąd mam wiedzieć, że Huntington żyje?

- Miałem cię odnaleźć i wręczyć ten pierścień. Innych dowodów nie mam.

- Jak się czuje?

Hugh wzruszył ramionami.

- Żyje-

Mierzyli się spojrzeniami i każdy chciał wyczytać z twarzy drugiego jak najwięcej.

Garrick pierwszy przerwał milczenie.

- Czego lord Huntington po mnie oczekuje?

- Ciekaw jest, czy do jego brata dotarł któryś z posłańców.

Garrick zacisnął usta.

- Jeżeli nawet, to my nic o tym nie wiemy. - Mógł podać więcej faktów obciążających Johna, ale nie był jeszcze gotowy. Wciąż podejrzewał podstęp.

I znów zapadła pełna nieufności cisza.

Davey odezwał się pierwszy.

- Skąd wy, Kerowie, bierzecie nadzieję na okup? Prawda jest taka, że John chce się pozbyć prawowitego dziedzica.

- Zbyt późno zaczęliśmy to podejrzewać.

- Wśród was jest zdrajca - wypalił Davey, spodziewając się zdumienia na twarzy tamtego.

- Łajdak wszędzie się znajdzie. Czas, żeby go zde-maskować, jeżeli nie masz zajęczego serca.

Davey nieoczekiwanie uśmiechnął się, opuściły go wątpliwości.

- Chodź - powiedział. - Może coś uradzimy.

Kilka godzin później Davey Garrick, ubrany jak do dalekiej podróży jechał obok człowieka, którego uważał dotąd za swego wroga i który za jakiś czas prawdopodobnie znów stanie się jego wrogiem. Na razie panowało pomiędzy nimi zawieszenie broni.

Anglik potwierdził obawy Szkota, że jakiś Ker jest w zмовie z Johnem Careyem. Hugh przyrzekł sobie w duchu, że zabije zdrajcę gołymi rękami. Oby tylko nadarzyła się sposobność.

Wedle uknutego przez spiskowców planu więźniowi

najpierw pozwoli się uciec, by potem zabić go z zasadzki. Trzeba było uprzedzić Aleksa o grożącym mu niebezpieczeństwie. Davey i Hugh uradzili, że pojedą razem. Davey zostanie przedstawiony jako daleki kuzyn Armstronga. Były podstawy, by wierzyć, że nikt go nie rozpozna. Przede wszystkim znaczna większość łupiejskich wypraw, w których uczestniczył, miała miejsce nocą, a poza tym zwykł nakładać na te wyprawy hełm z żelazną ochroną na nos, która częściowo zasłaniała twarz. Mowa też nie była problemem. Zamieszkujący przygraniczne tereny Anglicy i Szkoci mówili dokładnie tym samym językiem.

Pomimo iż na pewien czas zmienili się w sojuszników, Davey i Hugh nie mogli do końca pozbyć się wrogości. Toteż jechali w milczeniu, które zakłócał jedynie stukot kopyt końskich na kamienistym gruncie oraz parsknięcia zwierząt.

Jechali całą noc, okrężną drogą, chcąc najpierw zbliżyć się do posiadłości Armstrongów, by potem od wschodu wjechać na tereny Kerów. Tuż przed świtem Hugh zatrzymał się i każąc Daveyowi czekać na swój powrót, zniknął wśród drzew.

Podenerwowany tym, że został sam na szkockiej ziemi, Davey długo sobie wyrzucał nieroztropność. W końcu jednak doszedł do wniosku, że najrozsądniej zrobi, zaspokajając głód. Po posiłku usiadł pod drzewem i oparłszy się plecami o pień, czekał. Uważnie obserwował otoczenie. Wciąż dręczyła go myśl, czy nie zachował się czasem jak skończony głupiec, pozwalając Szkotowi odjechać.

Słońce wysoko już stało na niebie, gdy dał się słyszeć tętent. Davey sięgnął po pistolet, odciągnął zamek i schował się za drzewo. Na polanę wjechał Hugh. Osa-
dził konia.

Uśmiechnął się pod wąsem, gdy zobaczył Daveya z bronią w ręku. Nic nie mówiąc, rzucił mu podróżną pelerynę z sukna w kratę z barwami Armstrongów.

Davey dopiero w tej chwili uświadomił sobie całą trudność zadania, jakiego się podjął. Miał oto wdziać na siebie nienawistne szkockie barwy. Było to równie trudne jak obleczenie koszuli trędowatego. Ale cóż, musiał przystać na to upokorzenie, jeżeli chciał uratować swego przyjaciela od niechybnej śmierci.

Do chaty Hugh dotarli w samo południe. Davey Garrick został przedstawiony rodzinie jako daleki kuzyn, który wszedł w kolizję z prawem i szuka schronienia. Hugh, na wypadek, gdyby ktoś mimo wszystko rozpoznał Daveya, utrzymywał, że widzi kuzyna po raz pierwszy w życiu.

Wprędce też wsiadł na konia i odjechał ku twierdzy. Gość został sam z jego żoną i dziećmi. Jeśli liczył na spokój, to srodze się omylił. Zainteresowali się nim bowiem mała puciołowata dziewczynka i piegowaty chłopiec. Dziewczynka bez pytania wdrapała się mu na kolana, chłopiec zaś zaczął zasypywać pytaniami. Davey nie przywykł do dzieci i Bóg świadkiem, że wolałby w tej chwili zwijać się na polu bitwy.

Ale wtem poczuł, że szyję oplatają mu dwa pulchne ramionka i zadał sobie pytanie, czy czasami Szkoci fe-

ktyczenie nie mają jakichś układów z diabłem. Bo oto bez walki został rozbrojony i rzucony na kolana. Tulił do piersi drobne ciało i czuł się tak, jakby śpiewały mu chóry anielskie.

Elsbeth nie mogła się powstrzymać. Chociaż wzniosła wokół siebie wysoki mur zakazów i nakazów, wiedziała, że w końcu musi nadejść chwila, kiedy zburzy ten mur decyzją odwiedzenia Anglika. Tak właśnie starała się o nim myśleć -jako o Angliku. Czuła, że gdyby zaczęła używać w myślach jego imienia, do końca uległaby jego urokowi.

Magdalene orzekła, że chorego na razie nie można przenosić do celi. Bardzo to odpowiadało Elsbeth. Mogła teraz w rozmowie z członkami klanu powołać się na zdanie akuszerki. Kerowie burzyli się i sarkali. Najgłośniej krzyczała Joan. Świątokradztwem wydawał się jej fakt, że Carey leżał w łóżku jej syna. Świątokradztwem i bluźnierstwem.

Pomiędzy Joan a Elsbeth doszło do rozmowy. Joan uniosła się. Patrick nigdy nie wybaczy zniewagi. Co kogo obchodzi, że więzień umrze. Wszyscy tu zresztą chcą jego śmierci. Wszyscy, z wyjątkiem być może, dodała ze złym wyrazem twarzy, lady Elsbeth.

Wtedy Elsbeth straciła panowanie nad sobą. Wyrzuciła z siebie to, co już od dawna w niej narastało.

- Nikt nie trzyma cię tutaj pod kluczem, pani. Możesz przeprowadzić się, dokąd chcesz. Ale jak długo będziesz mieszkała pod moim dachem i jadła mój chleb, tak długo będziesz posłuszna mojej woli. - Nie czekała

na odpowiedź. Odeszła, świadoma tego, że uczyniła sobie z Joan śmiertelnego wroga.

Ustanowiła też przepaść pomiędzy sobą a Patrikiem. Jej ojciec i ona polegali na nim przez tyle lat. Nie, nie mogła dopuścić do rozpadu tej przyjaźni. Równocześnie każdą myślą podważała tę przyjaźń. Dawała wiarę słowom Anglika, z jego też powodu pokłóciła się z Joan. Anglik stopniowo stawał się panem jej woli. Usidlił jej duszę i dyktował, co ma robić. Teraz wzywał ją do siebie. Posłuchała wezwania, bo od pewnego czasu była mu posłuszna.

Siedział oparty o wezgi i zdawało się, że wpatruje się w głąb własnej duszy. Rękę miał owiniętą czystym płótnem, które kontrastowało bielą z ciemną karnacją jego skóry i czarnymi włosami porastającymi obnażony tors. Miał w sobie coś z dumającego wojownika.

Ujrzawszy ją, otrząsnął się z zadumy i uśmiechnął.

- Myślałem o tobie, lady Elsbeth - wyznał.

- Magdalene twierdzi, że wracasz do zdrowia, Angliku.

- Ta Magdalene jest cudotwórczynią.

- Wielu nie może jej wybaczyć ostatniego cudu.

- A ty, lady Elsbeth?

Odwróciła się twarzą do okna.

- Mnie zależy tylko na okupie.

Mógłby zaryzykować i zarzucić jej kłamstwo. Ale nie chciał wzbudzać jej gniewu. Pewne rzeczy musiały poczekać.

- Nie będzie okupu - rzekł łagodnym głosem. -

Mój brat nie zapłaci ani grosza. - Musiał dowiedzieć się wreszcie, czy wysłała kogoś do Daveya.

- Nie mogę czekać dłużej - powiedziała z napięciem w głosie. - Moi ludzie zaczynają się niecierpliwić.

- Chcą mojej głowy - rzekł z krzywym uśmiechem.
- Porwałaś, pani, nie tego Careya. Gdybyś miała w swych rękach Johna, zapłaciłbym.

Spojrzała nań zdumiona.

- Nawet wiedząc to, co wiesz w tej chwili?

- Różnię się trochę od mojego brata. - Ciekaw był, ile razy będzie musiał to powtarzać, zanim mu uwierzy.

Przez chwilę przypatrywała się jego twarzy.

- Jesteś Careyem - powiedziała takim tonem, jakby to rozstrzygało o wszystkim.

- A ty, pani, jesteś z Kerów. Nie czyni cię to jednak identyczną z innymi Kerami. Twój dziad pozostał w ludzkiej pamięci jako oprawca i okrutnik, daleki jednak jestem od winienia cię za jego uczynki.

- A może właśnie się mylisz. Może właśnie jestem jego nieodrodną wnuczką.

- Nie siedziałabyś przy mnie przez całą noc, kiedy leżałem w malignie.

- Chcemy dostać określoną sumę, a otrzymamy ją jedynie za żywego i zdrowego Careya.

- Czy wysłałaś kogoś do Garricka?

Pytanie padło nagłe i zaskoczyło ją.

- Tak, ale jeszcze nie otrzymałam żadnych wiadomości.

Poczuł ulgę. Nie widział Daveya szmat czasu, ale wystarczyła ta jedna wizyta w jego domu, aby zdobyć

pewność, że się nie zmienił. Alex świadom był wszystkich zagrożeń. Do powrotu Patricka i Iana mógł w zasadzie nie obawiać się o swoje życie, gdyż Kerowie nic nie zrobią bez porozumienia ze swymi przywódcami. Lecz gdy tamci wrócą, jego życie znów zawisnie na włosku. Patrick nie krył, że chce jego śmierci, a za miłym obejściem Iana wyczuwało się chłodną bezwzględność.

- Kiedy spodziewasz się, pani, powrotu kuzynów?

- Jutro rano. - Ona również wiedziała, że jutrzejszy dzień może okazać się przełomowy.

Na razie przełomowa okazała się następna chwila, gdyż drzwi otworzyły się z trzaskiem.

- Hugh! - wykrzyknęła Elsbeth.

Szkot kiwnął jej na powitanie głową, po czym z zaciekawieniem spojrzął ku łóżku. Anglik spodobał mu się. Chociaż wycieńczony chorobą, sprawiał imponujące wrażenie swą szeroką klatką piersiową i więzlastymi ramionami. Jego szlachetne czoło nie było czołem Careyów. Zobaczywszy, co chciał zobaczyć, Hugh zwrócił się ku Elsbeth:

- Możemy wyjść na słowo, pani?

Rada była, że ktoś ją odrywa od Aleksandra Careya, który nęcił ją i parzył zarazem.

Wyszli na dziedziniec, dosiedli koni i wyjechali na pobliskie łąki.

- Davey Garrick jest u mnie - zaczął Hugh.

Szeroko otworzyła oczy.

- To nie pojechał do Londynu?

- Zgodziliśmy się przecież, że z powiadomienia lor-

da protektora może wyniknąć wojna. Zresztą wynikły inne sprawy.

Spojrzała nań pytająco.

- Twój Anglik - ciągnął Hugh - nie mylił się co do tego Garricka. To lojalny żołnierz. Śledził Johna Careya przez kilka dni, by dowiedzieć się, co przydarzyło się jego bratu.

- I co?

- Był świadkiem nocnego spotkania Johna z jakimś Szkotem... Kerem. Umawiali się co do pewnej rzeczy. Chodzi o to, że ten Ker, ten zdrajca, chce umożliwić Anglikowi uciezkę jutro w nocy. John Carey zasadzi się na uciekiniera. Earl ma zginać, ale zabójstwem obciąży się Kerów. Wszyscy nadgraniczni angielscy baronowie powstaną przeciwko nam.

- Więc jednak jest wśród nas zdrajca. - Elsbeth w tej chwili tylko to obchodziło.

- Tak i chyba maczał palce również w zabójstwie twojego ojca.

- Kto to jest, Hugh? Kto to jest?

- Garrick twierdzi, że nie widział jego twarzy. Słyszał tylko głos. Mówił jak człowiek przywykły do wydawania rozkazów.

- Kiedy to było?

- Trzy dni temu.

Elsbeth zbladła.

- Patrick i Ian wtedy wyjechali.

- Obaj też podejrzani są w równym stopniu. W przypadku zagrożenia wojną klan jednego z nich wybierze sobie na przywódcę.

- A twoim zdaniem który z nich ma większe szanse na wybór?

Hugh wzruszył ramionami.

- Patrick jest lepszym żołnierzem, Ian cieszy się większą sympatią.

- Nie zniosę myśli, że jeden z nich jest judaszem.

- Jako głowa klanu musisz znieść wszystko.

- Co możemy zrobić?

- Jeśli lord Huntington zginie, obojętne, z czyjej ręki, to znajdziemy się w poważnych tarapatach. Będą polować na nas jak na króliki. Zdrajca musi to sobie uświadomić i zapewne planuje obwinić o śmierć earla jego brata. Jest w tym pewne ryzyko, ale najwidoczniej gotów je podjąć.

- Ale my tego ryzyka nie podejmiemy - powiedziała Elsbeth z determinacją w głosie. - Jeśli zdrajca, kimkolwiek jest, ma zamiar pomóc lordowi Huntingtonowi w ucieczce, to my musimy zrobić to pierwsi.

Hugh uśmiechnął się.

- Mądra białogłowa.

Spojrzała nań podejrzliwie.

- To dlatego sprowadziłeś tu tego Anglika?

- Pomyślałem, że się przyda.

- Stawiam jednak pewien warunek. Nikt z klanu nie może zostać ranny - powiedziała z goryczą.

Hugh sposepniał.

- Będą zwały trupów, jeśli earl zostanie zabity. Porwanie dla okupu to jedna sprawa, a zabicie faworyta dworu to druga. Dużo poważniejsza.



Elsbeth czekała, aż wszyscy mieszkańcy wieży ułożą się do snu. Wiedziała, że jej pomoc w ucieczce earla Huntington musi zostać utrzymana w absolutnej tajemnicy, inaczej klan wymówi jej posłuszeństwo, nie wspominając już o innych, dużo poważniejszych konsekwencjach. W żaden więc sposób nie mogła być łączona z tą ucieczką. Ani też Hugh, jeśli nie chciał zostać ofiarą zbiorowego gniewu.

Wyjaśnianie członkom klanu politycznych skutków śmierci Alexandra Careya na nic by się zdało. Honor i zemsta - oto sztandary, pod którymi pragnęli żyć i walczyć. Żadne inne dobra nie liczyły się. Honor gotowi byli opłacić dziesiątkami ofiar, zburzeniem domostw i zniszczeniem zasiewów. Alexander Carey był winny w ich oczach wszystkim niegodziwościom i zbrodniom, jakich w ciągu wieków Kerowie doświadczyli z rąk Careyów. Dlatego jej klan żądał pieniędzy lub śmierci. Trzeciego wyjścia nie było.

Bolała ją głowa. Bolało ją serce. Chcąc zdobyć popularność w klanie, wyraziła była zgodę na porwanie Anglika. W rezultacie wszyscy znaleźli się w pułapce.

A teraz miała wyręczyć zdrajcę.

Nic nie było tym, czym się wydawało. Czarne było białym, a białe czarnym. Dobro było złem, a zło dobrem. Wrogowie przemieniali się w sojuszników, a sojusznicy we wrogów.

Bała się, że niebawem przestanie dowierzać własnym zmysłom i własnemu rozumowi. Wciąż nie wiedziała, czy faktycznie czyni słusznie, wypuszczając na wolność wroga Kerów.

Jednak decyzja została już podjęta. Podjęli ją we trójkę - ona, Hugh i Davey Garrick.

Ten Anglik, prawdę mówiąc, nie wzbudził jej sympatii. Nietrudno było bowiem zorientować się, że to on właśnie w ostatnich latach wodził wilcze stada Careyów przeciwko jej ludowi. Dlatego miała nadzieję, że z wyjątkiem tej jednej okazji nigdy go już więcej nie ujrzy.

Co oznaczało również, że nigdy już więcej nie ujrzy Alexandra Careya. Earl zniknie z jej oczu na zawsze i wszystko wróci do normy. Chociaż nie, bo przecież trzeba było odnaleźć i ukarać zdrajcę. Kiedy więc z tym się upora, wyjdzie za mąż i zapewni swojemu ludowi dobrobyt zabezpieczony trwałym pokojem.

Ale teraz, w tej chwili, musiała zająć się strażnikami. Udała się więc do kuchni. Po raz pierwszy zaszła tutaj o tak późnej porze, więc zdumiała się wygasłym paleniskiem. Kuchnia niezmiennie dotąd kojarzyła się jej z ciepłem bijącym od pieca i obrazem tańczących płomieni.

Beczułka z piwem stała w samym kącie. Elsbeth wiedziała, że nocna zmiana warty przy więźniu ma się

dokonać mniej więcej za godzinę. Przedtem jednak strażnicy zajdą tutaj, by się posilić mięsiwem i piwem. W związku z tym zrobiła, co wedle planu miała zrobić. Odszpuntowała beczkę, upuściła z niej trochę piwa, a dołała środka nasennego, który dostała od Magdalene dla chorego earla.

Wróciła do swoich komnat. Za dwie godziny, jeśli licho nie namiesza, strażnicy będą spali jak susły. Spojrzała na pelerynę w kratę z barwami Armstrongów, którą miała od Hugh. Lord Huntington będzie musiał zarzucić ją na ramiona, ażeby straż przy bramie mogła wziąć go za krewnego Armstronga. Im lepszy kostium, tym pewniejsze powodzenie oszustwa. Choć i tak wszystko mogło się rozbić na głupiej drobnostce.

Plan był ryzykowny, szczególnie dla Hugh. Opierał się na założeniu, że ów „kuzyn” zwiódł i oszukał Hugh w ten sam sposób, w jaki oszukał wszystkich pozostałych Kerów. By nadać temu pozór prawdy, Hugh miał zostać ogłuszony i pozostawiony w więzach.

Gdyby mogła, gdyby nie była tak napięta, Elsbeth najchętniej wybuchnęłaby płaczem. Zdrada, nie spełnione marzenia, gorzka porażka - wszystko to było ponad jej siły. Nie wiedziała nawet, jakim sposobem uda się jej zdemaskować zdrajcę. Wiedziała natomiast, że żyć ze świadomością czającej się zdrady nie będzie mogła.

Minuty dłużyły się jak godziny, godziny jak dni. Przebrała się w prostą ciemną suknię i czekała przy oknie. Była pogodna księżycowa noc. Elsbeth zauważyła, że podarła w strzępy trzymaną w dłoniach chusteczkę.

Och, wszystko to przez ten niemiłosiernie wlokący się czas!

Wreszcie nadeszła wyznaczona pora. Elsbeth wspięła się schodami na trzecie piętro. Cisza aż dzwoniła w uszach. I faktycznie, obaj strażnicy spali kamiennym snem. Na szczęście żaden z nich nie chrapał.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Nie było to potrzebne, zważywszy na fizyczne osłabienie chorego oraz ciągłą obecność strażników. Zawiasy cicho skrzyknęły. Na stole paliła się świeczka. Jej chybocliwe światło nieśmiało atakowało zalegające po kątach cienie.

Podeszła do łóżka i dotknęła ramienia śpiącego mężczyzny. Zareagował niemal w tej samej chwili. Położyła palec na jego ustach, co go zdumiało. Wskazała ręką ku otwartym na oścież drzwiom. Spojrzał i zrozumiał. Połączył w jedną całość obraz dwóch uśpionych strażników, napięcie malujące się na twarzy lady Elsbeth oraz leżący na stole tłumok, który na pewno był ubranie. Miał zatem uciekać. Nadeszła decydująca chwila.

Uśmiechnął się, odrzucił koc i wyskoczył z łóżka. Był całkowicie nagi. Elsbeth oblała się rumieńcem. Rumieniec ten nabrał koloru krwi, kiedy zauważyła, że jego męskość pod wpływem jej spojrzenia nabrzmiewa i unosi się.

Opamiętał się, kiedy dostrzegł jej oczy, bo w końcu jednak udało się jej oderwać wzrok od tego czegoś, co żyło i było pełne osobliwego powabu. Z oczu tych bowiem, oczu pięknych i złocistych, wзираła udręka. Poczł się barbarzyńcą. Wyskakując z łóżka nagi, nie wziął pod uwagę wstydu i skromności lady Elsbeth. Próbowwała

mu pomóc, on zaś ukazał się jej jako samiec z samczymi skłonnościami. Nie mógł już tego cofnąć. Odwrócił się więc tylko do niej plecami i zaczął ubierać.

Elsbeth zdołała wziąć się w garść. Po chwili przemykali już schodami w dół. Czasem przystawali, przywierali do ściany i nasłuchiwali. W wieży panowała niczym niezmacona cisza.

Głównymi drzwiami wydostali się na dziedziniec i skierowali w stronę stajni. Księżyc patrzył na nich z góry, oblewając swoim zimnym światłem, ale to nie księżycą się bali.

Przekroczywszy próg stajni, Alex poczuł, że chwytają go czyjeś ramiona. Błyskawicznie odwrócił się, gotowy podjąć walkę. Zobaczył tuż przed sobą uśmiechniętą twarz Daveya Garricka. Uściskali się.

- Na Boga, jak się tu dostałeś?

- Pogadamy później. Teraz trzeba uciekać.

Dwa osiodłane konie, w tym ogier Aleksa, czekały już, gotowe do drogi. Alex ponownie przyjrzał się Daveyowi. Przyjaciel ubrany był podobnie jak on - w szkocką pelerynę i lekki hełm z żelaznym daszkiem,

Ale w stajni był też i drugi mężczyzna. Alex rozpoznał w nim człowieka, który dziś po południu wtargną zniecka do izby Patricka, po czym natychmiast wyszedł z lady Elsbeth. Zwrócił się do niego z uprzejmym uśmiechem:

- Domyślałam się, że tobie, panie, zawdzięczam przygotowanie tej akcji.

Hugh lekko się zmieszał; nie spodziewał się takiej galanterii.

- Nie zrobiłem tego dla ciebie, sir.

Alex uśmiechnął się kącikami ust.

- Rozumiem, jednak bez względu na motywy skutek zapowiada się identyczny. I dlatego pozostanę twoim dłużnikiem.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, sir, że już nie będzie łupieżczych wypraw na włości Kerów?

- Masz moje słowo - rzekł Alex ze ściągniętą brwią. Hugh przemknęło przez głowę, że nie chciałby mieć w tym człowieku osobistego wroga.

- Zatem szczęśliwej drogi - powiedział.

Alex kiwnął głową, po czym odwrócił się ku Elsbeth.

- A ty, pani? Dlaczego podejmujesz takie ryzyko? - zapytał.

- Każde ryzyko warte jest zapobieżenia wojnie.

- To wszystko? - naciskał.

- Przy okazji pozbywam się Careya.

Uśmiech znikł z twarzy Aleksa. Dziwne, ale miał nadzieję usłyszeć inną odpowiedź.

- Jakie przynosisz wieści? - zapytał Daveya.

- John wspólnie z jakimś Kerem uknuli, że cię wywabią z twierdzy, po czym zabiją. Uprzedzamy ich ruch.

- Kto tu jest zdrajcą?

- Tego nie wiemy. Nie widziałem twarzy mężczyzny, który namawiał się z Johnem.

Alex wiedział, że każda chwila zwłoki może zaprzepaścić szansę odzyskania wolności. Wystarczyłoby, żeby ktoś w wieży wstał za potrzebą i natknął się na uśpionych strażników. Nie mógł jednak zostawić lady Els-

beth na łaskę i niełaskę nieznanego zdrajcy. Jeśli jej współudział w ucieczce zostanie odkryty, to marny będzie jej los. Dlatego musiał zapewnić jej bezpieczeństwo. Gdzieś na obrzeżach świadomości pojawiła się również myśl, że być może po prostu brak mu odwagi rozstać się z nią.

Spojrzał w jej złocistobrązowe oczy.

- Czas już jechać, panie - przypomniała mu.

- Jedź razem ze mną - rzekł.

- Mówisz jak szaleniec.

- Nie jesteś tu bezpieczna.

- I mam być bezpieczniejsza z tobą, z Careyem?

- Tak myślę.

- Więc twoja myśl jest nedorzeczna. Nie zwlekaj, dosiadaj konia.

- A co się stanie, gdy wyjdzie na jaw prawda o mojej ucieczce?

Zacisnęła usta. Świadoma była wszystkich konsekwencji.

- To nie twoja sprawa.

Tak, czas szybko umykał. Niebawem wstanie świt. Dalsze słowa były zbyteczne. Kiwnął głową i spojrzał na Daveya. W jego wzroku było coś szczególnego. Davey zrozumiał przesłanie.

Domyślił się też sensu tej ukrytej mowy Hugh i sięgnął po broń, ale zrobił to odrobinę za późno. Zaciśnięta pięść Daveya spadła na jego odsłoniętą głowę. Hugh zwałił się na ziemię bez jednego jęku.

Czyli stało się coś, co i tak miało się stać dla zatarcia śladów. Jednak plan nie uwzględnił ogłuszenia, skrę-

powania i zakneblowania Elsbeth. Alex wszakże kończył właśnie krępowanie jej nóg. Omijał wzrokiem jej twarz. Nie był pewien, czy wytrzyma to spojrzenie pełne nienawistnej pogardy, którego się spodziewał i na które na pozór w pełni zasłużył.

- Znajdź jakąś derkę - rzekł do Daveya, po czym spojrzął na knebel w ustach Elsbeth. - Muszę mieć twoje słowo, pani, że nie zdradzisz nas jękiem ani jakimś nieostrożnym ruchem, gdy będziemy przejeżdżać przez bramę.

Gwałtownie pokręciła głową. Ani myślała ułatwiać życia temu szatanowi. Wolała zginąć marnie.

Równocześnie wciąż nie mogła uwierzyć, że mając tyle dowodów jej wielkoduszności, posunął się do czegoś tak haniebnego.

Był wszakże Careyem. Najbardziej podstępny i bezduszny z całej szajki.

Oślepiąca gniewem, nie zauważyła bólu, jaki na chwilę pojawił się w jego oczach, zanim jego pięść dosięgła jej skroni. Zobaczyła ciemność. Zwiotczała i znieruchomiła.

Po chwili, zawinięta w derkę, zwisała z konia, na którym siedział Alex. Davey ruszył pierwszy. Kierowali się ku bramie.

Liczyli na to, że strażnicy wezmą ich za Hugh i jego „kuzyna”. Tak też się stało. Davey, który w ciemności do złudzenia przypominał starego Szkota, przejechał bez przeszkód przez otwartą bramę. Aleksowi nie poszło już tak łatwo.

- Co to za tłumok? - zapytał jeden ze strażników, wskazując na Elsbeth.

- To ubrania i jadło dla mojej żony i dzieci. Obdarowała mnie tym twoja dobra i łaskawa pani. Łajdaccy Anglicy spalili nas dwie niedziele temu.

Strażnik machnął ręką i pozwolił mu przejechać. Następnie zamknął bramę.

Pognali konie. Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Potem Davey zwolnił, a zrównawszy się z Alekssem zagadnął go:

- Jedziemy do Huntington?

- Najpierw powtórz mi wszystko, co pamiętasz z rozmowy pomiędzy Johnem a Szkotem.

Davey powtórzył całą rozmowę, po czym dodał:

- W pierwszym rozpedzie chciałem jechać do Londynu, ale pomyślałem, że nikt nie da wiary moim słowom.

- Więc ten Szkot również przyłożył rękę do śmierci starego lairda?

- Wszystko na to wskazuje.

- Lady Elsbeth nigdy w to nie uwierzy.

- Nic dziwnego, skoro ja sam nie mogłem uwierzyć własnym uszom.

- Chyba że znajdą się dowody.

- Co zamierzasz, panie?

- Zamierzam zniknąć, zapaść się pod ziemię. Wtedy na pewno zdrajcy znów się spotkają.

Davey wyszczerzył zęby.

- Dobry plan.

- W każdym razie nie mam lepszego. A teraz zobaczmy, co z naszą branką.

Ściągnęli wodze i zsiadli z koni. Ostrożnie położyli

zawiniętą w koc postać na ziemi. Davey rozciął sztyltem krępujące jej członki rzemienie, Alex wyjął z ust knebel.

Elsbeth wciąż była nieprzytomna. Ocuciło ją dopiero wino, którym Alex natarł jej skronie i skropił twarz, a którego zapas Davey miał w przytroczonym do siodła bukłaku. Poruszyła wargami i wolno uniosła powieki. Westchnęła raz i drugi. Nagle skrzywiła się, jakby pod wpływem bólu, jęknęła i poderwała z ziemi. Wbiła w Aleksa nienawistne spojrzenie.

- Błagam o wybaczenie, lady Elsbeth - rzekł pokornym głosem - ale musiałem to zrobić.

Nie był do końca przekonany, czy jest z nią całkowicie szczerą. Przecież mógł istnieć inny sposób zdemaskowania obu zdrajców. Może prawda była taka, że uciekł się do gwałtu, gdyż po prostu nie mógł rozstać się z tą kobietą.

- Łżesz - odparła głosem pełnym obrzydzenia. - Zresztą kłamstwo nie może dziwić w ustach Careya. Oto masz swoją zemstę. Teraz ja jestem u ciebie w niewoli.

Zacisnął usta.

- Nie patrz na to w ten sposób.

- Więc puść mnie wolno.

- To wykluczone.

Odwróciła głowę, jakby już samo patrzenie nań było dla niej dostateczną męką.

- Czas nam w drogę. - Podał jej rękę, chcąc pomóc dosiąść konia.

Nie przyjęła jej. Stała w posagowej pozie, z dumnie uniesioną głową.

- Dokąd mnie zabieracie?
- Do miejsca, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać.
- Myślałam, że jesteś inny, Angliku - rzuciła z nutą gorczy w głosie.

To było coś gorszego od uderzenia w twarz. Szybkim krokiem podszedł do konia.

- Pozwól, pani - rzekł, nie patrząc na nią.
- Z dwojga złego wolę jechać z twoim kamratem. Albo iść piechotą.

- To daleka droga.

- A niechby zawiodła mnie i w ramiona śmierci, skoro uwierzyłam Careyowi.

- Dość tego - rzucił gniewnie, świadom umykających chwil i zagrożenia pościgiem. - Pojedziesz na moim koniu.

Cóż, siła była po jego stronie. Musiała się poddać.

Ruszyli z miejsca galopem i pędzili jak te nocne zjawy. Po jakimś czasie skręcili z głównego gościńca i zanurzyli się w las. Prowadził Davey. Nie było tu ani dróg, ani duktów, tylko ledwie widoczne ścieżyny pomiędzy gęsto rosnącymi drzewami. Czasami nawet i one ginęły i wówczas jechali zdani wyłącznie na intuicję przewodnika.

Aleksowi i Elsbeth niewygodnie było w jednym, jakkolwiek dość obszernym siodle. Elsbeth pochylała się do przodu, by tylko nie dotykać Aleksa. Wypełniał ją gniew. Pragnęła pokazać mu na różne sposoby, jak bardzo nim gardzi.

Tak czy inaczej, fizycznego kontaktu z nim całkowi-

cie nie mogła uniknąć. Opasywał ją prawym ramieniem, lewą ręką trzymając cugle. Ta wymuszona bliskość zdawała się jej czymś nie do zniesienia. Czuła na ciele dotyk zdrajcy, człowieka, który ją niecznie oszukał. Był obłudnikiem i nienawidziła go całą duszą. A przy tym wszystkim, i to ją najbardziej zdumiewało, czuła się przy nim bezpieczna. Nie pojmowała tej zagadki. Zresztą nawet nie chciała jej rozwiązywać. Wiedziała tylko, że musi uciec i wrócić do domu, gdyż bez niej klan Kerów mógł pograć się w chaosie.

Zmęczona i ukołyszana krokiem konia, w końcu zasnęła. Alex od razu to odgadł, gdyż oto nagle jej ciało osunęło się do tyłu, a głowa wsparła o jego pierś. Miał więc ją taką, jaką od dawna chciał mieć - powolną i wtuloną w niego. Delikatnie pocałował ją w czubek głowy. Jej włosy pachniały i smakowały miodem. Jej ciało było miękkie i gorące. Jaka szkoda, że mógł cieszyć się tym wszystkim tylko podczas jej snu. Kiedy się obudzi, odpędzi go od siebie niczym skrofulicznego psa. Czy w ogóle kiedykolwiek zdoła zdobyć jej życzliwość i zmazać nienawiść z jej twarzy? A tego właśnie pragnął najbardziej, bardziej nawet niż powrotu do Huntington i rozgrywki z bratem.

Zatrzymali się o świcie. Do myśliwskiej chaty, dokąd zmierzali, pozostało jeszcze trochę drogi. Na chatę tę niegdyś Alex i Davey natknęli się przypadkowo podczas polowania. Zapewne wybudował ją jakiś kłusownik, gdyż leżała z dala od wszelkich traktów, w samym sercu puszczy. Zakładali, że nikt poza nimi nie wie o jej istnieniu.

Chata była prymitywna, ale nic na to nie można było poradzić. Davey miał im dostarczyć skór i derek, a w lesie było pod dostatkiem opału. Wprawdzie dni były słoneczne i ciepłe, noce jednak mgliste i chłodne. Jakoś wytrzymają. Ostatecznie nie mieli tam zimować.

Gdyby on, Alex, wrócił teraz do Huntington z pustymi rękami, nigdy nie doczekałby się pokoju na granicy. Nie mając żadnego dowodu przeciwko swemu bratu, wciąż wiódłby z nim mniej lub bardziej sekretną wojnę.

Zatrzymali się, by dać odpocząć koniom. Elsbeth obudziła się i sama lekko zeskoczyła na ziemię. Była milcząca i nieprzystępna. Ciągnęło od niej chłodem niczym od bryły lodu.

Spojrzała na Aleksa i wszystko się w niej zagotowało. Ten jego młodzieńczy, szlachetny wygląd był tylko zwodniczą maską. W istocie Anglik był twardym, bezwzględnym, podstępny człowiekiem. Tam, w wieży, robił wszystko, by wydać się jej miłym i czarującym. Ona zaś była na tyle głupia, że w końcu wzięła to za dobrą monetę.

Bardziej szatańskiego oszustwa nie mogła sobie wyobrazić. Ona, głowa klanu Kerów, córka człowieka mądrego i przewidującego, dała się wziąć podstępem jak mała dziewczynka. Dławiła ją wściekłość. Wyrzucała sobie własną głupotę. Łzy napływały jej do oczu.

Alex nie dał im stoczyć się po policzkach. Ujął ją pod brodę i rzekł:

- Powiedziałem, że nigdy cię nie skrzywdzę. Musisz mi uwierzyć.
- Już mnie skrzywdziłeś, mój panie - powiedzia-

ła, siląc się na sarkazm. - Poznałam wartość słowa Coreya.

- W tej chwili potrzebujemy siebie. Łączy nas wspólny interes.

- Być może ty potrzebujesz mnie, lecz ja bynajmniej nie potrzebuję ciebie. Jednego się nauczyłam. Nigdy nie ufać żadnemu Careyowi. - Cofnęła się dwa kroki.

- Czy mogę odejść na stronę? - spytała po krótkiej chwili wyniosłym tonem.

Spojrzał na nią badawczo. Nie miał powodu do obaw. Ucieczka była tu niemożliwa. Bez konia nie dałaby rady. Kiwnął w milczeniu głową.

Oddaliła się niespiesznie, nieświadoma wdzięku, z jakim się porusza. Kiedy znalazła się sama, oparła o pień drzewa i wybuchnęła płaczem. Jak nisko upadła. Jeszcze wczoraj była panią twierdzy, w której trzymała pod kluczem Anglika. Dzisiaj on jej dyktował, co może czynić.

Przyszłość rysowała się niczym ciemna gradowa chmura. Fatalnie pomyliła się w swojej ocenie Alexandra Careya. Ta pomyłka drogo ją kosztowała. Nie mogła wybaczyć sobie tego błędu.

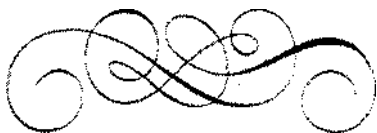
Jakie były jego zamiary? Czy uprowadził ją, dla okupu, czy też w innym celu? I jak długo będzie ją więził? Był Coreym, po Careyu wszystkiego mogła się spodziewać.

Nie знаła tych lasów. Wątpiła też, by jej ludzie zapuszczali się kiedykolwiek w te strony. Poza tym, gdy odkryją, że została porwana, a Hugh ogłuszony, i tak będą czekać na powrót Patricka i Iana. Dopiero pod ich dowództwem ruszą w pościg.

Kuzyni mieli wrócić dzisiaj. Co pomyślą, gdy dowiedzą się o wszystkim? Czy któremuś przyjdzie na myśl, że zdradziła swój klan dla Careya? To ostatnie pytanie przeszło jej serce grotem wstydu.

Wróciła do koni i nienawistnych Anglików. Po chwili znów przedzierali się kłusem przez las. Carey pokazał, że jest jeźdźcem więcej niż dobrym. Cóż z tego, kiedy był równocześnie największym łajdakiem pod słońcem. Użył jej jako narzędzia. Uwierzyła mu i teraz za jej błąd zapłacą poddam.

Będzie musiała jak najszybciej wypłatać się z tej matni. On użył kłamstwa, więc i ona się do niego ucieknie. Liczyło się tylko dobro Kerów. Zapłaci Careyowi za to upokorzenie.



Ian Ker był w dobrym nastroju. Jego misja zakończyła się sukcesem. Stary Douglas wyraził gotowość udzielenia zbrojnej pomocy. Kierował się nie tylko nienawiścią do Careyów. Zabiegając o wpływy na dworze Szkocji, uznał przyjaźń Kerów za dobrą kartę w swym ręku.

Janowi śpieszyło się z powrotem. Pragnął zobaczyć się z Elsbeth i wreszcie zakończyć sprawę Huntingtona. Ta farsa ciągnęła się stanowczo zbyt długo i jakieś rozstrzygnięcie było tu konieczne.

Nie uszły uwagi Iana nowe komplikacje. Oczy kuzynki świeciły dziwnym blaskiem i Ian domyślał się przyczyny. Carey był dorodnym mężczyzną, a przy tym nie brakowało mu odwagi. Dzielnie stawał przeciwko Patrickowi. Ian kochał Elsbeth włas"ciwie od zawsze. Była dla niego samą jasnością i harmonią. Dzieciństwo spędzili na wspólnych zabawach. Pewnego dnia zmagali się na trawie i wówczas Ian odkrył, że Elsbeth nie jest już dzieckiem. Tego samego dnia błysnęła mu nadzieja, że jego kuzynka domyśli się jego uczuć i odwzajemni je. Przecież mieli ze sobą tyle wspólnego. Skoro mogli razem się śmiać, wspinać na drzewa, śmigać na

koniach, aż świstało w uszach, to również razem mogli sprawować rządy. Oboje wszak mieli ową łątwość narzucania innym swej woli. Twierdza i włości o tyle się liczyły, o ile były dodatkiem do Elsbeth.

Ian ufał we własne siły. Wierzył, że mógłby wzmocnić klan, osłabiony rządami miękkiego lairda, a potem jego litościwej córki. Żadne z nich charakterem nie pasowało do roli, jaką przyszło im odgrywać. Tylko dzięki sile i bezwzględności można było przeżyć na granicy. Zawsze tak było i nic nie zapowiadało jakiegóż zasadniczej zmiany.

Wiedział, że w planach Patricka również leży ożenek z kuzynką. Z tym że w Patricku nie było miłości, tylko żądza władzy. Patrick nie stronił od zmysłowych uciech, podczas gdy on, Ian, żył niemalże w celibacie. Nie chciał, by sprośna plotka zraniła ucho ukochanej. Patrick najdalszy był od przejmowania się plotkami i zabiegając o względy Elsbeth, miewał jedną przygodę miłosną po drugiej. Zaloty Patricka były bardziej dziełem jego matki niżli jego własnym.

Z tego też powodu Ian nie obawiał się rywalizacji z Patrickiem, ale też nie lekcewał go zupełnie. Rywalizacja o rękę Elsbeth wykopała przepaść między nimi, jakkolwiek nigdy nie byli ze sobą w serdecznych stosunkach. Obaj byli ambitni i chcieli się wybić - Patrick swym mieczem, Ian urokiem osobistym. Każdy też stał się na swój sposób mistrzem.

Ian czekał na właściwy moment. Zwlekał z podejmowaniem działań, nie będąc pewien sukcesu. Teraz wszakże musiał przejąć ster w swoje ręce. Elsbeth ob-

chodziła się z Careyem jak z sojusznikiem, nie zaś wrogiem, co już wzbudziło powszechne niezadowolenie. Klan potrzebował silnego przywódcy. Najważniejsza była zgoda Elsbeth na zamążpójście.

Spoglądał teraz na rozległe włości Kerów ze szczytu wzgórze i myślał, jak wiele ta ziemia znaczy dla niego. Tu i ówdzie oracz szedł zgięty za sochą. Gdzieniedzie rozpoczęto już bronowania. Wkrótce nadejdzie czas ubojów i woń wędzonego mięsa zastąpi zapach spulchnionej gleby.

Rozpoczną się łupieżcze wycieczki na ziemie Anglików. Okres żałoby po śmierci lairda zakończył się i teraz obaj, on i Patrick, będą mogli wieść zbrojne gromady na tamtą stronę granicy. Pomijając szczególnie srogą nieprzyjaźń z Careyami, wycieczki te wcale nie musiały być krwawe. Chodziło o to, żeby były zyskowne.

To Careyowie sprawili, że granica spłynęła krwią.

Ian spał konia ostrogą. Dotrze do twierdzy tuż przed wieczerzą. Skłamałby sam przed sobą, gdyby powiedział, że nie cieszy się na myśl o rychłym ujrzeniu Elsbeth.

Patrick przemierzał długimi krokami obszerną sień wieży. Powrócił przed trzema godzinami i teraz roznosiła go wściekłość. Przeklinał Hugh, wygrażał w myślach Najwyższemu i siał postrach swym wykrzywionym gniewem obliczem.

Jak to było możliwe, że wszystko poszło w tak złym kierunku? Zakładnik uciekł. Elsbeth zniknęła. Hugh ogłuszony i zamknięty w sobie. Przeklęty Anglik od-

wrócił role. Teraz on był górą, a jemu, Patrickowi, pozostawało zgrzytać zębami.

Już zresztą od dwóch dni był w złym humorze. Homesowie odmówili jego prośbie. To czas na pokój, usłyszał z ich ust. Anglia i Szkocja chcą ciszy na granicy, a nie szczęku broni. Zostali przy swoim stanowisku nawet po tym, kiedy przeczytał im długą listę krzywd doznanych przez jego klan od Careyów. Dla osłody przyrzekli mu przysłać niewielki oddział zbrojnych, ale tylko gdyby Kerowie znaleźli się w krytycznej sytuacji. Patrick miał nadzieję, że Ianowi bardziej poszczęściło się z Douglasami.

Kiedy przejechał bramę twierdzy, od razu wyczuł, że stało się coś niedobrego. Ponad krzyk innych wybijał się krzyk jego matki. To ona od lat pchała go do małżeństwa z Elsbeth. Mówiła o tym przy każdej okazji, tak iż w końcu uwierzył, że jest nieuniknione. Równocześnie wiedział, że związek ten wzmocniłby pozycję klanu, co było zresztą nagłą potrzebą.

Trzeba było zatem wzmocnić przywództwo. Siła - tylko ona liczyła się na przygranicznych terenach. Nie wiedza, nie dworność, nie sprawiedliwość, nie litość. Jedynie naga, brutalna siła. W tej kwestii on i Ian zgadzali się całkowicie.

Matka podbiegła doń, gdy jeszcze siedział na koniu.

- Porwał lady Ker! - wykrzyknęła tak przeraźliwym głosem, że wierzchowiec Patricka przysiadł na zadzie.

- Elsbeth porwana? Kto się ośmielił?

- Huntington! Ten wściekły pies!

- Ale jakim sposobem?

- Nie mam pojęcia. Hugh próbował powstrzymać go i o mało nie przypłacił tego życiem.

Oczy Patricka zwięzły się do szparek.

- Gdzie Hugh zagroził mu drogę?

- W stajni. Jego krewny uciekł.

Patrick pomyślał, że matka gada od rzeczy. Zsiadł z konia i rzucił wodze chłopcu stajennemu.

- Gdzie w tej chwili znajduje się Hugh?

- W wieży. Prosił, żeby nie odwożono go do domu, gdyż chciał poczekać na wasz powrót.

- Kiedy to się stało?

- Minionej nocy.

Patrick zaklął pod nosem. Na pogoń było już za późno. Atak na twierdzę Careyów też nie wchodził w rachubę ze względu na brak dostatecznych sił. Ale być może siły się znajdują. Być może porwanie Elsbeth zjednoczy pograniczne szkockie klany.

Zacisnął dłonie na myśl, że Elsbeth jest teraz we władzy Careya. Mógł tylko mieć nadzieję, że nawet Anglik nie ośmieli się pozbawić jej panińskiej czci.

Powinien go wówczas zabić, nawet wbrew rozkazowi Elsbeth. Cała ta sprawa ukazywała czarno na białym, jak bardzo Kerowie potrzebowali silnego przywódcy.

Znów usłyszał głos matki:

- I co zamierzasz?

- Najpierw musimy się dowiedzieć, dokąd Carey uwiózł Elsbeth i jakie są jego żądania. Nie chcę ryzykować jej życia.

- Miło to słyszeć, choć nie byłeś zbyt natarczywy w swoich zalotach.

- Natarczywość, droga matko - rzekł zirytowany - mogłaby ją tylko zrazić.

- Mogłeś ją porwać.

- W ten sposób nie zdobywa się ani przywiązania, ani miłości.

- Wyszło na to, że niczego nie zdobyłeś.

I znów Patrick zdusił w sobie gniewną odpowiedź. Poniekąd rozumiał swoją matkę. Starszy brat lairda obiecał jej małżeństwo i nie dotrzymał słowa. Wykorzystał ją i porzucił. Jako pannę z dzieckiem przez wiele lat wytykano ją palcami, teraz zaś zaledwie tolerowano. Jego małżeństwo z Elsbeth przywróciłoby Joan szacunek zbiorowości, szacunek, którego tak bardzo pragnęła.

- Nie czas na rozmowę o tych rzeczach.

- A czy wiesz, że ułożyła rannego Anglika w twoim łóżku?

Aż cofnął się o krok.

- W moim łóżku?

- Rana, którą mu zadałeś, zaczęła się jątrzyć, więc kazała go przenieść. Całą pierwszą noc sama przy nim czuwała.

- O czym ty mówisz, matko? - zapytał strasznym głosem.

- A może nie została porwana? Może udała się z nim z własnej, nieprzymuszonej... - Przerwała, przestraszona wyrazem twarzy syna.

- Te dziwaczne przypuszczenia zachowaj dla siebie, matko. Znam Elsbeth i jej czułe serce. Ranny wróg czy ranny przyjaciel, to dla niej bez różnicy, gdyż w obu

przypadkach chodzi o życie. Zresztą Elsbeth ma najwięcej powodów, by nienawidzić Careyów.

- Elsbeth jest kobietą - rzekła Joan. - Earlowi zaś, pomimo że jest Careyem, nie sposób odmówić męskiej urody.

- Nie zamierzam tego dłużej wysłuchiwać! - ryknął Patrick i odwróciwszy się pomaszerował ku wieży.

Hugh tymczasem czekał na powrót Patricka i Iana w zbrojowni, gdzie go ułożono. Zdecydował się nie wracać do domu, wiedząc, że jako jedyny świadek zdarzenia będzie przez obu mężczyzn wnikliwie przepytany. Rozbita głowa piekielnie bolała, ale jeszcze bardziej cierpiał z powodu zranionej miłości własnej. Został wywiedziony w pole przez dwa angielskie lisy niczym jakiś szczeniak. Popełnił kardynalny błąd w ocenie i teraz miał za swoje. Zamartwiał się lady Ker, gdyż tamci byli zdolni do wszystkiego. A jednak wciąż podejrzewał o zdradę jednego z dwóch młodych Kerów i dlatego tajemnicę powodzenia ucieczki lorda Huntingtona postanowił zatrzymać dla siebie.

Zaczął właśnie odpowiadać na pytania Patricka, gdy wpadł zdyszany Ian. Zbliżył się do łóżka i skrzyżowawszy ręce na piersi, przysłuchiwał się pytaniom i odpowiedziom.

- Co to za krewny, którego tu przywiozłeś, Hugh? - pytał Patrick.

- Nie mam pojęcia - odparł Hugh zmęczonym głosem. - Spotkałem go w drodze, wracając od jednego z moich kuzynów. Powiedział, że ściga go prawo, i poprosił o pomoc, a ponieważ nosił barwy Armstrongów,

uwierzyłem mu. Wyglądał na dzielnego wojaka i pomyślałem, że moglibyśmy wziąć go na służbę.

- Angielski szpieg - warknął Patrick.

- Okazało się to dopiero tamtej nocy - rzekł Hugh.
- Obudziłem się i stwierdziłem, że nie ma go w pokoju. Tedy poszedłem go szukać. Natknąłem się na nich w stajni. To znaczy na niego, Careya oraz lady Ker. Była już związana i zakneblowana. Sięgnąłem po broń, ale tamten zdrajca okazał się szybszy. Więcej nic nie pamiętam.

- Związana, powiadasz - rzekł Patrick w zamyśleniu.

- Tak, ale rzucała się jak wyjęta z wody ryba.

- Jak poradził sobie ze strażnikami?

- Strażników znaleziono upojonych jakimś środkiem odurzającym.

Odezwał się Ian, a jego głos aż drżał z niepokoju:

- Czy mogli zrobić jej krzywdę?

- Myślę, że nie - odparł wolno Hugh. - Lady Ker jest ich zabezpieczeniem.

- Więc może uwolnią ją? - W głosie Iana zabrzmiała nadzieja.

- Carey, żaden Carey, nie jest zdolny do wielkodusznych gestów - upomniał kuzyna Patrick. - Myślę, że należy spodziewać się najgorszego.

Ian spojrzał mu w oczy.

- Zapłacą mi za to.

- Zapłacą nam za to - poprawił go Patrick, po raz pierwszy w całkowitej zgodzie z Ianem.

Hugh przypatrywał się obu mężczyznom. Mieli na-

pięte twarze, zaciśnięte usta, oczy płonące żądzą odwetu.

- Wyślijmy do Huntington kogoś na przespiegi - zaproponował Ian.

- Tam nie odważą się jej zawieźć - rzekł Patrick.

- Ale nasz człowiek mógłby się czegoś wywiedzieć.

- Dobrze, kuzynie. Wyślij kogoś. Ja będę prowadził poszukiwania na własną rękę.

Następnie Patrick i Ian spotkali się ze zgromadzonymi na dziedzińcu członkami klanu. Mówiąc jednym głosem, namawiali do rozwagi i cierpliwości. Kerowie na razie muszą czekać, już to na nadejście żądania okupu, już to na otrzymanie jakichś innych wieści. Nie przemyślany atak na plugawe gniazdo Careyów mógłby okazać się zgubny w skutkach. Ale prędzej czy później Careyowie zapłacą swoją krwią za ten bezbożny czyn. Teraz jednak najważniejsze jest bezpieczeństwo lady Ker.

Tłum długo burzył się i ciskał najstraszliwsze przekleństwa. Wszystkich jednoczyła żądza krwawej zemsty. W końcu jednak Kerowie posłuchali swych dowódców i wśród cichnących złorzeczeń zaczęli się rozchodzić.

Patrick i Ian w pośpiechu zjedli wieczerzę i kazali osiodłać dla siebie świeże konie. Ian miał się spotkać z pewnym myśliwym i zapytać go, czy nie podjąłby się szpiegowskiej misji. Człowiek ten nie miał wobec nikogo żadnych zobowiązań, ale Elsbeth traktowała go zawsze z wielką uprzejmością i Ian chciał zaapelować do jego wdzięczności. Patrick natomiast miał objechać

wszystkich dzierżawców i przekazać im smutną wieść o porwaniu lady Ker, a także wyrzucić na nich presję, by schronili się w murach twierdzy. Atak ze strony Huntington był jak najbardziej prawdopodobny.

Tak tedy wyjechawszy na gościniec, pożegnali się krótkim skinieniem głowy i zniknęli w ciemności.

John Carey z niepokojem wsłuchiwał się w ciszę lasu. On i Simon leżeli ukryci w tych krzakach już niemal pół nocy, a Alex wciąż nie nadjeżdżał. Trzeba być ostatnim głupcem, żeby zaufać jakiemuś Szkotowi. Ale teraz nie było odwrotu z raz obranej drogi. Alex musiał umrzeć, i to tak, żeby on, John, pozostał poza wszelkimi podejrzeniami.

A przecież przez tyle lat mówiono, że zginął gdzieś na kontynencie. Jednak powrócił z za grobu na jego, Johna, utrapienie. Kiedy zniknął przed laty, jedyną żoną był ojciec oraz najstarszy brat, William. John cierpliwie przygotowywał się do przyspieszenia ich śmierci. Nie łączyły ich żadne uczucia, z wyjątkiem nienasyconej chciwości. Litość obca była ich sercom.

Najmłodszy syn w rodzinie to wytarty miedziak w porównaniu z synem najstarszym, który jest złotym dukatem. Taki właśnie los przypadł Johnowi. Był zaledwie tolerowany, a zdarzało się, że okładano go pięściami. Nienawidził swoich dwóch starszych braci, urodzonych jeźdźców i wspaniałych szermierzy. Jemu brakowało tych zdolności i zawiść wypełniła jego duszę.

Kiedy wreszcie pochował Williama, ujrzał się samowładnym panem i dziedzicem. I wtedy powrócił Alex.

Władza Johna trwała krócej niż władza błazna w czas karnawału. Znow znalazł się na samym dnie. Postanowił jednak wydzwignąć się na szczyt. Pokaże jeszcze im wszystkim. Uczyni z Huntington najbogatszy i najsilniejszy ośrodek w całej północnej Anglii. Nikt wówczas nie ośmieli się kwestionować jego praw ani też wysuwać pod jego adresem jakichś oskarżeń.

Nie będzie żadnych dociekań dotyczących przedwczesnej śmierci ojca i brata.

Lecz co z Alekssem? Szkot zobowiązał się ułatwić mu ucieczkę dzisiejszej nocy. Cóż jednak znaczy słowo Szkota? Kiedy pozbędzie się Alexandra, zajmie się tym zdradzieckim Szkotem. Nienawidził go. Nienawidził ich wszystkich, ale najbardziej tego jednego, któremu wydawało się, że uczynił sobie z niego, Johna, posłuszne narzędzie swej woli. Łajdak wkrótce przekona się, że jest akurat odwrotnie.

John po raz kolejny tej nocy sprawdził pistolet. Ścieżka biegła tuż obok, nie mógł zmarnować kuli. Jeśli mimo to chybi, Simon dokończy dzieła. Następnie wrzucą ciało do rzeki. Angielscy wieśniacy wyłowią je i każdy pomyśli, że morderstwa dokonano w twierdzy Kerów. Był to plan najlepszy z możliwych. Tylko, do stu piorunów, dlaczego Alex nie nadjeżdża?

Do uszu Johna dobiegł śpiew wilgi. Zmartwił. Był to sygnał Szkota. Coś musiało się wydarzyć. John odpowiedział takim samym sygnałem i wyszedł na ścieżkę. Z ciemności wyłonił się jeździec.

- Gdzie Alexander? - zapytał John niespokojnym głosem.

Z tamtej strony rozległ się ponury śmiech.

- Mało wiesz, mój ty niedoszły lordzie. Uciekł ubiegłej nocy.

John położył dłoń na rękojeści rapiera.

- Zdradziłeś mnie.

- Bzdura. Nie mam z tym nic wspólnego. Zrobił to własnym przemysłem albo z pomocą kogoś, o kim jeszcze nic nie wiemy.

John stał jak wmurowany. Tymczasem Szkot myślał intensywnie. Skoro John Carey czeka na brata w tym miejscu, tamten nie wrócił do Huntington.

- Uciekł razem z moją panią. Porwał ją.

- Uciekł z lady Ker?

- Tak. Chcę, żeby wróciła. Nietknięta.

John zamyślił się.

- Nie ma ich w Huntington.

- Musi wiedzieć albo domyślać się, że nie jest to najbezpieczniejsze dla niego miejsce.

- Nie jest głupcem. Wie, że nie zapłaciłem okupu.

- Więc gdzie mógł się zaszyć?

John spoglądał w ciemność, przytłoczony hiobową wieścią.

- Musimy go odnaleźć - rzekł ze ściśniętym gardłem.

- Tylko zróbmy to tak, żeby moja pani nie domyśliła się, że coś nas łączy.

- To twoje zmartwienie.

- Mylisz się, Angliku. Nie przeciągaj struny, bo inaczej kat zajmie się tobą.

John przełknął ślinę. Wiedział, że nie jest to czcza

pogróżka. Dopuścił się zbrodni, które karano ćwiartowaniem.

- Mój brat musi umrzeć - rzekł ochryple.
- Tak, musi umrzeć. Ale moja pani musi żyć.
- Jak ich znajdziemy?

- Pewnie ukryli się gdzieś w okolicy. Będę ich tropił, ty zaś spróbuj się dowiedzieć, który z twoich ludzi pomógł mu w ucieczce. Tam był jakiś drugi mężczyzna, na pewno jego sługa lub przyjaciel.

John pograżył się w myślach. Minęło osiem lat od wyjazdu Aleksa. Wszyscy ich żołnierze byli albo dzierżawcami okresowo powoływanymi pod bron, albo najemnikami przyjętymi na służbę w ostatnich latach. Wróciwszy, Alex zbyt krótko zarządzał włościami, by zadzierzgnąć więzy osobistej lojalności. Owszem, był też Davey Garrick, dawny sługa i kamrat Aleksa, ale pozostawał tymczasowo na żołdzie u innego lorda. Poza tym zbyt dobrze mu płacono, by ryzykował swoją karierę wojskową. Nie, Garrick nie mógł przygotować ucieczki Aleksa.

- Jak sądzisz, dlaczego porwał lady Ker? - zapytał, spoglądając na Szkota.

Tamten wzruszył ramionami.

- Odwet... okup... próba zabezpieczenia się. - Nie wymienił wszystkich możliwości. O jednej wolał nie wspominać, gdyż bał się stracić panowanie nad sobą. Anglicy, szczególnie Careyowie, gustowali w szkockich niewiastach.

- Jeśli spotka ją coś niedobrego - rzekł sapiąc - żaden Carey nie będzie mógł być pewien jutra.

John poczuł w członkach lodowaty chłód. Skinął głową i odruchowo spojrział ku krzakom, za którymi leżał Simon. Zacisnął dłoń na kolbie pistoletu. Kto wie, może to była najlepsza chwila na pozbycie się niewygodnego Szkota.

I już podnosił rękę, by umówionym znakiem podebrać Simona do ataku, gdy poczuł na gardle coś ostrego. Szkot godził w niego swym rapierem.

- Nie radziłbym, Angliku - syknął. - Każ wyjść z ukrycia swojemu człowiekowi.

John poruszył bezgłośnie wargami.

- Słyszałeś? Każ mu wyjść!

- Simon!

Z ciemnej gęstwiny wyłonił się potężnie zbudowany drab.

- Oto budujący przykład zaufania - rzekł kpiącym głosem Szkot. - Szkoda, że nie mogę odrąbać ci głowy. W tej chwili jednak jesteś mi potrzebny. Chcę, żeby lady Ker wróciła do twierdzy cała i zdrowa.

Rapier na powrót znalazł się w pochwie. John dotknął dłonią skaleczenia. Poczuł na palcach lepłą krew.

- Ty szkocki psie!

Szkot zacisnął usta. Jego oczy pałyły żądzą mordu.

- Będę czekał na ciebie za dwa dni w zwykłym miejscu.

Zawrócił konia i zniknął w ciemności.



O bladym świcie Davey rozstał się z Alekssem i Elsbeth. Obiecał, że powróci, gdy tylko będzie to możliwe. Oczywiście, nie zapomni o piórze, inkauscie i pergaminie. Dwór angielski zaufa bardziej spisanemu niż ustnemu przekazowi.

Elsbeth obserwowała jego odjazd z narastającym strachem. I nie dlatego, by obawiała się, że zostawszy z nią sam na sam, Carey dopuści się gwałtu. Bała się samej siebie, swojej reakcji na jego bliskość.

Jego ramiona znów ją oplatały. Wyczuwała w nich poskramianą siłę. Kołyszący się chód konia powodował, że jej ciało ciążyło ku jego ciału, i aż dziwiła się samej sobie, że jeszcze nie opadła na jego szeroką, pierś. Trwała w niewygodnej pozycji, chcąc za wszelką cenę uniknąć fizycznego kontaktu. To właśnie jego delikatność była największym jej wrogiem. Próbowwała raz jeszcze zgromadzić w myślach wszystkie powody, dla których powinna go nienawidzić. Ponościł moralną odpowiedzialność za śmierć jej ojca. Podszedł ją sprytem, by umożliwić sobie ucieczkę. Porwał ją, nie wahając się użyć brutalnej przemocy. Ale wszystko to stawało się nieważne wobec jego fizycznej bliskości, która niewoliła jej zmysły i duszę.

- Już niedaleko, pani - usłyszała jego ciepły głos.
- Dokąd jedziemy?
- Do chaty kłusownika. Prymitywne schronienie, lecz zabezpieczy nas przed wiatrem, deszczem, zimnem i dzikimi zwierzętami.

Jego cela też była prymitywna, pomyślała Elsbeth. Zatem odpłacał jej pięknym za nadobne.

- Gdybym mógł, zawiózłbym cię, pani, w lepsze miejsce - mówił, jakby czytał w jej myślach.

- W mojej sytuacji nawet królewski pałac byłby tylko więzieniem - rzekła z nutką goryczy.

- Przykro mi, Elsbeth, że doszło do tego, lecz ty i ja mamy sobie wiele do powiedzenia.

- Doprawdy, nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłabym ci powiedzieć, Angliku. - Jak w ogóle śmiał wymieniać jej imię!

- Więc będziesz słuchała.

- Ani myślę - powiedziała z uporem krnąbrnego dziecka.

- Zostaniesz ze mną tak długo, jak długo będzie to konieczne. Mogą to być tygodnie albo nawet miesiące.

Oświadczenie to, jakkolwiek wypowiedziane łagodnym głosem, brzmiało jak nieodwołalna decyzja.

Targnął nią gniew.

- Zdradziecki Angliku, powinnam pozwolić Patrickowi przebić cię na wylot.

Roześmiał się.

- Co się stało, to się nie odstanie. Być może ja i Patrick znajdziemy jeszcze okazję na udeptanej ziemi.

- Jestem pewna. Patrick nie puści ci tego płazem. Zresztą jest lepszym szermierzem od ciebie.

- Ale jest zapalczywy i popędliwy, co trochę zmniejsza jego przewagę.

- O ile pamiętam, zakończył tamtą walkę bez rany
- zauważyła sarkastycznie.

Znowu jej uszy połaskotał śmiech Huntingtona.

- Może specjalnie dałem się zranić, by zasłużyć sobie na twoją czułą opiekę, pani?

Splonęła rumieńcem. Na szczęście nie mógł tego zauważyć.

- Zaopiekowałamby się nawet rannym psem.

- Z takim oddaniem?

Och, jakże go nienawidziła!

- Gardzę tobą, Angliku! - krzyknęła na granicy rozpacz.

Mocniej ścisnął ją w pasie.

- Bardzo chciałbym, byś zmieniła niepochlebnią opinię o mnie.

- Nic trudnego. Zwróć mi wolność.

- Wszystko, z wyjątkiem tego jednego, Elsbeth.

Znów jego głos miał ciepłe, łagodne tony. Ale nie robiły już na niej żadnego wrażenia. Szarpnęła się.

- Wolę iść piechotą.

- Wykluczone. Musisz podporządkować się mojej woli.

Tak, brutalnie przypominał o jej położeniu. Zamienili się rolami. Wtedy to on był na jej łasce i niełasce, teraz ona musiała być mu posłuszna. A przecież była już bliska myśli, że ma do czynienia z przyzwoitym

i obyczajnym człowiekiem, rzecz jasna jak na Careya. Teraz ukazał jej swoje prawdziwe oblicze. Groził jej i niewolił ją. Była całkowicie pod jego władzą.

Alex domyślił się jej wzburzenia. Nawet trudno było mu się dziwić, że Elsbeth źle odczytuje jego intencje.

- Nie obawiaj się, że zrobię ci krzywdę, pani. Chciałbym jedynie w rozmowie z tobą przekonać cię do pewnych rzeczy.

- Porywając mnie?

- Zrobiłaś rzecz identyczną - przypomniał jej.

- Ale nie po to, żeby prowadzić z tobą jakieś tam rozmowy. Czego właściwie chcesz ode mnie?

Padło proste pytanie i Alex nie umiał na nie odpowiedzieć. Pobudki, jakimi się kierował, nie były całkiem jasne nawet dla niego samego. Z początku zamierzał uciec z twierdzy, żeby zdemaskować brata i tego zdradzieckiego Kera, który chciał, żeby graniczna wojna wciąż trwała. Zażegnałby tym sposobem waśń pomiędzy Kerami a Careyami. Teraz jednak zaczynał nabierać pewności, że kierowały nim motywy bardziej osobiste. Zależało mu na Elsbeth, dłużej już temu nie mógł przeczyć. Ale czy mógł wyznać jej to? W żadnym wypadku. Po prostu wyśmiałyby go.

Dlatego zamilczał pytanie i zmusił konia do szybszego biegu. Był mglisty poranek i mleczyzny opar tłumiał stukot kopyt na kamienistej ścieżce.

Słońce stało już wysoko na niebie, gdy opuścili szlak i zagłębili się w leśną gęstwinę. Gałęzie czepiały się ich włosów i odzienia, pajęczyny oblepiały twarze. Elsbeth tęskniła za chwilą odpoczynku. W końcu Alex zatrzy-

mał konia i zeskoczył na ziemię. Gdy chciała zrobić to samo, kazał jej zostać w siodle. Następnie ujął cugle i wprowadził konia w jeszcze większy gąszcz. Przedzierali się przez ostępy zamieszkałe wyłącznie przez dzikiego zwierza, rozbrzmiewające tajemniczymi szelestami, trzepotami, rykami i poświstami.

Drzewa zaczęły rzednąć, zrobiło się jaśniej i wjechali na małą polankę. Stała na niej sklecona z bali chata myśliwska.

Elsbeth wstrząsnął zimny dreszcz. Oto patrzyła na swoje więzienie. Podeszła do chaty na drżących nogach. Drzwi otworzyły się z jękiem zardzewiałych zawiasów i ze środka powiało stęchlizną. Szpary pomiędzy belkami zasklepione były mieszaniną błota i bydłęcego nawozu; porastał też w nich mech. Podłoga okazała się najzwyczajszym klepiskiem, a w kącie czerniał barłóg z sitowia. Coś przemknęło i znikło w norze. Elsbeth opuściła

niejszej od chaty najędźniejszego z wieśniaków. Z wysiłkiem przeniosła wzrok na Aleksa.

- I ja mam tutaj mieszkać? - spytała cichym głosem.

Uparcie patrzył w głąb izby. On też był niemile zaskoczony. Inaczej sobie zapamiętał chatę. Jedyłą nadzieję pokładał w Daveyu, który miał przywieźć niezbędne wyposażenie.

- Tylko przez pewien czas, Elsbeth - odpowiedział. Z jakąż rozkoszą by go oćwiczyła!

- Zabraniam wymawiania mojego imienia - rzekła, siłąc się na dumny ton, choć najchętniej wybuchnęłaby płaczem.

Opuściły ją wszystkie siły. Oparła się o framugę. Uświadomiła sobie, że przez ostatnie trzy dni prawie że nie jadła i nie spała, czuwając przy rannym Angliku, a potem pomagając mu w ucieczce. Zamknęła oczy. Och, zasnąć, spać i albo obudzić się z dala od tego miejsca, albo wcale się nie obudzić.

Poczuła jego dłoń na ramieniu. Odsunęła się ze wstrętem.

- Nie dotykaj mnie! - wykrzyknęła, tyle że jej krzyk nie był wcale głośniejszy od szeptu.

Nic nie powiedział. Usłyszała jego kroki. Ośmieliła się spojrzeć. Zobaczyła go z naręczem sitowia.

- Trzeba je wysuszyć i przewietrzyć - wyjaśnił.

Zaskoczyło to ją. Nigdy nie słyszała, żeby mężczyzna zajmował się czymś takim. I to w dodatku angielski lord.

Widocznie odgadł jej zdumienie, gdyż uśmiechnął się. Musiała mu to przyznać - miał ciepły, dziwnie zniewalający uśmiech. Kiedy śmiały się jego oczy, jego twarz łagodniała i pojawiał się na niej rys dobroci. Ale ten jego uśmiech trwał bardzo krótko, gdyż zaraz Carey wrócił do swego zajęcia. Wyniósł całe sitowie i rozłożył je cienką warstwą na słońcu. Ktoś inny na jego miejscu jej kazałby wykonać tę robotę. Patrzyła, jak się krząta, wysoki, silny, czarnowłosy, a w jego ruchach było tyle naturalnego wdzięku, że w końcu odnalazła w tym obserwowaniu go niekłamaną przyjemność.

Boże, chyba całkiem postradała zmysły! Odwróciła wzrok i znów spojrzała w głąb izby. Było tam palenisko, a nad nim otwór w słomianym dachu. Poza tym

dostrzegła dwa prymitywnie zbite stołki. Było to całe umeblowanie.

Tak, od tej pory jedyną jej myślą powinna być myśl o ucieczce. Ale jak miała uciec z tej leśnej głuszy? Można było tego dokonać jedynie na koniu. Ale koń zniknął. Rozpłynął się w powietrzu. Patrzyła i trudno jej było uwierzyć własnym oczom.

Spośród drzew wynurzył się Alex. Od razu też domyślił się z jej spojrzenia, czego szuka i o czym myśli.

- Jest dobrze ukryty - rzekł. - I nie radzę zagłębiać się w las. Kto nie zna tutejszych sekretnych przejść, ten na pewno się zgubi. Łatwo też natknąć się na niedźwiedzia lub innego dzikiego zwierza.

- Takiego jak ty, Angliku? - spytała zaczepnie.

- Pomiedzy mną a niedźwiedziem czy rysiem jest ta zasadnicza różnica, że ja nie rozszarpie cię na sztuki, słodka Elsbeth - powiedział bez cienia uśmiechu.

- Dlaczego miałabym ci wierzyć?

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

- Wyglądasz bardzo... apetycznie - rzekł z ledwie wyczuwalną tęsknotą w głosie. - Ale dziś jestem nieludzko zmęczony i zapewniam cię, pani, że w tej chwili nic ci nie grozi z mej strony.

- Nie zostanę tu z tobą! - wykrzyknęła w przypływie lęku i rozpacz.

- Zostaniesz, nawet gdybym musiał cię związać. Chociaż, przyznaję, wolałbym nie robić tego. - Jego twarz oblekła się powagą. - Jeśli obiecasz mi, pani, że porzucisz myśl o ucieczce, zadowolę się tym.

- Nawet jeżeli ja nie zażądałam takiego słowa od ciebie?

- Wierzę w dumę i godność szlachetnie urodzonych.

- Mój panie...

- Znamy nasze imiona. Dlaczego nie mielibyśmy nimi zwracać się do siebie?

- To wykluczone.

- Dlaczego? Jesteśmy w prostej chacie, więc zachowujmy się z prostotą. A teraz czekam na twoje słowo, Elsbeth. - Przechylił głowę, jakby miał przed sobą dziecko, od którego oczekuje się złożenia solennej obietnicy poprawy.

- Nie!

- W takim razie wiedz, że spędzisz tę noc i następne przywiązana do mnie rzemieniami.

Spojrzała nań z paniką w oczach. Przeraziła ją nie tyle wizja więzów, ile fizycznego z nim zbliżenia.

- Łotrze, nie ośmielisz się!

- Zobaczymy. - Podniósł rękę i pogłodził ją po policzku. - Jesteś taka blada, Elsbeth - rzekł z czułością.

Owładnęła nią podejrzliwość. Był jak Proteusz, który umykając przed natarczymi pytaniami, przemieniał się w różne zwierzęta i żywioły. Anglik raz był czuły, raz groźny, raz serdeczny, a raz kpiący. Lecz jaki był naprawdę?

- Zapomnij o Demonie - powiedział, ponownie podejmując temat jej ucieczki. - Nie próbuj go dosiąść. Dla obcych może być niebezpieczny.

- Na pewno nie bardziej od ciebie.

- Ja cię nie skrzywdzę, on zaś może zrzucić i strato-
wać.

- Nie skrzywdzisz mnie?! - wybuchnęła, po czym
wskazała palcem na prawą skroń. - A kto mi to zrobił?

Spojrzał na brzydki siniak.

- Przykro mi, ale to było konieczne.

- Jaki gwałt uznasz jeszcze za konieczny?

- Wierz mi lub nie, ale zrobiłem to z ciężkim sercem.

Chciałaby mu uwierzyć. Nienawiść niszczy człowieka, a ufność go uskrzydla. Sama też nie była bez winy. Najpierw było to upokarzające porwanie, a potem skazanie na samotność w zamkniętej na klucz celi. Nabrała w płuca powietrza, ale nie przyniosło to ulgi jej pierśsiom. Wciąż przygniatał je jakiś nieznośny ciężar. Odwróciła się i podeszła do najbliższego drzewa. Osunęła się na ziemię i oparła o pień. Przed nią czerniała zwarta ściana boru.

Alex spoglądał na nią w gorzkim zamyśleniu. Obawiał się, że już nigdy nie odzyska jej zaufania. Pomogła mu w ucieczce, on zaś odpłacił jej uderzeniem pięścią. Na koniec przywiózł do chaty, przy której jego cela w wieży wydawała się królewską komnatą. Uwzględniając to wszystko, jej pełna wrogości nieufność wydawała się jak najbardziej naturalną reakcją. Mimo to była trudna do zniesienia.

Jeszcze niedawno wierzył, że śmierć Nadine i Henri Marcharda, potem zaś okrutne lata na galerach, uodporniły go na pewne uczucia. Jednak podstępne i niegodne postępowanie brata sprawiło mu autentyczny ból, a prawdziwą udrękę obecne zachowanie Elsbeth.

Poczuł w sobie przeraźliwą pustkę. Przyszłość jawiła mu się jako czas wyzbyty ciepła i serdeczności, za to wypełniony nienawiścią, niewiarą i zaciekłą walką. Jego ambicją było zaprowadzić pokój i zgodę na granicy, zerwać z wielowiekową tradycją najazdów, a tymczasem tylko pogłębił i ugruntował wrogi podział.

Najgorsze, że nie wiedział, jak się wyplątać z tej matni. Miał nadzieję na porozumienie z Elsbeth, kiedy zostaną sami. No i byli sami, a jedyne, co widział w jej oczach, to strach pomieszany z nieufnością. Rozmowa w tej sytuacji nie miała najmniejszego sensu. Elsbeth nawet nie zechce go słuchać.

Kiedy tak bił się z myślami, Elsbeth zapadała w rozkoszne odrętwienie. Sprawilo to słońce, które ciepłymi promieniami pieściło jej ciało, oraz zapachy dolatujące z leśnych ostępów. Wreszcie zmęczenie wzięło górę, zamknęła oczy i zasnęła.

Gdy obudziła się i rozejrzała wokół, nie odnalazła Aleksa. W chacie też go nie było. Widocznie gdzieś sobie poszedł.

Spojrzała na niebo, które w tym czasie zasnuło się chmurami. Niebawem zacznie się ściemniać. Cisza dzwoniła w uszach. W powietrzu wyczuwało się jakby oczekiwanie. Ramiona Elsbeth pokryły się gęsią skórką.

Gdzie jest Alex? Czyżby zostawił ją tu samą?

Uświadomiła sobie, że jest wolna, choć nie do końca była pewna, czy pragnie tej wolności. Musiała uciekać stąd jak najszybciej. Z tego miejsca i od tego człowieka, który skazał ją na mękę sprzecznych doznań.

Klan z pewnością już jej szuka. Jeśli więc ruszy na

północ, jest szansa, że natrafi na któryś z przeczesujących lasy oddziałów. Huntington ostrzegł ją wprawdzie, że wokół roi się od niebezpieczeństw, ale to on był dla niej największym zagrożeniem. Mógł sprawić, że z czasem wyparłaby się wszystkiego - najbliższych sobie ludzi, zasad, obowiązków, jakie spadły na nią z chwilą śmierci jej ojca.

Zagłębiła się w las. Do końca dnia pozostało jeszcze trochę czasu. Zamierzała w ciągu tej godziny odejść jak najdalej. Las tworzył zwartą gęstwinę. Liczyła na to, że natrafi na jakąś ścieżkę wydeptaną przez zwierzęta, która doprowadzi ją do drogi dla konnych i pieszych.

Ubywało światła. Elsbeth nie miała zajęczego serca. Granica była tylko dla odważnych. Ale bodaj nie ma takiego człowieka, na którego wyobraźnię nie działałaby ciemność w lesie. Dlatego i ona brnęła przez paprocie, jagody i leszczyny z duszą na ramieniu. Hukanie sów, które zawsze lubiła, wydawało się jej teraz zewem śmierci, żałobnym podzwonnym krótkiego życia. Zewsząd dolatywały jej uszu jakieś tajemnicze szelesty, pomruki, poświsty i trzepotania. Rzuciła okiem ku niebu, widocznemu w prześwicie między koronami potężnych buków i dębów. Czarne chmury brzemiennie były deszczem.

Poczuła pokusę, by wracać do chaty, Demona i Aleksa. Lecz kiedy okrążyła jedno z drzew, straciła rozeznanie w kierunkach. Na niebie nie było gwiazd, nie było też księżycy, który mógłby pomóc w odnalezieniu drogi powrotnej. Na górze i w dole panowała ciemność,

która wciąż gęstniała. Z szumiącego listowia po prawej spojrzały na nią płonące, diabelskie oczy.

Jęknęła, zaszlochała i rzuciła się w przeciwnym kierunku. Ale nogi już odmawiały jej posłuszeństwa. Przyłgnęła do pnia drzewa niczym do kochającej matki. Mijały minuty i kwadranse. Elsbeth czuła się zmarznięta, głodna i śmiertelnie zmęczona. Najgorsze było zimno, które przenikało do kości. Żeby się rozgrzać, musiała się ruszać. Wybrała na los szczęścia kierunek i oderwała się od drzewa.

Coś zaszumiało nad jej głową. Otwarły się upusty niebios. To tylko pogłębiło jej rozpacz. Już nie zważała na nic. Szła, byle posuwać się do przodu. Nagle jej stopy natrafiły na coś miękkiego, maziowatego, oślizgłego. Rzuciła się do tyłu, lecz straciła równowagę. Płasnęło. W ostatniej chwili chwyciła się jakiejś gałęzi. Natrafiła na bagno. I to bagno wsysało ją teraz w swoją bezdenną głębinę.

Krzyknęła. Krzyknęła drugi raz. A potem krzyczała już bez przerwy.



Przekonany, że Elsbeth śpi sobie smacznie pod drzewem, Alex zapuścił się w las z zamiarem zastawienia przy pomocy noża i rzemienia, które pozostawił mu Davey, kilku sideł na drobniejszą zwierzynę i ptactwo. Skończył na trzech sidłach. Na czwarte zabrakło mu rzemienia.

Wróciwszy do chaty, stwierdził, że Elsbeth przepadła bez śladu. Zalała go fala najczarniejszych myśli. Porwana ją. Bzdura! Musiała uciec. Uciekła pomimo jego ostrzeżeń.

Pobiegł do miejsca, gdzie ukrył Demona. Przez chwilę się wahał, czy go siodłać. Machnął ręką i chwyciwszy się grzywy, zgrabnym susem wskoczył na koński grzbiet.

Lecz dokąd teraz? W jakim kierunku uciekła?

Musiała iść na północ. Tam był jej dom, tam mieszkali jej poddani, tam mogła liczyć na pomoc.

Zaszeleściły liście, zatrzeszczały gałęzie. Wparł konia w las.

Nie wiedział, jak długo krążył i nawoływał. Zapadła ciemna noc i rozpętała się burza. Grzmiało i błyskało, za kołnierz lały się strugi deszczu.

Dobiegł go czyjś krzyk. Nie, musiał się przesłyszeć. Na wszelki jednak wypadek wstrzymał oddech i nastawił uszu. Krzyk się powtórzył. Alex uderzył konia piętami. Po chwili wypełnił mu nozdrza zapach moczarów. Bagno! Krzyki nasiliły się. Już bez trudu mógł rozpoznać głos Elsbeth.

Zeskoczył na ziemię i poklepał Demona po szyi. Był to znak, że zwierzę ma tu czekać i nie ruszać się. Następnie udał się biegiem ku miejscu, gdzie najpewniej Elsbeth ginęła w paszczy gigantycznej bagiennnej ropuchy. Niebo rozdarła błyskawica. W jej upiornym świetle Alex dojrzał ludzką postać, a właściwie górną połowę postaci, gdyż do pasa Elsbeth pogrążona była w czarnej mazi. Kurczowo trzymała się gałęzi, tak cienkiej, że tylko cudem jeszcze się nie złamała.

- Elsbeth! - przekrzykiwał teraz jej krzyk i grzmoty. - Wszystko będzie dobrze! Zaraz cię wyciągnę!

Zamilkła. Jaka ulgą było nie słyszeć jej krzyku. Rozejrzał się wokół siebie. Zobaczył tylko ciemność. Musiał czekać do następnej błyskawicy. Na szczęście nie czekał długo. Dostrzegł rosnące na skraju bagniska młode, lecz zdrowe i silne drzewo. Chwycił pień jedną ręką, a drugą wyciągnął ku tonącej.

Pojęła od razu, jak ma postąpić. Chociaż panicznie bała się puścić gałęzi, wiedziała, że musi chwycić dłoń Aleksa.

Kiedy poczuł jej dłoń w swojej dłoni, pociągnął. Ciągnął tak mocno, że trzeszczało drzewko, którego się trzymał. Gigantyczna bagienna ropucha niechętnie oddawała zdobycz. Nagle rozległo się jakby młaśnięcie lub czknięcie i Elsbeth znalazła się w jego ramionach.

Wydawało jej się teraz, że śni na jawie. Stwierdziła ze zdumieniem, że osuwa się na ziemię. Usłyszała gwizdnięcie, a potem tętent kopyt. Ktoś dźwignął ją ku niebu, ku błyskawicom i wichrowi. Nastąpiło miłe kołysanie. Zabolała ręka. Otulały ją cisza i spokój.

Obudziły ją jakieś głosy, jednak nie otwierała oczu. Głosy zbliżały się. Rozmawiający podeszli w pobliże drzwi. Teraz już bez trudu rozpoznała głosy. Jeden należał do Alexandra Careya, drugi do Daveya Garricka.

- Przywiozłem pióro i pergamin, jak również futra i derki. Judith dała chleb, mięso i ser.

- Co z moim bratem?

- Szaleje, jakkolwiek nikt nie zna powodu jego wściekłości. Musiał dowiedzieć się o wszystkim od tego zdradzieckiego Kera.

- Nie podejrzewa ciebie?

- Nie. Rozmawiał ze mną całkiem zwyczajnie. Wyczułbym podejrzliwość. Simon przepadł jak kamień w wodę. Myślę, że próbuje cię wytropić.

- A jak wytłumaczyłeś swój odjazd?

- Polowaniem. Muszę w drodze powrotnej ustrzelić jakiegoś jelenia.

Elsbeth chłonęła każde słowo. Dziwiła się swojej własnej ciekawości.

- A jak twoja pani?

Chwila ciszy.

- Próbowала uciec ostatniej nocy. Niewiele brakowało, a pochłonęłoby ją bagno.

- Czy jest sposób na zatrzymanie jej tutaj?

- Jest, ale w każdej chwili może znów spróbować ucieczki. Nie chcę mieć jej śmierci na sumieniu.

Głosy zaczęły oddalać się i słabnąć. Elsbeth podawała się z legowiska i przyłożyła ucho do szpary w drzwiach.

Rozpoznała głos Garricka.

- Jest bardzo urodziwa... jak na Szkotkę.

- Tak - zgodził się beznamyślnie lord Huntington.

- Co zamierzasz zrobić?

- Dopilnować, żeby bezpiecznie wróciła do swoich.

- Sam powiedziałeś, że potrzebujemy jej, żeby zde-maskować Johna.

- Nie poproszę jej o pomoc. Ona myśli o mnie jak najgorzej. Nie narażę jej również na żadne nowe niebezpieczeństwo. Careyowie dość uczynili zła jej klanowi.

Elsbeth położyła dłoń na sercu, chcąc uspokoić jego oszalałe bicie.

- Jesteś pewien, że pragniesz zwrócić jej wolność?

- Nie będę krył się za kobietą, Davey.

- Szkoda, że jest Szkotką i ma w sobie krew Kerów.

Minęła dłuższa chwila, nim odpowiedział:

- Być może jest jakiś inny sposób zakończenia całej tej sprawy. Wiem tylko, że w pierwszej kolejności muszę się zająć moim bratem.

- A tym zdrajcą wśród Kerów?

- Nie uwierz w żadne moje słowo obciążające kogoś z jej krewnych.

- Jeśli pozwolisz jej odejść, nigdy nie dowie się prawdy.

- Nie będę trzymał jej siłą. Dobrze wiem, co znaczy odebranie komuś wolności.

- Jak długo zamierzasz tu zostać ?

- Nie wiem. Liczę na to, że w końcu mój brat popełni jakiś błąd. Na pewno będzie spotykał się z tym Kerem. Obaj są w strachu. Mają zbyt dużo do stracenia.

- A czy nie byłoby dobrze wybrać się do Londynu?

- Rozważam taką możliwość. Z tym że nie mogę oskarżyć brata, nie mając przeciwko niemu żadnego dowodu. Ale może byłoby rozsądną rzeczą powiadomić księcia Northumberlanda, co się szykuje na granicy. Zapobiegłoby to, na przykład, najazdowi Johna na Szkotów. Nie mogę wykluczyć, że planuje coś takiego.

- Martwisz się o Kerów, oni zaś z rozkoszą obdarli-
by cię ze skóry.

- Nawet im się nie dziwię. Dość zła doświadczyli od Careyów. - Roześmiał się z goryczą. - Ich nienawiść jest przynajmniej naturalna i szczerą. Nie taka jak mo-
jego brata.

- Gdyby cię znali...

- Jestem Careyem i to im wystarcza.

- Jeden człowiek nie przemieni zadawnionej waśni
w przyjaźń.

- Zapewne masz rację. Warto jednak pamiętać, że
nienawiść rodzi nienawiść, przemoc rodzi przemoc -
rzekł Alex ze znużeniem.

Głosy znów zaczęły przybierać na sile. Elsbeth w po-
śpiechu wróciła na barłóg z sitowia. Zamknęła oczy,
udając, że śpi. Przez głowę przelatywały jej najróżniej-
sze myśli. Zaledwie mogła uwierzyć w to, co dotarło do

jej uszu. Ten arogancki Anglik, ten pogardzany i znie-nawidzony Carey troszczył się bardziej o jej klan niż o siebie samego.

Mężczyźni wymienili przed drzwiami słowa pożeg-nania. Potem dał się słyszeć stukot kopyt. Jęknęły za-wiasy. Spod lekko uchylonych powiek Elsbeth widziała wchodzącego Aleksa. Zbliżył się i stanął nad nią. Po-woli i z lękiem otworzyła oczy. Przyjął jej przebudzenie przyjacielskim uśmiechem.

Naciągnęła derkę aż po samą brodę. Jej suknia wciąż leżała na klepisku, mokra i czarna od bagiennej mazi.

Lord Huntington miał na sobie skórzane spodnie i koszulę z grubego płótna z rozchełstanym kołnierzem. W tym stroju wcale nie przypominał angielskiego szlachcica. Raczej już drwała bądź dzierżawcę.

- Chce mi się jeść, panie. Chyba nie zamierzasz za-morzyć mnie głodem? - powiedziała, bo z jednej stro-ny rzeczywiście była głodna, z drugiej zaś czuła, że mu-si coś powiedzieć.

Jego pochmurne dotąd oczy rozbłysły ciepłym świat-łem.

- Nie umrzesz głodową śmiercią, pani. Lecz zanim zasiądziemy do posiłku, przydałoby się włożyć coś na siebie. Gdy spałaś, był tu Davey. Przywiózł wiele po-trzebnych nam rzeczy, między innymi jedną z sukien swej żony. Jest rozumnym człowiekiem i nietrudno by-ło mu się domyślić, że chodzenie w jednej sukni byłoby dla ciebie, pani, dodatkową dolegliwością.

Rzekłszy to, na chwilę zostawił ją samą. Wrócił z suknią, którą położył na jednym ze stołków.

- Jeśli potrzebna ci pomoc przy ubieraniu, chętnie jej udzię - zaproponował pół żartem, pół serio.

Spłoneęła rumieńcem. Och, ta jej zdradziecka skłonność do czerwienienia się.

- Dziękuję, ale poradę sobie sama.

Kiwnął ze zrozumieniem głową i wyszedł bez słowa.

Ubierała się w pośpiechu. Bała się, że Carey w każdej chwili może znów się pojawić i wówczas ona, Elsbeth, umrze z upokorzenia. Suknia żony Garricka była prosta i miła w dotyku, lecz co najważniejsze - czysta. Pachniała miętą. Zapach wzmagął jeszcze głód Elsbeth. Już nie pamiętała, kiedy jadła po raz ostatni, w każdym razie musiało to być bardzo dawno temu. Ostrożnie otworzyła drzwi i wyszła na zalaną słońcem polankę. Na błękitnym niebie pały się baranki chmur. Do wieczora pozostało jeszcze kilka godzin.

Przez chwilę rozkoszowała się słońcem i ciepłem letniego popołudnia. Potem spostrzegła Huntingtona. Rozkładał na pniu zwałonego drzewa przywiezione przez Garricka zapasy.

Podeszła szybkim krokiem.

Powitał ją dwornym ukłonem. Ręką wskazał na pień i polankę.

- Nie jest to zapewne sala biesiadna godna szlachianki, pozostaje nam cieszyć się tym, co mamy.

Rzecz dziwna, ale pod tym lekkim, żartobliwym tonem Elsbeth wyczuła jakby zakłopotanie. Milczała.

- Zapowiada się prawdziwa uczta w porównaniu z tym wiktem, do którego przywykłem w ostatnich latach - dodał tym samym tonem, ale natychmiast spowaźniał.

Spojrzała nań pytającym wzrokiem. Zobaczyła zmęczenie na jego twarzy. Ciekawa była, czy w ogóle spał dzisiejszej nocy. A jeśli tak, to gdzie?

Zresztą mniejsza z tym. Jeżeli zaraz czegoś nie zje, to chyba oszaleje. Sięgnęła chciwie po chleb i zimną dziczyznę. Odgryzała i połykała, prawie nie przeżuując. Nie pogardziła też serem. Bolesne ssanie w żołądku zaczynało ustępować. Poczowała błogie ciepło.

Tymczasem on sycił się bardziej jej widokiem niż jadłem. Przede wszystkim dostrzegł w niej zasadniczą zmianę. Wciąż była pełna rezerwy i dystansu, lecz oczy już nie patrzyły tak surowo jak przedtem, a usta złagodniały. Czyżby słyszała coś z tego, o czym rozmawiał z Daveyem? Niemożliwe. Kiedy Davey odjechał, on zaś wszedł do chaty, spała jeszcze. Zapewne więc był to zbawienny wpływ snu i wypoczynku. Gdyby jeszcze mógł mieć nadzieję, że to zawieszenie broni potrwa dłużej...

Nasyciwszy pierwszy głód, zwróciła się doń z pytaniem:

- Dlaczego nie zabrałeś mnie do Huntington?
- Uznałem, że tutaj będziesz bezpieczniejsza. Nie przewidziałem, że już pierwszego dnia wpadniesz do najbliższego bagna.

Przeszedł ją dreszcz. Koszmar tamtych chwil wciąż trwał w jej pamięci.

- Dlaczego po prostu nie wtrącisz brata do lochu?
- Nie mam przeciwko niemu żadnych dowodów.
- Po co ta troska o dowody, skoro ma się pewność?
- Anglia jest teraz państwem prawa.

- Twój brat nic sobie z tego nie robi. Ale rozumiem. Ty jesteś inny. Czy nic by tu nie pomogła przyjaźń najpotężniejszego człowieka w Anglii?

- Kto dzisiaj znajduje się wysoko, jutro może spaść bardzo nisko - zauważył Alex beznamiętnie. - Wystarczy przykład Somerseta, który jęczy dziś w Tower. Zgoda, Warwick jest moim przyjacielem i na pewno pośpieszy mi z pomocą, ale nie postąpi wbrew prawu w imię naszej przyjaźni. Byłoby to zgubne tyleż dla niego, co dla Anglii.

- Co poczniesz ze mną? - zmieniła temat.

- Zdaje się, że zrobię to samo, co zrobiłaś ze mną. Porwałaś mnie, a potem pomogłaś w ucieczce. Ja też porwałem ciebie, a teraz pomogę ci uciec.

- Ale nie takie były twoje plany, prawda?

- Przyznaję, były inne. Doszedłem jednak do wniosku, że nie będę wplątywał cię w brudną sprawę.

- Mam swoje własne długi do spłacenia - rzekła cicho.

Uniósł pytająco brwi.

- W moim klanie jest judasz.

Poczuł nagle ogromną ulgę. A więc wreszcie przyjęła za pewnik coś, co dotąd rozpatrywała tylko jako możliwość.

- Muszę go ujawnić.

Zacisnął usta. W jednej chwili uświadomił sobie wszystkie niebezpieczeństwa z tym związane. Nagle pomysł uwolnienia wydał mu się skazaniem jej na śmiertelne ryzyko.

- Nie pozwolę ci na to.

Na jej twarzy pojawił się wyraz rozbawienia. Sytuacja stawała się dziwaczna. Doszli do punktu, w którym nie było już wiadomo, kto czego chce.

Alex też musiał to sobie uświadomić, gdyż równocześnie wybuchnęli śmiechem. Odruchowo podali sobie dłonie. Trzymali się za ręce i śmiali coraz głośniej i głośniej. Ich śmiech był swobodny, radosny i niepowstrzymany. Tak mogli śmiać się tylko ludzie, którym przydarzyło się coś dobrego.

Ptaki zamilkły i przypatrywały się im z wysokości tysiącletnich dębów i buków.



Ich śmiech powoli cichł.

Patrzyli sobie w oczy, już bez obawy, że jedno drugiemu może sprawić ból lub przykrość.

Szare oczy błyszczały niczym wypolerowana stal. W brązowych oczach widać było tęsknotę i wzruszenie.

Magiczna aura, która zawsze otaczała ich, kiedy byli ze sobą, tym razem przeobraziła się w namiętność.

Elsbeth pragnęła jego pieśczoć, dowodów jego delikatności, uśmiechu na jego twarzy.

On pragnął jej zaufania, zrozumienia i czułości.

A także kontaktu z jej ciałem.

A jednak żadne nie uczyniło nic, żeby dać wyraz swoim pragnieniom. Zmiana, jaka dokonała się w nich, była zbyt nagła i zbyt oszałamiająca. Nie oswoili się jeszcze ze swoją nową sytuacją.

Zapragnął przytulić ją do piersi, ale jakiś wewnętrzny głos kazał mu się wstrzymać. Mógł ją przestraszyć i zrazić do siebie. Czekał na znak z jej strony. Na jej przyzwolenie.

I dała mu znak.

Podążyła ku niemu, nie czyniąc przy tym prawie żadnego ruchu. Powiedziała mu wszystko spojrzeniem

i wyrazem twarzy. Powoli zbliżali się do siebie, przyciągani jakąś niewidzialną siłą, aż ich oddechy zmieszały się ze sobą i jedno usłyszało bicie serca drugiego. Uniosła rękę i opuszkami palców dotknęła bolesnych zmarszczek w kącikach jego ust. On zaś uczynił rzecz niemal identyczną - wskazującym palcem jął błądzić po jej pięknie zarysowanych wargach.

- Elsbeth - szepnął z jakąś nutą rozpacz, niczym ranny, który błaga o pomoc.

Już się nie wahała. Jej usta poszukały jego ust. Zalała ich fala bezmiernej czułości.

Dotykali się niczym ludzie, którzy odnaleźli się po latach. Dla Elsbeth ten pocałunek i wszystkie delikatne pieszczoty były pierwsze w jej życiu. Nie wyobrażała sobie dotychczas, że może istnieć tak cudowne pomieszanie słodyczy, ciepła, upojenia, dreszczu i zawrotu głowy. Czuła się jak ziemia roszona deszczem i ogrzewana słońcem. Wiedziała wszak, że miłość to również gwałtowne wstrząsy i rozpasanie żywiołów. Jej rozbudzone ciało pożądało i takich doznań. Ale serce podpowiadało jej, że Alex nie przekroczy pewnej granicy. Zgadywała jego żądzę i widziała walkę, jaką toczył sam ze sobą. Najwyraźniej nie chciał jej skrzywdzić, bo przecież sam niczym nie ryzykował. Niemal każdy inny mężczyzna na jego miejscu przede wszystkim nasyciłby swoje zmysły. On był inny. Kim był naprawdę? Tego jeszcze nie wiedziała. Wiedziała tylko, że nie był tym człowiekiem, za jakiego miała go do tej pory.

Otulona jego ramionami, obserwowała zachód słońca. Słońce było dla niej słońcem na niebie i rodzowym

symbolem. Jego wyobrażenie z promieniami i ludzką głową widniało w herbie Kerów. Wschody i zachody użyczały coś ze swego splendoru klanowi. Lecz dzisiejszy zachód był wyjątkowo wspaniały. Złoto i purpura zalały prawie pół nieba, a nieziemskie piękno słonecznej tarczy niosło słodką obietnicę.

Po wschodniej stronie na ciemniejącym tle błysnęły pierwsze gwiazdy. Wśród nich zabłąkał się sierp księżycy, jakże różny od swoich towarzyszek. Dzień kończył się fugą wielkiego ukojenia. Powietrze stało nieruchome. Jedynym dźwiękiem w przestworzu był oddech Aleksa.

Spojrzała mu w oczy.

- I co teraz? - spytała, niemal bojąc się, że zakłóci swym głosem harmonię stworzenia.

Przytulił ją do piersi.

- Zastawiono na mnie w życiu wiele pułapek, czas, żebym zastawił własną.

- Myślisz o swoim bracie?

- Nie tylko.

Elsbeth wstrząsnęła się. Oto usłyszała wyzwanie rzucone siłom zła.

- Zatem o bracie i zdrajcy w moim klanie, czy tak?

- Tak. Dopóki nie dowiemy się jego imienia, żadne z nas nie może czuć się bezpiecznie.

- Kimkolwiek jest, nie skrzywdzi mnie.

- Mógł mieć swój udział w śmierci twojego ojca - rzekł Alex głosem zdradzającym napięcie.

- Nie chcę w to wierzyć! - wykrzyknęła, zamykając oczy.

Pogładził ją po policzku.

- Nie chcesz, a przecież wierzysz, prawda, najmilsza?

Wiedziała, jakiej odpowiedzi oczekuje. Powoli skinęła głową.

Patrzył na jej zmienioną twarz. Cierpiała już teraz, a przecież najcięższe chwile dopiero ją czekały. On nigdy tak naprawdę nie kochał młodszego brata, a jednak jego zdrada zraniła go głęboko. O ileż boleśnieszka byłaby to rana, gdyby John był mu bliski i cieszył się jego zaufaniem.

Elsbeth, otwierając się na gorzką prawdę, dała tym niewątpliwie dowód dużej odwagi.

Przygarnął ją opiekuńczym gestem.

- Zamierzam odesłać cię do domu.

Unikał do tej chwili jak ognia tego tematu. Miał nadzieję, że coś wymyśli, by zapewnić jej bezpieczeństwo. Jednak na razie nic roztropnego nie przychodziło mu do głowy. Sam zresztą był dla niej poważnym zagrożeniem. Nie wiedział, jak długo będzie w stanie kontrolować swoją namiętność. Równocześnie lękał się myśli o rozstaniu z Elsbeth. Być z nią było niedobrze, być z dala od niej było jeszcze gorzej. Jeżeli jego brat odnajdzie ich w tej kryjówce, zabije oboje.

- Nie zostawię cię samego - odparła z wielką prostotą.

Uśmiechnął się, słysząc nutkę determinacji w jej głosie.

- Słodko jest być z tobą, Elsbeth, ale wśród swoich będziesz bezpieczniejsza.

- Jeszcze jest czas na przemyślenie tego, mój panie
- powiedziała, zarzucając mu ręce na szyję, powabna i kusicielska.

- Jednakże...

- Nie ruszę się stąd. Zdradzony został cały klan Kerów, a moim obowiązkiem jest znaleźć zdrajcę.

- Pojedziesz - powiedział, nie bardzo już wierząc w siłę swej perswazji.

- A niby jak chcesz dopiąć swego? Ty nie możesz zapuszczać się w pobliże granicy, o ile nie chcesz przypłacić tego głową, ja zaś nie pojedę z własnej woli.

- A więc naprawdę chcesz zostać ze mną? - spytał, niemal zakłopotany, że ktoś może pragnąć go do tego stopnia.

- Dziwne, prawda? - uśmiechnęła się.

- Raczej dziwne - przyznał, wsłuchując się w radosny śpiew swej duszy.

Spojrzał przez ramię na nędzną chatę będącą ich schronieniem. Ta niewiasta godna była wyściełanych kobiercami komnat, a nie klepiska i barłogu. Jednak już wiedział, że jej nie odeśle. Wspólnie przeciwstawia się grożącym im zewsząd niebezpieczeństwom.

Dostrzegał też pewne dobre strony takiego stanu rzeczy. Im dłużej tamci dwaj nie będą nic o nich wiedzieli, tym większe prawdopodobieństwo, że popełnią jakiś błąd. Niepewni losu swej pani, Kerowie będą zwlekać z atakiem na Huntington. Podobnie John. On również będzie chciał zasięgnąć języka, nim ruszy swoich żołnierzy. W ten sposób obie strony zostaną niejako unieruchomione.

- A co powiesz o wyjeździe do Londynu? - spytał nagle.

Elsbeth zawahała się. Nie pociągało jej przebywanie wśród samych Anglików, najczęściej wrogo usposobionych do Szkotów. Wychowywana była w nienawiści do wszystkiego, co angielskie, i nawet ten niezwykły Anglik, który trzymał ją w ramionach, nie zdołał przemóc jej uprzedzeń. Teraz jednak, gdy mogłaby być razem z nim, Londyn nagle przestał wydawać się jej straszny.

Wczoraj Alex uratował jej życie. Marzył o zakończeniu granicznej waśni. Był dziwnym, tajemniczym człowiekiem, ale na pewno miał dobre serce.

- Dlaczego nie mielibyśmy zostać tutaj? - zapytała.

- Tutaj nie jesteś bezpieczna. Poza tym w Londynie będę mógł uchronić twój klan przed najgorszym. Jeżeli coś się mi przydarzy, będzie jasne dla ludzi decydujących o pokoju i wojnie, że sprawcą złęgo jest mój brat, a nie Kerowie.

- Porozmawiasz z Northumberlandem?

- Tak. Lord protektor powinien zostać we wszystko jak najszybciej wtajemniczony.

- Dlaczego nie wyślesz Garricka?

Westchnął. Pragnął towarzystwa ludzi. Zbyt długo był samotny. Nie chcąc się żalić, zmilczał pytanie.

- Więc jak? Jedziemy?

Kiwnęła głową. Uśmiechała się do niego prawie z dziecięcą ufnością.

Pod naporem gwałtownych uczuć Alex aż zamknął oczy. Już wiedział, że ją kocha. Nie był tylko pewien, czy ona kocha jego.

Mogła jedynie potrzebować go, by zdemaskować zdrajcę. Gdy to się dokona, Elsbeth może wrócić do swej dawnej roli przywódczyni wrogiego klanu. Przewyciężyć wielopokoleniową nienawiść nie jest bowiem łatwo. Alex starał się nie kierować pobożnymi życzeniami. Ostatnie lata nauczyły go trzeźwo patrzeć na świat. Każdy plan mógł przekreślić złośliwy los.

Nadine. Jej twarz zatarła się już częściowo w jego pamięci. Gnębiły go z tego powodu wyrzuty sumienia. Elsbeth i Nadine były bardzo do siebie podobne. Łączyła je taka sama odwaga, upór w dążeniu do wytkniętego celu oraz troska o innych. Powinien pamiętać, co przydarzyło się Nadine. Zakończyła życie na stosie. Nie mógł teraz pozwolić, by Elsbeth spotkało coś równie strasznego.

Tymczasem ona dziwiła się tą nagłą zmianą nastroju Aleksa. Bolesne zmarszczki w kącikach jego ust pogłębiły się. Podejrzewała, że spotkało go w życiu jakieś wielkie nieszczęście.

- Kto to jest Nadine? - spytała, przewyciężając wewnętrzny opór.

Zmarszczył brwi, a jego oczy pociemniały.

- Kiedy leżałeś w gorączce, wykrzykiwałeś to imię - wyjaśniła rumieniąc się.

- Była Francuzką. Bardzo ładną, bardzo dobrą i bardzo dzielną - odparł cicho.

Była. A zatem nie ma jej. Nie żyje. Czy Alex kochał tę ładną i dobrą Nadine? Sądząc z wyrazu jego twarzy, tak. Ta miłość zakończyła się wielkim cierpieniem, a lepiej nie rozgrzebywać dawnych ran. Lecz ona, Elsbeth, musiała wiedzieć wszystko.

- Co się z nią stało? - zapytała.

Patrzył na nią nie widzącym spojrzeniem.

- Spalono ją na stosie. Przywiązano do pala i podłożono ogień.

Mięśnie jego twarzy zadrgały, zerwał się na nogi i zniknął wśród drzew.

Elsbeth owładnęła bojaźnią. Jakim prawem wypytywała tego mężczyznę, w którym dopiero przed godziną przestała widzieć wroga? Co to za straszna historia z tym spaleniem na stosie? Gdzie był wówczas Alex? Tego roku nagle pojawił się, już jako lord Huntington. Lata jego nieobecności wciąż były owiane mgłą tajemnicy. Ona, Elsbeth, zapragnęła zgłębić tę tajemnicę i popełniła fatalny błąd.

Alex bez wątpienia kochał tę Francuzkę. Nazwał ją piękną i dzielną. Jak mogła nie uszanować czegoś, co zapewne stanowiło najważniejszą treść jego życia?

Wstała, zebrała z pnia resztki jedzenia i włożyła je do sakwy. Przypomniała sobie, że Alex jadł tyle co ptaszek. Być może skąpił sobie, żeby dla niej starczyło. Niczym już nie mógł jej zadziwić. Był zupełnie wyjątkowym człowiekiem. Stać go było na najwyższe dobro. Czułość nie odbierała mu siły, zgryzota nie czyniła go bezwolnym.

Czy kiedykolwiek będzie mógł ją pokochać? Czy też już zawsze będą go prześladować zmory dawnych przeżyć?

Zrobiło się ciemno, a on wciąż nie wracał. Od wzgórz powiało chłodem. Weszła do chaty i usiadła na stołku. Dręczył ją niepokój. W końcu stwierdziła, że

drży z zimna, i pomyślała o rozpaleniu ognia. Naniosła drewno i przez jakiś czas męczyła się z krzesiwem. Wreszcie skry posypały się, suche paprocie i liście zajęły się, płomyk przeskoczył na gałęzie. Pomyślała, że taki sam ogień strawił ciało Nadine. Odwróciła wzrok. Czy kiedykolwiek będzie mogła patrzeć na płomień bez lęku i grozy? Przeniosła się na barłóg i wsparła plecami o ścianę z bali. Wróć, Alex, proszę, wróć...

On tymczasem błąkał się po lesie, targany najsprzeczniejszymi uczuciami. Pragnął i pożądał Elsbeth, a równocześnie nie mógł do niej wrócić. Wiedział, że tylko ona może nadać sens jego życiu, a zarazem bał się odtrącenia i odmowy.

Odczuł dziwną ulgę, kiedy powiedział jej o Nadine. Jakby zburzył mur, który odgradzał go od świata. Z każdym słowem uwalniał się z poczucia winy i smutku. Do tej pory wtajemniczył w swą miłość i inne przeżycia jedynie Warwicka. Nawet Garrick o niczym jeszcze nie wiedział. Po prostu o tamtych bolesnych latach bardzo trudno było mu mówić. Gdyby nie John Knox, już zapewne by nie żył.

Co pomyśli o nim Elsbeth Ker, kiedy się dowie, że przeżył tyle lat przykuty do wioseł, napiętnowany i smagany batem? Wciąż jeszcze miał blizny na nadgarstkach i kostkach, a na plecach pręgi. Doprawdy, zdarzały się takie chwile, że zazdrościł Nadine jej losu.

Skazany na galery. Odebrał ten wyrok jako akt łaski. Prędko jednak poczuł na swym ciele i duszy skutki tej prawniczej sentencji. Zapomniał widoku nieba, cuchnął

niczym trędowaty, nie zaznał ani chwili spokojnego snu. Prześladował go swąd swego własnego ciała, na którym kat wypalił piętno złoczyńcy. Jedynym wsparciem była pamięć o Nadine.

Medyk Warwick usunął piętno wraz z kawałkiem skóry. Lecz pozostało ono w jego duszy i w jego umyśle. Podobnie jak oblicze Nadine.

Aż wreszcie wszystko się zmieniło. Tamtą twarz przesłaniała inna - dumna, piękna i bardzo zmysłowa. On zaś nie wiedział, czy jest już gotowy - czy jest gotowy na ryzyko tej miłości.

Oparł się o drzewo i zadał sobie pytanie, co go czeka - niebo czy jeszcze jedno piekło za życia.

Ciszę rozdarł jęk zawiasów. Elsbeth uniosła głowę. Alex wszedł do chaty i podszedł do paleniska. Ogień już przygasł, żarzyło się tylko kilka drewniek. Poruszył nimi i natychmiast zrobiło się jaśniej. Spojrzał w kierunku legowiska i ich oczy się spotkały. Uśmiechnął się i po chwili siedział już przy niej.

Bez słowa otworzył ramiona, ona zaś wsunęła się w nie, przepełniona cichą radością. Najważniejsze, że powrócił do niej. Już nie chciała poznawać jego tajemnic. Chciała tylko być z nim, patrzeć na jego twarz i jego prężne ciało. Przytuliła się do niego najmocniej jak mogła, pełna wdzięczności, że przyjmuje to jej milczące wyznanie.

Poszukała ustami jego ust i przywarła do nich. Chciała powiedzieć mu tym pocałunkiem, że już dłużej nie będzie sam.

Teraz byli we dwoje. Dwoje przeciwko całemu światu. Żadne nie pragnęło snu. Żadne nie pragnęło też przeobrażenia bliskości w fizyczne spełnienie. Oboje czuli i wiedzieli, że nie mogą uronić ani kropli z przepełniającej ich radości odnalezienia siebie.

- Kocham cię - wyszeptała.
- Kocham cię - powtórzył jak echo.

Jechali stępa na dwóch wychudłych szkapach, ale mieli przynajmniej pewność, że nikt ich nie ukradnie. Jego koń miał zapadły, przypominający kolebkę grzbiet i jazda na nim była samą przyjemnością. Koń Elsbeth utykał cokolwiek na prawą przednią nogę, ale szedł dzielnie.

Jadąc gościńcem, dołączali do kupców, żołnierzy i wieśniaków, wszystkich traktując życzliwie, a też od nich zbierając dowody sympatii. Zmierzali do Londynu. Była to długa i trudna podróż, lecz wszystkie niewygody wynagradzał sekretny uścisk dłoni, niewinna pieszczota bądź wypowiedziane szeptem czułe słowo.

Opuścili pas pogramicza przebrani za wieśniaków. W prowiant i pieniądze na drogę zaopatrzył ich Davey, który odprowadził ich do najbliższego miasteczka. Dalej szli piechotą, aż spotkali wdowę po wieśniaku, która miała do sprzedania dwa konie. Wymieniła ceną. Nie targowali się, choć dla pozorów krzywili i sarkali. Wszak sądząc po ubraniach, nie byli ludźmi majątnymi.

Nikt ich nie rozpoznał. Aleksa nie było w Anglii osiem lat, tak iż jego twarz nie mogła się utrwalić w pamięci okolicznych mieszkańców. Elsbeth przed wyru-

szeniem w podróż obcięła swoje pyszne włosy. Uczyła to bez żalu, niemal z entuzjazmem. Teraz najważniejszy w jej życiu był Alexander Carey i jemu złożyła w ofierze swe włosy. Pocieszała się też nadzieją na zakończenie rodowej waśni. Jedynie bowiem wówczas ona i Alex mieliby przed sobą jakąś przyszłość.

Żadne nie poruszało dotąd tego tematu. Jakby bali się wyzywać los, który, wiadomo, miesza ludzkie plany.

Garrick bez słowa sprzeciwu przyjął decyzję Aleksa o wyjeździe. W końcu nawet przyklasnął jej. John Carey pienił się i szalał. Każdego dnia mógł zwołać ludzi i kazać im przeczesywać okoliczne lasy.

Tak więc jechali przed siebie gościńcami i drogami Anglii, wciąż na południe, i był to dla Elsbeth czas cudownego wytchnienia, wspaniałej przygody. Spoglądała na mężczyznę, którego niegdyś nienawidziła, i jej serce biło radością i nadzieją. Alex bardzo się zmienił. Jego oczy patrzyły wesoło i zdarzało mu się śpiewać skoczne piosenki. Miała powody sądzić, że odstąpiły go wszelkie smutki i z ufnością spogląda w przyszłość. Świat piękniał, gdy on był wesoły.

Każdego wieczoru zmuszeni byli szukać jakiegoś dachu nad głową. Raz była to gospoda innym znów razem stodoła wieśniaka. Zasyпали przytuleni do siebie, najdalsi od myśli o fizycznej miłości. Alex jeszcze w chacie kłusownika zabronił przystępu do siebie żądzom i pokusom. Rzeczom daleko było do unormowania się, nie chciał ryzykować pozostawienia Elsbeth z dzieckiem.

Z każdą minutą kochała go coraz bardziej. Oczywiście, pragnęła wiedzieć o nim więcej, a przede wszy-

stkim, jak to się stało, że w najmniejszym stopniu nie przypominał pozostałych Careyów. Kochała w nim wszystko - połysk jego włosów, linię nosa, kształt dłoni. Zdolna byłaby pokochać nawet ów wyraz ironicznej arogancji, który tak często gościł niegdyś na jego obliczu, a teraz znikł, wydawałoby się, bezpowrotnie.

Tego wieczoru wyprosili nocleg na lichej farmie, płacąc gospodarzowi za chleb, ser i obrok dla koni. Noc mieli spędzić w stodole na sianie.

Posiliwszy się, Alex rzekł z uśmiechem:

- Jutro czeka nas lepszy wikt, obiecuję.
- Czy zbliżamy się do włości Northumberlanda?
- Wjedziemy na jego ziemie około południa.

Po ciele Elsbeth przebiegł lekki dreszcz. Tak wiele w jej życiu zależało od tego angielskiego księcia. Kto wie, być może cała przyszłość jej klanu. Najdziwniejsze było to, że o losie Kerów miał rozstrzygać Anglik, czyli osoba najmniej godna zaufania.

Alex i tym razem odgadł jej myśli.

- Warwick ma wielu wrogów - powiedział. - Kto pełni władzę, ten hoduje sobie przeciwników. Ale ja zaliczam się do jego przyjaciół. Mam wobec niego wielki dług wdzięczności. Przywrócił mnie do życia.

- Przywrócił cię do życia? - spytała z wyrazem zdumienia na twarzy.

Na czole Aleksa pojawiła się pionowa zmarszczka. Spoglądał przed siebie nie widzącym wzrokiem. Elsbeth wstrzymała oddech. Wszystko się teraz ważyło. Albo uchyli rąbka tajemnicy, albo też znowu odgrodzi się od niej murem skrytości.

- Skazano mnie we Francji na galery. Gdy Warwick dowiedział się o tym, użył swoich wpływów i wydobył mnie z tego piekła. Gdyby nie on, szeszłbym marnie.

Elsbeth nawet nie wiedziała, co to są galery. Wystarczyło jej jednak nazwanie ich piekłem. Dobry Boże, co ona najlepszego zrobiła! Porwała i wtrąciła do celi człowieka, który dopiero co został wyrwany z piekła. Chwyciła jego rękę i kurczowo ścisnęła.

- Jak długo byłeś na tych galerach?

- Prawie cztery lata. Gdyby nie Warwick... - powtórzył, ale nie dokończył.

- Powinieneś mnie nienawidzić. Za to, co ci zrobiłam.

Spojrzał na nią i jego wzrok złagodniał.

- Nienawidzić ciebie? Ciebie nie sposób nienawidzić. Ciebie można tylko kochać.

- A przecież tam, w wieży, starałam się być zimna i odpychająca.

- Nie spotkałem jeszcze istoty o bardziej czułym sercu. Dość prędko przejrzałem cię na wylot.

- To chyba dlatego, że peszyłeś mnie tym swoim aroganckim, ironicznym spojrzeniem. Nie zachowywałeś się jak zwyczajny więzień.

- Ty również postąpiłaś nietypowo, pakując się w to bagno.

Skrzywiła się na wspomnienie tamtej fatalnej przygody.

- Myślę, że żadne z nas nie było pokornym więźniem. Ale opowiedz mi o galerach. O ile, oczywiście, zechcesz.

- Nie ma o czym mówić, najmilsza. Nie kończące się dni, pusty żołądek i bolące ciało. - Nie wspomniał o licznych poniżeniach, biciu i łańcuchach, gdyż byłoby to zbyt upokarzające. - Skończyło się i nie chcę już do tego wracać.

Zamilkł, ona zaś znów została przed zasłoną. Galery to jedna sprawa, lecz była jeszcze Nadine. Jaką część sekretów Aleksa poznała do tej pory? Intuicja podpowiadała jej, że niewielką. Przecież nie było go w Anglii przez osiem lat, a to kawał czasu.

Uniosła głowę i złożyła na jego wargach najczulszy z pocałunków. Chciała w jakiś sposób oderwać jego myśli od przeszłości, a nawet od przyszłości. Pozostawała terażniejszość. Ta podróż była terażniejszością. Elsbeth panicznie bała się jutra. Nie niosło ze sobą żadnej nadziei. Przecież nie mogła żyć wiecznie z Alekssem w drodze i po gospodach. Żaden Szkot i żaden Anglik nie zaakceptuje mieszanego małżeństwa. Alex był earlem, ona zaś córką lairda, co stwarzało dodatkowe komplikacje. Dlatego kto wie, czy chwila obecna nie była snem. Rano obudzi się i zobaczy wokół siebie całkiem inny świat.

Poczuła, jak jego ciało tężeje i nabrzmiewa pożądaniem. Całował ją teraz z gwałtowną namiętnością. Zapewne i on kurczowo się chwycił dnia dzisiejszego. Byli wplątani w sieć niemożliwości.

Ujęła jego dłoń i wsunęła w rozcięcie koszuli, tak aby dotykała jej obnażonej piersi.

Jęknął.

- Dobry Boże, czy wiesz, czym to się może skończyć?

Elsbeth nie dbała o konsekwencje. Była kobieta, która kochała i pragnęła ukochanego.

- Kocham cię - wyszeptała.
- Kochasz Careya. - W jego głosie brzmiała gorycz.
- A na dokładkę Anglika - wymieniła kolejną przeszkodę.

- Twój klan nie zgodzi się na taki związek.

Chciała powiedzieć, że nic jej to nie obchodzi, ale skłamałaby. Od dziecka bowiem wbijano jej do głowy, że najwyższą wartością jest klan, a dopiero potem jednostka.

Dostrzegł jej wahanie. Uśmiechnął się ze smutkiem.

- Nie uciekniemy od tego. Ty masz swój klan, a ja moich poddanych.

Nagle całą duszą zapragnęła być wolna jak ptak.

- Nie wracajmy, osiadźmy w jakimś ustroniu - rzekła błagalnym głosem.

- A co z naszą odpowiedzialnością za przekazane nam dziedzictwo?

- Więc weźmy ślub...

- I mam zamieszkać w wieży Kerów? Poruszać się wśród ludzi, którzy mnie nienawidzą? Sama byś mnie w końcu znienawidziła.

- Nigdy - zaprzeczyła żarliwie.

- Wierzę ci, najdroższa, tyle że ja nie wyprę się samego siebie. Nie zrezygnuję z praw i obowiązków powiązanych z tytułem lorda Huntington. Od tego, co zrobię, zależy los wielu rodzin.

- Uważasz, że liczą na twoją opiekę?

- Bynajmniej. Moi poddani na nic nie liczą, gdyż

żaden Carey nie dał im do tej pory nadziei na polepszenie bytu.

- Czy nie wystarczę ci ja? - spytała i zaraz chciała cofnąć to swoje niemądre pytanie.

- Nie żyjemy na pustyni, umiłowana. Gdy pędziłem żywot niewolnika, modliłem się o dodatkową kromkę chleba, która pozwoliłaby mi przetrwać kolejny dzień. Chciałem przeżyć, choć nie miałem przed sobą żadnej przyszłości. Coś mnie podtrzymywało na duchu, coś przymuszało do walki o zachowanie życia i zdrowia. Nie wiedziałem, co to takiego, aż wróciłem do Anglii. Tu dotarła do mnie wiadomość, że odziedziczyłem tytuł lorda Huntington. Pierwszą moją myślą było, że będę mógł wreszcie spełnić swe chłopięce marzenia. Nie mogę teraz zrezygnować. Byłoby w tym coś niegodnego i tchórzliwego.

Elsbeth poruszyła do głębi siła jego słów. Objęła go konwulsyjnie, jakby już w tej chwili miała go utracić.

Spytał łagodnie:

- Czy gdy to się skończy, znajdziesz w sobie dość siły, by opuścić swój klan?

Pytanie to wielokrotnie już zadawała sobie samej.

- Nie wiem.

Pogładził ją po policzku.

- Jesteś taka piękna, Elsbeth.

- A ty taki miły.

Wybuchnął śmiechem.

- Różnie mnie nazywano, ale nigdy miłym chłopcem.

Chciała mu zawtórować, ale było jej ciężko na duszy.

Byli tak blisko siebie, a równocześnie dzieliła ich przepaść. Wszystko, co mogła teraz zrobić, to tylko jeszcze mocniej przytulić się do niego.

Jak mogła się tego spodziewać, widziana ze wzgórza posiadłość Johna Dudleya, earla Warwick i księcia Northumberland, sprawiała imponujące wrażenie. Majestatyczny zamek wydawał się rezydencją królewską i na dziedzińcu tego zamku ona, najędzniejsza z żebraczek, za chwilę miała wjechać.

O ile Elsbeth wobec władzy i potęgi poczuła własną małość, o tyle Alex rozpoznał się, wyprostował i pomimo łańców, w jakie był odziany, przybrał postawę, wielkiego pana, jakim przecież był. Wjechali na gospodarskie podwórze i zbliżyli się do stajni. Wybiegł na ich spotkanie chłopak stajenny i spojrzawszy na Aleksa wyszczerzył zęby. Mina mu zrzędniała dopiero na widok jego konia.

- A co z Demonem, milordzie? - zapytał.

- Jest pod dobrą opieką, Richie - odpowiedział Alex, dalsze słowa kierując ku Elsbeth: - Richie pomagał mi ujeżdżać Demona. Lepszego znawcy koni szukać by ze świecą.

Richie mile połechtany, przestąpił z nogi na nogę.

- Zrobisz coś dla mnie, Richie? - spytał stajennego Alex.

- Wszystko, milordzie.

- Nie rozpowiadaj o moim przyjeździe.

- Nawet gdyby... - Błysk w oczach grooma nie spodobał się Elsbeth.

- Żadnego „gdyby”. Nikomu - rzekł Alex z figlarnym uśmiechem.

Elsbeth poczuła cieni w sercu. Czyżby oni mówili o jakiejś kobiecie? Boże, wciąż ocierała się o zagadki.

- Zastaliśmy księcia?

- Jest chwilowo na dworze, ale niebawem wróci.

Alex uśmiechnął się.

- Jak sądzisz, Smithwyck wpuści mnie w tym ubraniu?

Richie spojrzał z powątpiewaniem na wieśniaczy przydzwiek lorda Huntington.

- O ile najpierw nie padnie zemdlony.

- Zobaczymy. Dopilnuj, żeby nasze szkapy zostały uczciwie nakarmione.

Richie skrzywił się, wyobrażając sobie te nędzne stworzenia w towarzystwie pełnej krwi rumaków księcia, ale kiwnął głową.

Alex wziął Elsbeth pod ramię i powiódł w stronę zamku. Po chwili wyczuł jej narastający opór.

- Warwick gryzie tylko katolików - próbował dodać jej odwagi.

- Skąd wiesz, że nie jestem katoliczką?

Mieszkający w przygranicznym pasie Szkoci byli w przeważającej mierze protestantami.

- A jesteś?

- Czy to nie wszystko jedno?

- Uważam, że każdy człowiek ma prawo do swojej własnej religii.

Elsbeth nie zetknęła się dotąd z taką postawą. W Anglii i w Szkocji paleni byli na stosach za swoją wiarę

zarówno protestanci, jak i katolicy. Przypomniała sobie, co Alex powiedział o tajemniczej Nadine. Spłonęła na stosie. We Francji. Oznaczało to, że musiała być protestantką. A stała się męczennicą.

Zagryzła usta. Jak w ogóle mogła rywalizować z kimś takim? Kim była wobec osoby, która nie zawahała się oddać życia za swoją wiarę? Kiedy jednak znalazła w sobie dość odwagi, by spojrzeć na Aleksa, ten miał wzrok wbity w jeźdźca zbliżającego się od strony wrót.

Od razu domyśliła się, że to Northumberland. Bogato ubrany, siedzący na skarogniadym rumaku z plecioną grzywą i ogonem, miał w sobie ową wyniosłość właściwą ludziom przywykłym do wydawania rozkazów. Kiedy podjechał bliżej, uderzył ją chłód bijący z jego oblicza. Obrzucił ich przenikliwym wzrokiem, lecz nagle jego twarz złagodniała, a na wargach pojawił się uśmiech.

- Huntington? Co, u czorta, ma oznaczać to przebranie? - Przeniósł zaciekawiony wzrok na Elsbeth.

- Lady Elsbeth Ker - przedstawił ją Alex.

Na twarzy księcia odmalowało się zaskoczenie.

- Ker, powiadasz? Czy z tych szkockich Kerów?

- Tak, książę.

- A oprócz tej damy co jeszcze przywiozłeś ze sobą, drogi Aleksie?

- Pewien problem. Zawsze pojawiaam się z jakimś problemem.

Northumberland pozwolił sobie na jeszcze jeden uśmiech.

- Chyba masz rację. Ale zanim mnie z nim zapoznasz, proponuję kąpiel i bardziej stosowne szaty.

- O niczym innym nie marzymy od wielu dni. Upraszam tylko, żeby nikt nie dowiedział się o naszym tu pobycie.

- Richie?

- Będzie milczał.

- W takim razie umieszczę was w pałacyku myśliwskim. Służbie można zaufać.

- Księżę jak zawsze łaskaw.

Warwick machnął tylko ręką.

- Niech Richie da wam dwa porządne konie. Odwiedzę was jutro przed południem. Dziś wieczór mam ważne spotkanie.

Alex kiwnął głową, Elsbeth zaś pomyślała, że tych dwóch mężczyzn rozumie się właściwie bez słów.

A zatem znów dosiedli koni, bez porównania przyzwoitszych od poprzednich, i Alex, który znał drogę, puścił swojego kłusem. W pałacyku myśliwskim Warwick spędził wiele tygodni. Tam powracał do zdrowia i nabierał sił. Po czterech latach na galerze czuł się jak w raju.

Odwrócił się teraz w siodle i spojrzał na Elsbeth. Był udręczony pożądaniem. Trzymał siebie w karchach już od tak dawna, że był jak granat na chwilę przed wybuchem. Pałacyk księcia był wymarzonym miejscem na miłość.

Już nie pamiętał, kiedy po raz ostatni się kochał. Nadine była dziewczicą i pozostała nią do końca. Nigdy nie myślał o uwiedzeniu jej. Nie działała na jego zmysły.

Opanowała jedynie jego duszę. Zawsze widział ją w aureoli świętości, nietykalną, zasługującą na cześć i uwielbienie. Zwykła, ludzka miłość zdawała się do niej w ogóle nie pasować.

Natomiast Elsbeth była całkowicie i do końca kobietą, świadomą swego ciała i jego namiętności. Nigdy nie zadowoliliby się czystą miłością. Pragnęła pełni, a tę mogła osiągnąć, oddając się ukochanemu mężczyźnie.

I nagle Alex doznał czegoś w rodzaju olśnienia. Choć bez wątpienia kochał Nadine, nie było to uczucie nawet zbliżone do tej pasji, którą zrodziła w nim piękna Szkotka.

Ściągnął wodze i zatrzymał konia. Zrównała się z nim i też stanęła. Nachylił się ku niej i pocałował ją w same usta z taką namiętnością, że poczuła zawrót głowy. Miał teraz w sobie coś z żołnierza-zdobywcy, żołnierza-triumfatora i Elsbeth pojęła, że w końcu uwolnił się z owych tajemniczych więzów, które dotychczas krępowały mu duszę.

Dotarli do ukrytego wśród drzew pałacyku późnym popołudniem. Elsbeth olśniło jego piękno. Cegła, kamień i drewno tworzyły budowlę tyleż lekką, co obszerną, i tyleż wdzięczną, co solidną.

Natychmiast zaopiekowano się końmi, a w drzwiach powitał ich wysoki i chudy majordomus.

- Widzę, że lord lubi nas odwiedzać - rzekł, zginając się w głębokim ukłonie i jakby nie zauważając wieśniaczego przydzwiewku Aleksa.

- Witaj, Stanson - rzekł Alex z ujmującym uśmiechem, którym z taką łatwością zjednywał sobie ludzi.

- Tym razem przybyłem w towarzystwie lady Elsbeth Ker. Myślę, że przydałaby się nam kąpiel. Potem nie od rzeczy byłoby się przebrać w coś przyzwoitszego.

Majordomus ponownie się skłonił.

- Wszystkie te życzenia zostaną spełnione. Proponuję lordowi jego dawny pokój. Jeśli zaś chodzi o towarzyszącą mu damę...

- Jestem pewien, że twój wybór będzie równie trafny.

Stanson wysłuchał tych słów, nie okazując ani cienia niezdrowej ciekawości, traktując rzeczy jako oczywiste. Wezwał pokojówkę, która ku wielkiej uldze Aleksa przypominała wprawdzie Mary, gdyż wszystkie młode i uśmiechnięte kozy są w jakimś sensie podobne do siebie, nie była nią jednak.

- Zaprowadź milady do błękitnego pokoju i pomóż się jej rozgościć.

Dziewczyna wykonała przepisowy dyg i poprowadziła Elsbeth schodami na górę. Alex nie zwlekając ruszył za nią. Na korytarzu okazało się, że ich pokoje są blisko siebie, jakkolwiek nie sąsiadują. Pożegnali się spojrzeniami.

Zamknawszy za sobą drzwi, Alex podszedł do lustra. Spojrzał na swoją twarz, odkrywając na policzkach i brodzie tygodniowy zarost. Poza tym czuł się potwornie brudny. Broda w połączeniu z brudem niezmiennie kojarzyła mu się z galerami. Chciał jak najszybciej doświadczyć odradzającego poczucia czystości.

Spojrzał przez okno na rozciągające się wokół lasy. Podczas poprzedniego trzymiesięcznego pobytu tutaj

wielokrotnie stał w tym miejscu, próbując znaleźć jakiś sens w tym, co mu się w życiu przytrafiło. W pałacyku odradzał się zarówno fizycznie, jak i duchowo. Wiele, jeśli nie wręcz wszystko, zawdzięczał Northumberlandowi, wielkodusznemu dla przyjaciół, bezlitosnemu dla wrogów.

Nawet nie wiedział, kiedy stali się przyjaciółmi. Zawarli znajomość w królewskich przedpokojach, już pierwszego dnia odkrywając wzajem u siebie podobną pasję do koni. Warwick rzucił raz w rozmowie, że ma konia, którego nie sposób poskromić, i Alex przyjął wyzwanie. Spędził tydzień w podlondyńskiej posiadłości Warwicka, za dnia mocując się z upartym zwierzęciem, wieczory zaś spędzając na rozmowach z gospodarzem przy suto zastawionym stole. Wtedy właśnie Warwick, który nie był jeszcze wszechmocnym lordem protektorem, stał mu się bliski. Być może odnalazł w nim zastępczego ojca, być może zafascynowało go w Dudleyu coś innego. Tak czy inaczej, był to człowiek opanowany wielką żądzą władzy, a ponieważ jemu, Aleksowi, obce były tego rodzaju pragnienia i ambicje, Warwick czuł się z nim swobodnie i z miejsca obdarzył go pełnym zaufaniem.

Pewnego dnia na zamku pojawiła się Nadine wraz z ojcem. Dudley był wrogo nastawiony do Kościoła katolickiego i chętnie udzielał wszelkiego możliwego wsparcia protestantom, szczególnie tym, którzy cierpieli prześladowania znienawidzonych przez niego katolików. Alex nie podzielał jego nienawiści, ale ochoczo zaangażował się w sprawę protestancką. Pociągała go

wizja przygody i chęć zrobienia czegoś godnego. Wtedy to jego przyjaźń z Warwickiem została już na zawsze utrwalona.

Potem były te lata we Francji i na galerach. Kiedy wrócił do Anglii, Warwick był już najpotężniejszym człowiekiem w państwie i że to jemu zawdzięczał swoją wolność. To Warwick postawił w negocjacjach z Francuzami o Boulogne warunek zwrócenia mu wolności, to Warwick wysłał po niego jeden ze swoich okrętów, to Warwick wreszcie zadbał o jego zdrowie jak rodzony ojciec. Pomyślał nawet o Demonie, odnalazł go i namówił Aleksa, aby ten znów popróbował swych sił. I faktycznie, ponowna wałka z Demonym wyrwała go ze stanu apatii. Tak, Alex wiele zawdzięczał Warwickowi.

Nigdy nie myślał o swoim przyjacielu jako o księciu Northumberland i nigdy nie zazdrościł mu władzy. Władza rzadko kiedy przynosiła szczęście, a zdarzało się często, że skracała życie.

W kącie pokoju za parawanem stała majolikowa wanna i służba zaczęła już kubłami znosić gorącą wodę. Gdy wreszcie ostatni kubeł został opróżniony i Alex został sam, zrzucił szybko ubranie i zanurzył się w wodzie po brodę. Kilkanaście kroków dalej w podobnej wannie pluskała się Elsbeth. Ponętna, szlachetna, kochana Elsbeth.

Jego Elsbeth.

Elsbeth siedziała w wannie ponad godzinę. Dopiero po tym czasie poczuła się naprawdę czysta. Włosy umy-

ła z pomocą Sylvie, owej pokojowej, która okazała się całkiem zręczna i miła. Mokre włosy trzeba wysuszyć i uczesać. Sylvie zajęła się tym ochoczo.

- Masz, pani, taki piękny kolor włosów - zaświergoliło dziewczę, taktownie przemilczając ich długość, a właściwie niezwykłą krótkość.

Elsbeth z żalem wspomniała swoje sploty, lecz zaraz odzyskała humor. Obcięcie włosów było koniecznością. Gdyby tego nie zrobiła, prawdopodobnie nie byłoby jej tu teraz.

W końcu Sylvie odłożyła grzebień i szczotkę i podała Elsbeth lusterko. Ogromne zaskoczenie! To, co było do tej pory prostą fryzurą pazia, teraz pieniało się i wzdymało lokami, nie mówiąc już o kunsztownych zawijasach.

Z sukni, które leżały na łóżku obok nocnej koszuli i płaszcza bez rękawów, Elsbeth wybrała ciemnozieloną. Pomyślała, że będzie jej w niej do twarzy. Nigdy jeszcze nie miała na sobie nic równie pięknego i kosztownego.

Sylvie, która pomogła jej pozapinać liczne haftki, aż klasnęła w ręce z zachwytem.

- Wyglądasz jak anioł, pani! - wykrzyknęła niczym mała dziewczynka na widok tęczy na niebie.

I Elsbeth faktycznie czuła się piękna. Czekająca ją wieczera z Aleksem i na myśl o tym czuła niezwykle podniecenie. Do tego dołączał się strach przed tą pierwszą chwilą, gdy będzie mogła wyczytać ze spojrzenia Aleksa akceptację bądź surową krytykę. Pomyślała o umęczonej Nadine, mając przynajmniej tę nadzieję, że jeśli

nawet nie dorównuje zmarłej urodą, to przecież jakieś zalety kochające spojrzenie w niej odkryje.

Zbliżyła się do okna. Lasy opasujące myśliwski pałac księcia Northumberland przywiodły jej na myśl bór, który widać było z okna wieży Kerów. Ale nie było tu wzgórz, które tak kochała. Ogarnęła ją nostalgia za domem i wszystkimi bliskimi - Patrickiem, łanem, Hugh i innymi. A może źle zrobiła, przyjeżdżając tutaj? Może powinna przyjąć propozycję Aleksa i wrócić do domu, do swojego klanu?

Ktoś zapukał do drzwi. Odwróciła się z biciem serca.



- Elsbeth - dał się słyszeć niski i niepewny głos Aleksa.

Pośpieszyła ku drzwiom. Stał w nich w całej męskiej wspaniałości.

Od kiedy spotkali się po raz pierwszy w lesie nad brzegiem jeziora, objawiał się jej pod różnymi postaciami, lecz nigdy w ten sposób.

Biła od niego woń mydła i różanej wody. Mokre włosy, jako że jeszcze nie zdążyły wyschnąć, zwijały się w lśniące pierścienie blisko skroni i nad szerokim czołem. Gładko wygolony, teraz dopiero w pełni ujawniał harmonijność swych rysów - prosty nos Rzymianina, spadziste płaszczyzny policzków, podbródek z cienistym dołkiem i pięknie wykrojone usta.

Strój swoją barwą harmonizował z głęboką szarością jego oczu. Wcięty w pasie, a niżej rozkloszowany kubrak z ciemnoniebieskiego adamaszku, błękitna koszula z koronkowym kołnierzem oraz srebrnobłękitne pończochy składały się na całość równocześnie skromną i wykwinną, domową i reprezentacyjną. Sztylet u pasa o rękojeści inkrustowanej macią perłową i wysadżanej drogimi kamieniami symbolizował moc tego, który go nosił.

Tak więc patrzyli na siebie i żadne nie ukrywało po-
dziwu.

Rzekł wreszcie z nutą uwielbienia w głosie:

- Jesteś tak piękna, że aż oczy bołą.

Zarumieniła się i uśmiechnęła zalotnie.

- Nie pieściłeś uszu chłopca, który jechał z tobą, te-
go rodzaju pochwałami.

- Co skąpiłem chłopcu, nie szczędzę niewieście -
rzekł z dworską galanterią, lecz bez maniery dworaka.

- Czeką nas wieczerza, ja wszakże już zaspokoilem
głód piękna.

Zrobiło się jej wesoło na duszy.

- Zatem ja będę jadła, a ty będziesz patrzył na
mnie... jedzącą.

- Czyżbyś chciała powiedzieć, że nie dostrzegasz
we mnie niczego godnego uwagi? - spytał z udanym
smutkiem.

- Pięknem można nasycić duszę, ale nie żołądek.

- O ile wiem, anioły nie mają żołądków, ale skoro
się upierasz - tu podał jej ramię - przejdźmy do jadalni.

I tak przerzucali się żartobliwymi słówkami, olśnieni
sobą i uwzniośleni szczęściem, że wreszcie odnaleźli
siebie pod prawdziwymi postaciami.

Stół zastawiono tylko dla nich. Widniały na nim na
srebrnych półmiskach kraby i ostrygi, przepiórcze jaja
i orzechy w miodzie, różowe płaty mięs i białe ryb
morskich, owoce i bakalie. W kryształowych flaszach
mieniły się różnymi barwami likwory i wina. Zaiste,
pomyłono ich tu z bogami i jak bogów goszczono.

Wina wprędce okazały zdradziecką moc. Przy trze-

cim kielichu, gdy byli już po wetach, spłynęła na Elsbeth czarowna chmura szczęśliwości. Nigdy jeszcze nie była w takim nastroju. Na czymkolwiek spoczęły jej oczy, wydawało się to jej cenne i piękne, wzruszające i niezwykle. Z przemijających chwil sączyła się słodycz. Słowa Aleksa brzmiały jak muzyka.

Dlatego nawet nie zdumiała się, kiedy wstał i podszedłszy do niej, wziął ją na ręce. Mieściło się to w logice wydarzeń, było wręcz konieczne. Wonie, dźwięki, smaki i obrazy, ogień płonący na kominku - wszystko to dostrajało duszę do pobudzonych zmysłów. Skłoniła głowę na pierś Aleksa i pozwoliła zanieść się do pokoju. Jego pokoju.

Przekroczywszy próg, znaleźli się jakby poza czasem. On pozostawił za sobą lata cierpień i samotności, ona lata oczekiwania na miłość. Jego cierpienia miały być nagrodzone, jej oczekiwania - spełnione.

Rozebrał ją i położył na miękkim jak puch materacu. Potem rozebrał sam siebie. Pochylił się nad nagą i piękną i dotknął otwartą dłońią jej brzucha. Poczł ciepłto nagrzaney słońcem sadzawki, ciepłto owczego rana, ciepłto wyjętego z pieca chleba. Będzie pił z tej sadzawki i pożywiał się tym chlebem. Targnęła nim straszliwa żądza, złagodzona zaraz pewnością, że ją zaspokoi. Ta piękna oddawała mu swoje ciało, bo miłowała go. Wspanialszego daru nie potrafił sobie wyobrazić".

Opadł i zanurzył twarz w jej mlecznych piersiach. Byłto jego dziękczynienie. Przyjęła je ze wzruszającą prostotą dziewicy - pogładziła go po włosach. Była zresztą zdumiona swoim zachowaniem. Przede wszystkim

ani trochę się nie wstydziła. Kiedy przed chwilą spoglądał na jej łono, czuła wyłącznie przyjemność, jak ktoś, kto po długiej zimie grzeje się na słońcu. A gdy teraz pieścił ustami jej piersi, do przyjemności dołączyło się rozczulenie. Przypominał dziecko, które szuka sutek spragnionymi wargami.

Nagle jednak ogarnęła ich pasja, złączyli się w żarłocznym pocałunku. To dopiero był głód! Pożerali i wchłaniali siebie całą powierzchnią ciała. Uda ocierały się o uda, brzuch stapał się z brzuchem, ślina mieszała ze śliną. Odrywali się od siebie, by już za sekundę znów się odnaleźć. Alex pieścił i całował całe ciało Elsbeth, a ona płonęła. Rozdygotana, spragniona, chciała więcej i więcej, choć przecież nie poznała do tej pory potęgi namiętności. Podążyła ku górze, ku słońcu, które na moment ją oślepiło.

- Kochany, zostań tak - szepnęła na granicy rozpacz.

Ale on ani myślał wysłuchiwać jej prośby. Tylko przez chwilę, drżąc, trwał w bezruchu. Potem dał się ponieść pasji. Zmienił się w burzę nad doliną jej brzucha i wzgórkami piersi. Oszałamiał ją i zachwycał. Zachwyty zwyciężył i dała się porwać rytmowi. Zalała ją fala rozkosznego gorąca.

- Elsbeth! - jęknął i zrosił ją swym deszczem.

Osunął się i legł przy niej na pościeli.

Jej wróg.

Jej niewolnik.

Jej zbawca.

Jej kochanek.

Elsbeth otworzyła oczy i zobaczyła przesączający się przez firanki dzień. Jak szkoda, pomyślała, i przytuliła się mocniej do leżącego obok Aleksa.

Drgnął i objął ją zaborczym ramieniem. Przez chwilę leżeli nieruchomo, rozkoszując się własną nagością i tym ciepłem, którym pulsowały ich ciała.

Nagle Alex poderwał głowę z poduszki.

- Książę to ranny ptaszek - powiedział z nutką żalu.
- Możemy oczekiwać go w każdej chwili.

Owładnął nią jakiś nieokreślony lęk. Wyobraziła sobie, że jeśli teraz Alex odejdzie, to już nigdy nie wróci. A jeśli nawet wróci, to już nie będzie tym, którego poznała wczorajszego wieczoru i minionej nocy.

Po raz kolejny odgadł jej myśli.

- Kocham cię, Elsbeth, i nigdy cię nie opuszczę. Chcesz zostać żoną straszliwego Careya?

- Niezwykłego Careya - sprostowała z uśmiechem tak czarownym, że sam diabeł dla niego zgodziłby się nauczyć pacierza.

- Na czele Kerów też stoi niezwykła niewiasta - odwdzieczył się.

- Czyli zanosisz się na to, że i stadło, które stworzymy, będzie niezwykłe.

- I w tym rzecz - rzekł, przestając się uśmiechać. - Niełatwo przyjdzie innym zgodzić się na nasz związek.

- Też tak myślę - rzekła pełna tych samych obaw.
- Ale mój klan...

- Będziesz musiała opuścić Kerów - powiedział łagodnym, ale zdecydowanym głosem.

Szeroko otworzyła oczy. Zastłona rozdarła się. Coś

ugodziło ją w serce. Jak to? Miała porzucić swój klan? Odwrócić się plecami do tych, którzy pokładali w niej wszystkie nadzieje? Nigdy! Przenigdy! Przecież nie skarże siebie na wieczne potępienie. Tego rodzaju odstępstwa nie uchodzą wszak płazem. Powołanie człowieka polega przede wszystkim na wypełnianiu obowiązków.

- Alex, kocham cię nad życie, ale...

Nie pozwolił jej dokończyć. Wiedział, co chce mu powiedzieć. Słowa nie wydawały się konieczne. Przepaści nie można zasypać słowami. Usiadł na łóżku i rzekł:

- Pozwól, że pomogę ci się ubrać.

Pozwoliła. Sama zresztą nie dałaby sobie rady. Była tak roztrzęsiona, że nie zapięłaby ani jednej haftki. Miała wybierać pomiędzy Alekssem a klanem. Tylko ludzie przekleci stają przed takimi wyborami.

A on jeszcze, okrutny, rzekł:

- Mam nadzieję, że nikt nie zobaczy cię wychodzącej z mojej sypialni.

Zaczerwieniła się i odwróciła, żeby odejść, gdy rozległo się głośne pukanie, drzwi otworzyły się i dostojnym krokiem wszedł książę Northumberland. Na widok poruszonej Elsbeth, z włosami w nieładzie, zatrzymał się, a na jego twarzy odbiło się zaskoczenie.

- Proszę wybaczyć, ale sądziłem, że Alex jest sam - rzekł, kłaniając się na sposób dworski.

Świadoma tego, że jej twarz przypomina w tej chwili rozgrzaną do czerwoności patelnię, Elsbeth gorączkowo szukała w myślach jakiegoś wyjaśnienia swojej obe-

ności w sypialni mężczyzny. Na próżno. Miała zupełny mętlik w głowie.

Nagle owładnęła nią duma. Przecież nie musi się tłumaczyć temu Anglikowi. Głęboko odetchnęła i spojrzała nań z zaciekawieniem podobnym temu, z jakim oh ją obserwował.

- Czy mogę, książę? - Wymownie rzuciła okiem ku drzwiom.

- Oczywiście, lady Ker. Mam nadzieję, że dobrze zapamiętałem nazwisko.

Z chęcią wymierzyłaby mu policzek. Choć właściwie zasłużył na przebicie sztyletem.

Alex w porę dostrzegł niebezpieczny błysk w jej oczach.

- Lady Ker weszła właśnie zapytać, kiedy będzie mogła zostać odesłana do domu.

- Do domu? - powtórzył Warwick, nie kryjąc zdumienia.

- Wczoraj nie było czasu na wyjaśnienia. Lady Ker jest moim... więźniem. Moją zakładniczką.

Na zakładniczkę ta dama z pewnością nie wygląda, pomyślał książę Northumberland, ale widząc niemałą prośbę w oczach Aleksa, kiwnięciem głowy pozwolił Elsbeth odejść. Problem, z którym przyjechał do niego Alex, musiał być, doprawdy, bardzo nietypowy.

Elsbeth opuściła pokój z dumnie uniesioną głową. Gdyby nie nieład w jej włosach, można byłoby wziąć ją za obrażoną na poddanych królową.

- Piękna jest ta twoja lady Ker - zauważył Northumberland, kiedy drzwi zamknęły się za nią. - Wczo-

raj jej uroda umknęła mojej uwagi. Więc co z tą twoją zakładniczką, drogi Aleksie?

- Z chęcią odetchnąłbym świeżym powietrzem, książę - rzekł Alex, próbując zebrać myśli. - Zdaję sobie sprawę, że książę dopiero co zsiadł z konia...

- Przecież wiesz, przyjacielu, jak lubię jeździć konno. Alex uśmiechem podziękował za ten dowód przyjaźni. Po kwadransie byli już w siodłach i jechali drogą przez las. Pierwszy odezwał się książę:

- Powracam do twojej zakładniczki. Wiesz, oczywiście, jak zależy nam na spokoju na granicy.

- Spokojna granica jest również moim najgłębszym pragnieniem, książę.

- W takim razie...

- Jeszcze dwa tygodnie temu byłem jej więźniem.

Northumberland aż mlasnął językiem. Kąciki jego ust uniosły się do góry.

- Strachliwą Szkotką to ona na pewno nie jest.

Alex również próbował się uśmiechnąć, ale rozmowa z Elsbeth bodaj na długo pozbawiła go tej zdolności.

- Więcej w niej odwagi niż w niejednym mężczyźnie.

- Wobec tego zacznijmy wszystko od początku - rzekł książę, wyraźnie rozbawiony.

- Otóż zwykłem o świcie kąpać się w leśnym jeziorze w pobliżu mojej twierdzy. Zwiedzieli się o tym Kerowie, urządzili zasadzkę i porwali mnie. Nikt poza moim młodszym bratem nie był wtajemniczony w te moje poranne wycieczki. Trzymano mnie dla okupu. Ten jednak nie został wypłacony.

Northumberland spoważniał.

- Domyślałem się, że twój powrót musiał być dla Johna strasliwym ciosem, nie sądziłem jednak, że posunie się aż do czegoś takiego. Jakie w związku z tym są twoje plany?

- Nie mam przeciwko niemu żadnego dowodu, on zaś ma przyjaciół wśród pogranicznych angielskich baronów. Z łatwością całą winę może zrzucić na Kerów i zwołać przeciwko nim wyprawę.

Northumberland patrzył z mieszaniną zdumienia i podziwu na mężczyznę, którego traktował niemalże jak syna.

- Jak się wydostałeś z więzienia? I to w dodatku z zakładniczką.

- John nie mógłby uknuć całej tej intrygi, gdyby nie było zdrajcy w klanie Kerów. Ten prawdopodobnie ma swoje własne powody, żeby granica stała w ogniu. Otóż lady Ker chce zdemaskować zdrajcę.

- Zatem połączyliście siły. - Księżę pozwolił sobie na uśmiech. - Tylko ty mogłeś wpaść na taki pomysł. Jak skłoniłeś tę damę do współdziałania?

- Z początku traktowała mnie wrogo i nieufnie. Ale to się zmieniło, gdy zostałem ranny podczas próby ucieczki. Zapewne zdała sobie sprawę, iż moja śmierć może sprowadzić na jej klan pasmo nieszczęść. Zależało jej tylko na okupie, kiedy jednak mój brat uparcie milczał, Kerowie zaczęli domagać się mojej głowy.

- Wspomniałeś, że zostałeś ranny. W jakich okolicznościach?

- Przyjąłem wyzwanie, stanąłem do pojedynku

i otrzymałem cios w ramię. Rana, w rzeczy samej niegroźna, zaczęła się jednak paskudzić.

- Nigdy nie masz dość przygód, Aleksie - rzekł książę z pewną zazdrością, jakby sam również chciał w nich uczestniczyć.

- Prawdę mówiąc, jestem już nimi cokolwiek zmęczony, ale los igra ze mną i nie chce popuścić.

- A ta szkocka piękność? Powiedziałaś, że jest twoją zakładniczką. Czy została nią z własnej woli?

Alex decydując się na tę rozmowę, postanowił być szczerzy do końca.

- Nie. Pomogła mi w ucieczce, lecz sama chciała zostać. Musiałem więc uciec się do drastycznych środków. Uderzeniem pozbawiłem ją przytomności.

Northumberland uniósł brwi. Coś tu się nie zgadzało. Nie znał człowieka bardziej wrażliwego na punkcie honoru od Aleksa. Człowiek honoru nie postępuje w ten sposób z kobietą. Musiał mieć naprawdę ważne powody, że zdecydował się postąpić wbrew sobie. Kto wie, czy nie popchnęła go do tego uroda tej młodej damy.

- I co teraz?

- Teraz potrzebuję jej pomocy, by zdemaskować obu zdrajców i zakończyć ich grę.

- To wszystko?

- Nie kryję, książę, że zależy mi na lady Ker, ale ona nie może zapomnieć o wrogości i nienawiści, jakie od wieków dzielą nasze rodziny.

- A jaką rolę w tym wszystkim przeznaczyłeś dla mnie?

- Przede wszystkim pragnąłem o wszystkim powia-

domić. Już zatem wiesz, książę, że głównym intrygantem jest mój brat. Jeżeli coś mi się stanie, nie chcę, by ostrze odwetu ugodziło w Kerów.

Northumberland aż sapnął z oburzenia.

- Porwali cię, a wszak zaliczasz się do najpierwszych w naszym królestwie.

- To była najzwyczajsza prowokacja. Poza tym mój ojciec wraz z braćmi zabili jej ojca, urządziwszy nań podstępna i niegodną zasadzkę.

Northumberland zeszywniał. Prawość Aleksa była czasem aż irytująca.

- Ośmielam się prosić, żeby przeciwko Kerom nie podejmowano żadnej wojskowej akcji.

- Dobrze, ale tylko w tej sprawie - zgodził się książę. - Ostatecznie nie wiemy, co Kerowie zrobią, powiedzmy, za rok.

- Chciałem także, by książę był świadom zdrady mego brata. To na wypadek, gdyby mój plan się nie powiódł.

- Jaki plan?

- Zamierzam zmusić Kera, który intryguje z moim bratem, do podjęcia pewnych działań. Chodzi o to, by zdemaskować zdrajców publicznie. Niech obie rodziny zobaczą na własne oczy, jak były niecznie oszukiwane i wykorzystywane. Wtedy otworzą się widoki na zawarcie trwałego pokoju.

Northumberland głęboko westchnął.

- Ambitny plan, ale ryzykowny.

Młody lord wzruszył ramionami.

- Innej drogi nie widzę.

- A ta piękna Szkotka, o której w istocie tak mało mi powiedziałaś? - sondował Northumberland.

Oczy Aleksa stały się w jednej chwili ciemne jak gradowe chmury.

- Wybrała wierność swojemu klanowi.

- A jednak na razie wspiera cię. Nie miałbym nic przeciwko małżeństwu utrwalającemu pokój na granicy.

- Obawiam się, że nie uzyskam jej zgody.

- Hmm - mruknął Northumberland i, owładnięci jedną myślą, jeźdźcy puścili się cwałem.



Obiad, który zjedli w południe, okazał się jeszcze bardziej wymyślny niż wczorajsza wieczerza.

Elsbeth patrzyła obojętnie na kunsztownie ułożone i przybrane dania. Aleksa starała się omijać spojrzeniem, bojąc się, że coś się w niej załamie. Natomiast ksiączę po prostu nie zdobył jej sympatii.

Zachowywał się miło i uprzejmie, lecz wyczuwała w nim wewnętrzny chłód. Jego oczy nabierały cieplejszego blasku tylko wówczas, gdy spoglądał na Aleksa.

Ten swój pełen nieufności dystans próbowała wytłumaczyć sobie tym, że od dziecka uczono ją nie wierzyć Anglikom. Alex serdecznie traktował tego człowieka, a nie czyniłby tego, gdyby ksiączę był z gruntu zły. Mimo to uśmiech angielskiego arystokraty wydawał się jej fałszywy, a spojrzenie zbyt przenikliwe.

Pochyliła więc głowę nad talerzem, wbijając wzrok w przyrumienione udko kurczęcia. Próbowała skupić się na słowach księcia.

- Alex powiedział mi, że wkrótce opuszczasz nas, pani.

Zaiste, była to dla niej pewna nowość.

- Wszystko zależy od lorda - rzekła chłodno. - Nie

przypominam sobie, by kiedykolwiek wtajemniczał mnie w swoje plany.

- Ponieważ jesteś jego zakładniczką, czy tak?
 - Można to i tym tłumaczyć.
 - Zastanawiam się, kto tu jest czyim zakładnikiem.
- Northumberland się uśmiechnął.

- Moja obecność w Anglii stanowi chyba wystarczającą odpowiedź na to pytanie.

- Tak - przyznał książę. - Znam całą waszą historię. Całą? Zarumieniła się i zwróciła na Aleksa pytające spojrzenie. Skan Anula, przerobiła pona.

- Książę wie, że pomogłaś mi, a ja cię porwałem - wyjaśnił jej. - A teraz proszę cię o pomoc w doprowadzeniu do pojednania naszych rodzin.

Patrzyła w jego pociemniałe oczy, w których gościł niepokój, i była jak zahipnotyzowana. W końcu zebrała wszystkie siły i zapytała głosem, który całkowicie ukrywał porywy jej serca:

- Więc kiedy będę mogła wrócić do domu?
- Widzisz konieczność pośpiechu, pani?
- Tak.
- W takim razie nie widzę przeszkód, byś odjechała jutro.

W obawie, żeby to, co najskrytsze, nie stało się jasne, gwałtownie odsunął krzesło i wstał od stołu.

- Chciałbym odetchnąć świeżym powietrzem. Mam nadzieję, że książę pozwoli mi na krótką przechadzkę?

Nie opuszczaj mnie, nie odchodź, chciała wykrzyknąć, ale duma zmusiła ją do milczenia. Tak więc została sama z najpotężniejszym człowiekiem w Anglii. Spo-

glądał na nią wzrokiem, jakim, odniosła takie wrażenie, patrzy się na pająka lub komara.

- Lady Ker - rzekł głosem, który w uszach Elsbeth zabrzmiał niczym groźba - wyznaję, że nie chciałbym widzieć Aleksa uginającego się pod brzemieniem smutku.

Targnął nią gniew. Kim był ten człowiek, że przyznawał sobie prawo dyktowania jej, co ma czynić?

- Czy księżę mówi od serca? - spytała, nie zważając na następstwa. - Słyszałam bowiem, że z wyjątkiem władzy nic księcia nie obchodzi.

Northumberland zareagował uśmiechem, który mógł się wydawać tyleż cyniczny, co dobroduszny.

- Opinia o mnie jest słuszna lub prawie słuszna. Jedynie, co mnie obchodzi, to utrwalenie silnej władzy królewskiej i obrona prawdziwej religii.

- W takim razie...

- Alex jest tu całkowitym wyjątkiem. Częściowo z mego poduszczenia przeszedł piekło za życia. Najdziwniejsze, że mimo tych ciężkich doświadczeń nie utracił żadnej z najlepszych swych cech.

- Chciałabym wiedzieć, co znaczą słowa „z mego poduszczenia”.

- Chętnie odpowiem na pani pytanie, lady Ker. Ale najpierw muszę wiedzieć, co pani o sobie powiedziała.

- Tylko to, że był galernikiem.

- Nie powiedział, jak do tego doszło?

- Nie.

Northumberland zamyślił się. Czy miał prawo odsłaniać przed tą osobą najbardziej sekretne sprawy Aleksa?

Niedawno był świadkiem ich rozpaczliwej wymiany spojrzeń. Współczuł im, a zarazem zazdrościł.

- Zastanawiam się, do jakiego stopnia obchodzi cię, pani, jego los - rzekł, wpatrując się w nią badawczym spojrzeniem. - Spędził we Francji w sumie osiem lat. Podzielmy ten czas na połowy. Przez cztery lata był defensorem sprawy protestanckiej, chroniąc wyznawców prawdziwej wiary przed prześladowaniami i śmiercią, a przez następne cztery cierpiał katusze za swoją działalność.

- Powiedział księżę, że to częściowo jego wina.

- Potrzebowałem go we Francji. Nie żeby naprawiać zło, lecz żeby siać ziarno niezgody pomiędzy Francją a Szkocją. Czy jesteś, pani, protestantką?

- Tak jak większość Szkotów zamieszkujących przygraniczne tereny.

- Wy jesteście wyjątkiem. Inni Szkoci są katolikami i popierają królową Marię.

- Być może, ale...

- Proszę teraz skupić się na tym, co powiem, lady Ker. Prześladowania protestantów we Francji mają ten skutek, że pogłębiają zawziętość pomiędzy protestantami i katolikami w Szkocji. Brat przyrodni królowej Marii jest protestantem.

Elsbeth w mig pojęła prawdziwy sens tych słów. Było oczywiste, że ów przyrodni brat bardziej odpowiadałby Anglikom na szkockim tronie. Tylko dlaczego księżę wtajemnicza ją w to wszystko?

- Czy Alex był angielskim szpiegiem?

- Bynajmniej. Wątpię, by podjął się tego rodzaju mi-

sji. Alex po prostu pożądał przygód i chciał dokonać czegoś pożytecznego. Jednak, choć wiedziałem, na jak niebezpieczne wypływa wody, utwierdzałem go w tej decyzji, powodowany troską o sprawy bardziej ogólne,

- I teraz dręczą księcia wyrzuty sumienia?

- Nie ma mowy o żadnych wyrzutach sumienia - rzekł książę. - Zawsze robiłem to, co uważałem za najbardziej korzystne dla Anglii. Nie żałuję żadnej swojej decyzji. Owszem, Alex zyskał sobie mój głęboki szacunek. Jako lord Huntington może oddać Anglii ogromne przysługi. Jest człowiekiem rozumnym i pełnym dobrych chęci. Nie cierpimy na nadmiar takich ludzi.

- Jest również lojalny - dorzuciła Elsbeth. Wiedziała już, dlaczego nie była w stanie polubić księcia. Był to człowiek cynicznie wykorzystujący lojalność innych.

- Zgoda, jest lojalny. Na jego słowie, obojętnie, dotyczącym przyjaźni czy miłości, można polegać.

- Czy mogę powtórzyć mu to, co właśnie usłyszałam?

- Oczywiście, że możesz, pani. Tylko że wówczas nie będę mógł mu już więcej pomagać. Po prostu nie przyjmie mojego wsparcia. Czy właśnie tego pragniesz?

Wpadła w pułapkę. Książę Northumberland był dobrym znawcą dusz ludzkich.

- Może w końcu przekona się, kim książę jest naprawdę.

- Proszę mnie źle nie rozumieć. Lubię Aleksa. Od początku mojej z nim znajomości traktowałem go jak syna, pragnąc głęboko, by arystokracja angielska była na jego miarę. Dumny jestem z przyjaźni z nim. Nie chciałbym, żeby stała się mu jakaś krzywda.

- Rozumiem, że sam książę wyklucza możliwość zrobienia mu krzywdy.

Northumberland drgnął, jakby go spoliczkowano. Zaraz jednak jego wargi wykrzywiły się w uśmiechu. Tej Szkotce nie można było odmówić odwagi. Byłaby wymarzoną żoną dla Huntingtona.

- Najważniejsze, pani, żebyś odnalazła Aleksa i porozmawiała z nim na serio o pewnych sprawach. - Wstał, ukłonił się i wyszedł.

Została sama przy stole. Nie wiedziała, co zrobić z rękami. Chwyciła srebrny widelec i cisnęła nim o posadzkę.

Godzinę później dla uspokojenia i uporządkowania myśli Elsbeth wybrała się na spacer po najbliższej okolicy.

Z rozmowy z księciem niezbitcie wynikało, że to on pchnął Aleksa na szlak niebezpiecznych przygód. Czy jednak jego wpływ był tu decydujący? Alex prawdopodobnie wyjechałby do Francji bez namów Warwicka. Nie bał się ryzyka i jeśli już coś postanowił, to rzecz doprowadzał do końca. Świadczyła o tym chociażby jego pierwsza próba ucieczki.

Poznanie Nadine również musiało wpłynąć na jego decyzję. Jej rola nawet mogła być najważniejsza. Serce Elsbeth zabiło żywiej. Nie mogła myśleć o zmarłej chłodno i obojętnie. Alex musiał bardzo ją kochać.

Łatwo było jej wyobrazić sobie Alexa jako błędnego rycerza niosącego pomoc biednym i pokrzywdzonym, w tym wypadku prześladowanym przez francuskich katolików protestantom. Rola obrońcy i współpracownika

bardzo do niego pasowała. Alex miał w sobie coś romantycznego.

Na myśl o rozstaniu które niechybnie musiało nastąpić, poczuła wielki smutek. Więc nigdy już miała nie widzieć jego urokliwego uśmiechu, czystych oczu i szlachetnego czoła?

Zaiste, śmiał się ostatnio wyjątkowo często, a przecież nie miał dotąd radosnego życia. Rodzina, w której nie było miłości, męczeńska śmierć ukochanej, lata na galerze, haniebna zdrada brata. To aż nadto jak na jednego człowieka. Nagle jej własne smutki stały się małe i nieważne. Ojciec, zanim został zabity, przeżył wspaniałe, bogate życie. Bardzo ją kochał. Zaznała od niego opieki, miłości i czułości. Owszem, targnął nią straszny ból, gdy zobaczyła jego martwe ciało, ale zawsze traci się ojców. Tak, czymże były jej smutki wobec cierpień, jakich doświadczył w życiu Alex?

Zamiast dać mu szczęście, ona, Elsbeth, jeszcze pogłębiała jego ból. Nie, Alex musi znaleźć u niej radość i ukojenie. Na czele klanu może stanąć Ian lub Patrick. Obaj są bardzo dobrze przygotowani do tej roli. Oczywiście, przyszłość Kerów nie może być oddana w ręce zdrajcy. Lecz kiedy Judasz zostanie zdemaskowany, nic już nie będzie stało na przeszkodzie, by wyszła za Aleksa.

Pomyślała o rozkoszy doznanej ostatniej nocy i głęboko westchnęła. Dobry Boże, spraw, by Alex nadal chciał dzielić z nią życie.

Pod koniec dnia zapytano ją, czy życzy sobie sama zjeść wieczerzę. Jaśnie oświecony książę oraz lord Hun-

tington zamknęli się bowiem w gabinecie i nie zanosi się, aby prędko go mieli opuścić.

Cóż, pozostawało jej czekać. Po kolacji, której prawie nie tknęła, przebrała się w nocną koszulę i usiadła na łóżku. Mijały godziny, a Alex nie nadchodził. Kiedy więc doszła do wniosku, że cały dom pogrążył się we śnie, wymknęła się na palcach do pokoju Aleksa.

Stał przy oknie i patrzył na dalekie gwiazdy. Może dopiero co wrócił z rozmowy z księciem, bo wciąż był ubrany. Na szmer otwieranych drzwi odwrócił się gwałtownie.

Miał bardzo bladą twarz. Ale być może tylko wydawała się taką w świetle jedynej palącej się świecy.

Odchrząknął i rzekł:

- Dwóch ludzi odprowadzi cię do granicy. Wyruszysz jutro rano. Powiesz, że udało ci się uciec temu potworowi Careyowi.

- A co z twoim planem?

- Tak, jest jeszcze mój plan. Zamierzałem przedstawić ci go szczegółowo przy śniadaniu, lecz skoro już tu jesteś...

Czekała. Rzucił się na obite zielonym adamaszkiem krzesło.

- Nadal jesteś zdecydowana przejść przez to?

- Tak - odparła i usiadła naprzeciwko niego.

Zaczął mówić. Wyłuszczył cały swój plan. Trwało to blisko godzinę. Przez cały ten czas praktycznie nie spuszczał z niej oczu, śledząc wszystkie jej reakcje. Bądź co bądź, w demaskowaniu zdrajców przypadała jej bardzo ważna rola, może nawet kluczowa.

- Podołasz wszystkiemu? - zapytał na koniec.

Skinęła głową. Była świadoma wagi zadania. Najmniejszy błąd mógł przynieść całkowitą klęskę.

Nastała chwila, kiedy właściwie mogli życzyć sobie dobrej nocy i rozstać się praktycznie na zawsze. Lecz Elsbeth już wiedziała, że nie może przejść obojętnie obok szczęścia, które na jej ścieżce postawił los.

Poszukała dłoni ukochanego, chwyciła ją i spojrzała mu w oczy z pełną oddania miłością.

- Jeżeli nadal chcesz się ożenić z pewną krnąbrną Szkotką, to ona chce ci powiedzieć, że potraktuje małżeństwo z tobą jako zaszczyt.

Drgnął i podał się do przodu. Coś w nim pękło i skruszyło się. Uleciała gdzieś cała rezerwa. Na poły chłopięcy uśmiech rozlał się na jego twarzy.

- Jesteś tego pewna, Elsbeth?

Niczego jeszcze w życiu nie była bardziej pewna. Drżała z pożądania i miłości. Pragnęła zlać swoją duszę z jego duszą, połączyć swoje ciało z jego ciałem.

Widział jej całkowite oddanie i zrozumiał, że walka między nimi skończyła się raz na zawsze.

Wstał i ona też wstała.

Usłyszał jej szept:

- Kocham cię, Alex. Będę cię kochała aż po kres wieczności.

- Więc mamy przed sobą bardzo dużo czasu - zażartował, gdyż było mu lekko na duszy.

Objęli się. Oboje byli pod silnym wrażeniem cudu, jaki się właśnie dokonał. Należeli do siebie i nic już nie mogło ich rozdzielić. Nic - z wyjątkiem śmierci.

- Teraz już sam nie wiem, czy puszczać cię samą do Szkocji - rzekł w nagłym porywie strachu.

- Musisz, kochany, inaczej nigdy nie zaznamy spokoju.

Zamknął oczy. Jutro już nie będzie jej przy nim. I ta nieobecność może przeciągnąć się w długie tygodnie. Czy podoła tej rozłące?

Wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. Potem rozebrał siebie i ją. Wyłoniła się z nocnej koszuli niczym z morskiej piany. Piękno jej ciała nie miało sobie równych. Opadła na poduszki i wyciągnęła ku niemu ramiona. Cała oddawała się we władanie namiętności, wiedząc, że wraz z ukochanym dostąpi najwyższej rozkoszy. I tak się stało...

Postanowili wziąć ślub. Northumberland zajmie się uroczystością. Podejmie się tego z ochotą, gdyż w jego oczach ten ślub miał służyć jego celom politycznym.

Dużo później tej nocy Alex uśmiechnął się i położył dłoń na brzuchu śpiącej Elsbeth. Tam już być może zaczynało się nowe życie.



Znikły ostatnie ślady obyczajności, posypały się przekleństwa.

- Ty angielski psie!
- Ty szkocki bękarcie!
- Niedorajdo!
- Tchórze!

Zaczerwienione oblicza, przyśpieszone oddechy, dłonie na rękojeściach, oczy płonące wściekłością. Zdrajcy stali przed perspektywą zdemaskowania i ostatecznego fiaska swych poczynań. Jeden bał się tego bardziej od śmierci. Drugiemu było wszystko jedno. Dlatego wabił i przyzywał śmierć, prowokując Anglika do wydobycia broni i zrobienia z niej użytku.

Elsbeth zniknęła i nadzieje, że żyje, były bardzo niewielkie. Alexander Carey nie miał powodu litować się nad kimś, kto go porwał i na długie tygodnie uwięził. Cisza, jaka zapadła po zniknięciu ich dwojga, nie wróżyła najlepiej. Przyszedł tylko jeden list przestrzegający przed przeprowadzeniem odwetowego ataku na Careyów. Ani słowa o okupie. A potem cisza. Cisza potrafi być straszna.

Co on uczynił najlepszego!

A przecież każdy swój krok podporządkowywał do-
tąd dobru klanu. Stary laird chciał pokoju, ale pokój
może być czasem gorszy od wojny. W okresie pokoju
wojownicy obrastają tłuszczem. Upadek klanu byłby
tylko kwestią czasu. Wtedy Kerowie staliby się zakład-
nikami wszystkich okolicznych baronów. Uwzględnia-
jąc zaś, że wojna z Anglią mogła wybuchnąć w każdej
chwili, Kerowie powinni być utrzymywani w stałej go-
towości bojowej. Rabunkowe wypadły w głąb teryto-
rium wroga również temu służyły.

Nienawidził słabości i głęboko wierzył, że okaże się
przywódcą, jakiego klan potrzebuje. Z Elsbeth u swego
boku będzie mógł dokonać naprawdę wielkich rzeczy.

Co się teraz działo z jego Elsbeth? Czy w ogóle
jeszcze żyje? A może spotkało ją coś gorszego od
śmierci? Może Anglik zgwałcił ją i wpędził w szaleń-
stwo?

Poczuł, że się dusi. Kochał Elsbeth. Były inne kobie-
ty, ale tylko z nią chciał się ożenić. Pokochał ją, kiedy
byli jeszcze dziećmi. A potem robił wszystko, żeby ją
zdobyć.

A wyszło na to, że pośrednio przyczynił się do jej
zguby.

Zlekceważył nowego earla Huntington i to był wiel-
ki błąd. Powinien był zmienić swoje zdanie o nim już
po tamtym pojedynku, ale zawsze uważał go za pyszał-
kowatego fanfaroną i jego dobrą postawę w walce przy-
pisał ślepego trafowi.

I takim sposobem znalazł się na przegranej pozycji.

Na przegranej pozycji znalazł się również John Ca-

rey. Obydwoma miotała bezsilna wściekłość. Obaj, każdy na własną rękę, przeczesali okoliczne lasy. Zdawało się, że nie ominęli żadnego, najmniejszego nawet krzaczka. Uciekinierzy zapadli się pod ziemię.

John Carey polecił nawet wybranym ludziom obserwować drogi wiodące do Londynu. Na żadnej nie pojawił się Alexander.

- I co teraz? - mruknął Anglik.

- Gdyby stała się jej jakaś krzywda, zabiję was obu.

- Zapominasz, że tobie również ona może sprawić masę kłopotu. Jeśli znajduje się pod wpływem mojego brata...

- Careya? - zachnął się Szkot. - Nienawidzi was bardziej ode mnie.

- Mój brat, jeśli się postara, potrafi być czarujący.

- Elsbeth jest odporna na umizgi Anglików.

- A jednak ktoś musiał pomóc mu w ucieczce.

Szkot nie był wcale o tym przekonany. Wszak Huntingtonowi już raz prawie że udało się uciec. Jego pozorne pogodzenie się z losem zakładnika zwiodło wszystkich bez wyjątku.

- Twój brat w wielu sprawach potrafi sam sobie radzić.

- W takim razie ma szczęście - powiedział John.

- Gdzie spędził ostatnie lata?

Anglik wzruszył ramionami.

- Na kontynencie. Nic więcej nie wiem.

- Nie doceniłeś go.

- Ktoś musiał udzielić mu pomocy - upierał się John.

- Więc przypatrz się lepiej swoim ludziom, a nie Kerom.

- Odnajdę go, choćbym miał dziesięć razy przeszukiwać lasy.

- Pamiętaj o tym, co powiedziałem. Elsbeth nie może spaść włos z głowy.

John spojrział na Szkota z pogardą.

- Zrobię, co uznam za słuszne i konieczne. I lepiej nie planuj mojej śmierci. Jeśli coś mi się stanie, świat pozna twoją rolę w tym wszystkim. Lepiej powiedz mi, co myśli o tobie twoja bogdanka.

Szkot sięgnął do boku, ale John był równie szybki.

- Nie chciałbym cię zabijać, gdyż wciąż jesteś mi potrzebny.

- Gdy rzeczy się wyjaśnią, poderżnę ci gardło.

John roześmiał się.

- Od zamiaru do czynu daleka droga.

- Przekonasz się, angielski psie! - rzucił Szkot i wskoczywszy na konia, popędził, jakby ścigały go biesy.

Alex i Elsbeth stali przed protestanckim duchownym, a na ich twarzach gościł jakiś wzniosły spokój. Oczywiście, nie był to ślub, o jakim zawsze marzyła Elsbeth. Oddawała swą rękę nie na oczach tłumu zaproszonych gości, tylko trzech mężczyzn - kapłana, księcia i majordomusa Stansona, który był drugim świadkiem. Nikogo z potężnego klanu Kerów. Sami Anglicy. Już to tylko mogło popsuć najwspanialszy nastrój.

Ale Elsbeth przepełniała błoga radość. Wystarczało

jej spojrzeć na twarz Aleksa, zobaczyć wesołe ogniki tańczące w jego oczach, aby natychmiast utwierdziła się w swej decyzji.

Obdarzyła go najczulszym z uśmiechów, on zaś mocniej ścisnął jej rękę. Nie usłyszała słów duchownego, więc musiał je powtórzyć. Odpowiedziała mocnym, czystym głosem.

Potem Alex wziął ją w ramiona, ona zaś szepnęła: „Kocham cię”. Ich usta spotkały się i przypieczętowały obietnicę wierności i miłości małżeńskiej.

Pierwszy pośpieszył z życzeniami ksiązę Northumberland. Pocałował Elsbeth w policzek. Jej wzdrygnięcie się uświadomiło mu, że nigdy nie zostaną przyjaciółmi. Szkotka była osobą spontaniczną i niewrażliwą na takie rzeczy jak władza czy majątek.

Przeniósł wzrok na Aleksa.

- Wydałem wszystkie niezbędne rozporządzenia dotyczące weselnej wieszery. Nie sądzę, by moja obecność była konieczna. Ślubny kontrakt schowam w bezpiecznym miejscu.

Alex uściskał dłoń przyjaciela.

- Dziękuję, ksiązę, za wszystkie twoje starania.

- Czy naprawdę nie potrzebujesz wojskowego wsparcia?

- To jest sprawa, którą muszę do końca doprowadzić sam. Obecność angielskich wojsk mogłaby jedynie rozdrażnić Kerów, a z drugiej strony dać pretekst mojemu bratu. Zamiast więc uspokoić nastroje, podsycilibyśmy tylko nienawiść.

Northumberland kiwnął głową, całkowicie zgadzając

się z opinią przyjaciela. Przeszedł do innej sprawy. Z opiekuje się Elsbeth, jeżeli coś przytrafi się jej mężowi, zadba również o to, by potomek Aleksa odziedziczył tytuł earla Huntington.

- A więc powodzenia, Aleksie. Rankiem przybędzie tu dwóch zbrojnych, którzy odprowadzą twoją małżonkę do granicy. Wybrałem ludzi godnych najwyższego zaufania.

Alex uśmiechnął się i spojrzał na Elsbeth. Ku swemu zaskoczeniu odnalazł w jej oczach strach. Wciąż nie była świadoma wszystkich niebezpieczeństw grożących Aleksowi, ale wiedziała przynajmniej to, że podjął się gry, w której mógł postradać życie.

Ukochany Alex. Jej mąż. Położyła dłoń na jego ramieniu.

Northumberland zdobył się na uśmiech.

- Na mnie już czas - powiedział, ukłonił się i wyszedł.

Elsbeth rada była z tego odejścia. Zwróciła na Aleksa rozkochane wejrzenie i przytuliła się doń.

Z chęcią zrezygnowaliby z przyjemności stołu i poszli wprost do łóżka, ale nie chcieli okazać się niegrzeczni wobec troskliwego gospodarza.

Potrawy okazały się łącznie królewskie. Bażant, ostrygi, egzotyczne ryby, zamorskie owoce. Wina we wszystkich smakach. Bawili się, karmiąc siebie nawzajem. Mogli to robić bez żenady, gdyż służba, zastawiwszy stół, dyskretnie się wycofała.

Zapomnieli o wczoraj i jutrze, liczyła się tylko chwila obecna. Rozkoszując się soczystymi owocami, wpad-

li w dziecięcą nastrój. Śmiali się z byle powodu i robili sobie psikusy.

Wreszcie mogli przejść do łożnicy, rozebrać się i kochać. Wszystko nabierało dzisiaj jakiegoś wielkiego znaczenia. Każdy pocałunek, każde dotknięcie pełne było szczególnej, niemalże sakralnej treści.

Głęboki sens miało też jej pytanie:

- Skąd ta blizna na twojej piersi, kochany?

Nie chciała odświeżać jego bolesnych wspomnień, ale musiała wiedzieć o nim wszystko. Wszystko. Był przecież jej ukochanym mężem.

Głęboko westchnął.

- Zostałem napiętnowany, Elsbeth. Francuzi robią to wszystkim galernikom. *To na wypadek, gdyby któryś uciekł.*

Łzy stanęły jej w oczach. Nie spodziewała się aż, tak strasznej prawdy.

Nagle Alex otworzył się. Mówił, mówił i mówił.

Poznała każdy jego dzień na galerze, usłyszała ą tęsknocie za widokiem nieba i haustem świeżego powietrza, zstąpiła w ciemną otchłań jego bólu i samotności.

Po roku niewolniczej pracy pod pokładem, bicia i poniżania osiągnął kres ludzkiej wytrzymałości. Pragnął śmierci. Wówczas los wyznaczył mu za towarzysza niedoli Johna Knoxa. Protestantcki duchowny okazał się człowiekiem wielkiej wiary. Rozniecił w Aleksie przygasły płomień nadziei. Wskazał mu na transcendentną wartość cierpienia, dzięki któremu człowiek łączy się z działaniem Opatrzności Bożej w świecie. Któregoś dnia odkuto go od wiosła i wyprowadzono.

Już więcej się nie pojawił. Alex znów został sam. Ale był już innym człowiekiem, gotowym sprostać każdemu cierpieniu.

- Kiedy stanąłem na angielskiej ziemi - kończył Alex swoją opowieść - zapytałem Northumberlanda, czy zna jakiegoś medyka, który mógłby mi usunąć piętno. Musiałem za wszelką cenę pozbyć się tego znaku niewolnictwa i ostatecznego poniżenia.

Elsbeth płakała. Przytulił ją do piersi.

- Nie płacz, kochanie. Tamto skończyło się. Chodzi o to, żeby teraz nie zmarnować ani chwili życia.

Ale łzy nie dały się tak łatwo powstrzymać. Płynęły i płynęły.

- Alex? - powiedziała w pewnym momencie.

- Powtórz, Elsbeth.

- Co mam powtórzyć?

- Moje imię. Nikt jeszcze dotąd nie wypowiedział go z taką miłością.

- Nawet... Nadine? - Nie mogła nie zadać mu tego pytania.

Ujął ją pod brodę, zmuszając, by spojrzała mu w oczy.

- Tak, najukochańsza, nawet Nadine.

- Ale...

- Owszem, kochałem ją, lecz to była bardziej religijna adoracja niż ziemski miłość. Dzieliłem z nią zwycięstwa i porażki. Ona, jej ojciec i ja stanowiliśmy jedną rodzinę, z tym że we mnie widziano bardziej syna i brata niżli męża i zięcia. Nadine oddana była wyłącznie jednej sprawie - swemu protestanckiemu Bogu.

Ślad po Nadine ciągle istnieje w mojej duszy, lecz jest to cząstka, która może tylko wzbogacić naszą miłość. Bo tej nie porównywałbym z żadną inną. Jest pełnią wszystkich doznań, cielesnych i duchowych. Jest samym życiem, moja piękna, dobra, namiętna i kochana Elsbeth.

Chciała obsypać go pocałunkami, ale tylko musnęła wargami jego czoło. Była to podzięką za to, że niczego nie zachował przed nią w tajemnicy.

Od samego rana Alex był poważny i zamyślony. Po radosnym upojeniu miłosnej nocy nie pozostało w jego oczach ani śladu. Elsbeth nie dziwiła się tej zmianie nastroju. Wracał do domu, w którym faktycznie czekało nań śmiertelne niebezpieczeństwo. U kresu tej podróży były tylko dwie możliwości - albo jego śmierć, albo śmierć jego brata.

I nieważne, jak straszliwych win dopuścił się ten brat. Bratobójstwo w każdej sytuacji zaliczało się do czynów naruszających moralny ład świata.

Co do niej, to stała również przed bardzo ciężką próbą. Wracała, by zdemaskować zdrajcę, który, jak wszystko na to wskazywało, był jednym z najbliższych jej przyjaciół i krewnych. Drżała myśląc o chwili, w której prawda wyjdzie na jaw.

Oboje musieli zachować wszystkie środki ostrożności. Ponownie przywdziali zużyte ubrania wieśniacze. Elsbeth, mimo zmienionej nie do poznaki powierzchowności, wyglądała młodo i świeżo. Przypominała młodzieńca, któremu jeszcze nie zdążył puścić się wąs.

Alex, który od pewnego czasu wyglądał przez okno, odwrócił się i rzekł:

- Moglibyśmy zaszyć się w jakimś ustronnym miejscu.

- Czyli uciec, czy tak?

Kiwnął głową. Chciał, by podjęła w pełni świadomą decyzję.

- I pozwolić im na wszystko?

Uśmiechnął się blado samymi kącikami warg.

- To też jakiś pomysł.

- Tak, tyle że najgorszy z możliwych, mój panie.

- Nie chcę, byś narażała się na to straszliwe ryzyko.

- Przecież to ty najbardziej ryzykujesz. Uciekną z tobą, ale najpierw muszę mieć pewność, że naprawdę tego chcesz. Skądinąd wiem jednak, że pragniesz sprawiedliwości. Nie leży w twojej naturze przyzwolenie na zło. I między innymi za to cię pokochałam.

Pogładził ją po włosach, których kolor tak lubił. Spotkał na swej drodze kobietę, która była prawdziwym darem niebios.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł Stanson ze śniadaniem.

- Ludzie już przybyli, wasza lordowska mość - oznajmił, po czym taktownie się oddalił.

Nie byli głodni. Zaledwie skosztowali pasztetu z zającą i wypili po szklance bulionu. Już ustalili, że będą podróżować oddzielnie. Tak będzie najbezpieczniej. Gdy tylko Elsbeth dotrze na miejsce, wyśle Hugh do Daveya Garricka z niezbędnymi informacjami.

- A co ze świadectwem ślubu? - zapytała.

- Na razie zostanie u księcia. Lepiej, żeby żadne z nas nie miało przy sobie tego dokumentu.

- Nie ufam mu.

Alex uśmiechnął się. Po raz pierwszy tego ranka.

- Intuicja nie zawodzi cię, kochanie. Talent Northumberlanda do intryg nie ma sobie równych. Księżę po prostu jest cynikiem. I jak każdy cynik, szuka skutecznych środków prowadzących do celu, lekce sobie ważąc ich wartość moralną. Tak się jednak składa, że jedno z jego ambitnych politycznych zadań ja mam wypełnić. Chodzi o zaprowadzenie trwałego pokoju na naszym odcinku granicy.

- Ale...

- Poza tym lubię go, Elsbeth. Nie pytaj, co na to wpłynęło. Zresztą on również mnie lubi. Mogę cię zapewnić, że nie zawiedzie mnie, nie zawiedzie nas. Jeżeli coś mi się przydarzy, zaopiekuje się tobą jak ojciec. Obiecay mi, że zwrócisz się do niego po opiekę.

Elsbeth pobladła i ściągnęła brwi. Northumberland mniej więcej tak różnił się od Aleksa, jak dzień od nocy.

- Gdyby coś ci się przydarzyło, życie straciłoby dla mnie wszelką wartość.

Wziął ją w ramiona.

- Nie mów tak, Elsbeth, nie mów tak nigdy.

- Ale to prawda. - Skłoniła głowę na jego ramię.

- W takim razie postaram się wyjść z tego wszystkiego nietknięty.

Zwróciła ku niemu twarz. Pochylił głowę. Złączyli się w pocałunku. W pewnym momencie objął ją w talii

i podniósł na swoją wysokość. Odebrała to jako akt hołdu i wywyższenia.

Ponownie dało się słyszeć pukanie do drzwi. Tym razem był to sygnał, że czas ruszać w drogę.

Alex postawił Elsbeth na podłodze.

- No więc jak, otrzymam obietnicę, o którą proszę od kilkunastu minut? - zapytał.

W tej chwili niczego mu nie mogła odmówić.

- Tak - odparła, całując go w czoło.

- Dziękuję. - Wiedział, ile to przyrzeczenie musiało ją kosztować.

- Nie odprowadzaj mnie - rzekła głosem pełnym melancholii. - Wolę tutaj się z tobą pożegnać.

Wciąż nie był pewien, czy starczy mu sił na rozstanie.

- Dobrze.

- To nie potrwa długo - próbowała go pocieszyć.

- Nie, kochanie. Przed nami całe życie.

- I dochowamy się gromadki czarnowłosych brzdąców.

- Powiedziałbym, że raczej rudowłosych.

Uśmiechnęła się.

- Połowa będzie czarnowłosa, a połowa rudowłosa.

- Kocham cię, Elsbeth.

Po jej policzku stoczyła się łza.

- Uważaj na siebie, mój rycerzu.

Odwróciła się i podbiegła do drzwi. Na progu obejrzała się. Potem usłyszała na schodach jej szybkie kroki. I ciszę. Ciszę, która gniotła piersi niczym nocna zmora.

Elsbeth była w głębi duszy rada, że przydzieleni jej do ochrony dwaj żołnierze nie szczędzili koni. Drugiego dnia tej forsownej jazdy czuła się, jakby obito ją cepami. Nocleg wypadł w lesie. Dotknąwszy głową zwinętej derki, natychmiast zapadła w sen. Nie zdążyła poświęcić Aleksowi ani jednej myśli.

Żołnierze traktowali ją uprzejmie, choć zachowywali wobec niej spory dystans. Często słyszała z ich ust pytanie, czy nie chciałaby odpocząć. Gdy konsekwentnie odmawiała, dystans ów powoli zastępowały szacunek i życzliwość. Imponowała im dzielna postawa tej młodej niewiasty.

Nazywali się William i Tate i okazało się, że są zawodowymi oficerami. Wobec przygodnie napotykanym ludzi odgrywali jednak rolę żołnierzy, którzy chcą się zaciągnąć. Elsbeth przypadła rola ich pachołka. Kiedy więc postój wypadał w gospodzie, nie wchodziła do izby, tylko karmiła i oporządzała konie, by na koniec spędzić razem z nimi noc.

Aby nie wzbudzać podejrzeń, na ludzkich oczach traktowali ją z góry i po pańsku. Raz nawet Tate sklął ją od najgorszych, gdy nie tak jak trzeba rozkulbaczyła je-

go konia. W zasadzie nie popełnili żadnego większego błędu. Mogliby być dobrymi komediantami.

Tak więc stosunek obu mężczyzn do Elsbeth ulegał ciągłej przemianie. Z początku swoją misję traktowali bardzo formalnie. Eskortowanie jakiejś tam Szkotki odczuwali po trosze jako ujmę, coś poniżej ich talentów i oficerskiej rangi. Ale wraz z upływem dni Elsbeth zawojowała ich całkowicie. Po męsku znosiła trudy podróży, a jej uśmiech działał na nich jak majowe słońce na płachty śniegu. Kiedy więc smutniała, co zdarzało się jej wcale często, próbowali ją rozweselić.

Na wypadek zagarnięcia przez Kerów mieli przygotowane wytłumaczenie, że natknęli się na nią na granicy, samą i zagubioną, i honor rycerski nakazał im odprowadzić ją do domu.

Włości Careyów obeszli łukiem.

W miarę zbliżania się do granicy, stawali się coraz bardziej czujni i ostrożni. Przez ostatnie dwa dni podróży unikali gospód i ludzkich osiedli. Wreszcie wjechali na ziemie Kerów. Ostatni postój wypadł w miejscu oddalonym o trzy godziny drogi od twierdzy. Tam Elsbeth przebrała się w suknię i płaszcz, które miała na sobie w dniu porwania.

Tate pierwszy zauważył u niej oznaki niezwykłego niepokoju. Wyglądała, jakby faktycznie ten miesiąc spędziła w więziennym lochu. Błada i zamknięta w sobie, nie przypominała już w niczym tej energicznej i śmiałej kobiety, z którą rozpoczęli podróż.

Spojrzał na Williama i zrozumiał, że jego towarzysz myśli to samo.

- A może gościłabyś nas, pani, u siebie przez kilka dni?

- Albo najęła do służby? - dorzucił William.

Elsbeth powiodła po nich ciepłym spojrzeniem. Pojęła, skąd te pytania. Martwili się o nią. Byli jej przyjaciółmi.

- Nie zdarzyło się jeszcze, by walczyli w szeregach Kerów angielscy żołnierze - odparła z uśmiechem. - I co na to powiedziałyby księżę?

- Księżę pan przykazał nam, żebyśmy strzegli cię, pani, jak żrenicy oka.

- Zaciąg jest niemożliwy, ale nie odmawiam dachu nad głową proszącym o gościnę.

Coś jej szeptało do ucha, że podjęła słuszną decyzję. Kto wie, jak mogą jeszcze potoczyć się wypadki, i czy William i Tate nie będą jej potrzebni. Patrząc z boku, będą mogli widzieć więcej niż ona, tak ściśle połączona z Kerami. Zresztą miała wytłumaczenie. Zaopiekowali się nią, więc zaciągnęła wobec nich dług wdzięczności.

Po trzech godzinach przejechali we trójkę bramę twierdzy.

- Dobry Boże! - wykrzyknął jeden ze strażników. - Przecież to lady Elsbeth!

Po chwili dziedziniec zapełnił się ludźmi. Mężczyźni, kobiety i dzieci wiwatowali i na różne inne sposoby okazywali swą radość z szczęśliwego powrotu swej pani.

Wywabiony okrzykami, wybiegł z wieży Ian. Na widok Elsbeth zatrzymał się i zatoczył. Ogromna ulga rozlała się na jego obliczu. Zaraz jednak zajaśniało ono ra-

dością. Doskoczył do konia, na którym siedziała Elsbeth, i pomógł jej zsiąść.

- Czy nic ci się nie stało, droga kuzynko? - zapytał głosem pełnym serdecznej troski.

- Jestem tylko bardzo zmęczona, Ianie - odparła, dając mu się uściskać. Och, czy podoła wszystkim tym kłamstwom, które jeszcze wyjdą z jej ust? Najchętniej zamknęłaby się w swojej komnacie i przeczekała w niej do chwili, gdy zostanie wprowadzony w życie plan Aleksa.

- Skąd przybywasz? Gdzie byłeś przez ten cały czas? Co to za ludzie?

- Uciekłam - rzekła drżącym głosem.

- A ci dwaj?

- Natknęli się na mnie na drodze. Gdyby nie oni...

- Wstrząsnęła się.

Ian w lot domyślił się wszystkiego i sam również zadrzał. Zwrócił się do wciąż siedzących na koniach Anglików:

- Zachowaliście się po rycersku, panowie. Jesteśmy wam za to głęboko wdzięczni. Zabezpieczymy wasz powrót do granicy. Na ziemi Kerów nic złego wam się nie przydarzy. Daję na to moje słowo.

Elsbeth położyła dłoń na ramieniu kuzyna.

- Obiecałam im, że będą mogli spędzić u nas kilka dni. Są bardzo zdrożeni. Ich koniom też się należy wychnienie.

Ian w pierwszej chwili zachnął się, lecz zaraz wydał stosowne rozporządzenia. Żołnierzy odprowadzono do przydzielonej im kwatery.

Wtedy dopiero Ian zauważył zmianę w wyglądzie Elsbeth.

- Twoje włosy, kuzynko - rzekł, a właściwie jęknął.
- Obciął je.
- Huntington?

Skinęła głową.

- Z oczywistych względów zależało mu na tym, żeby nikt mnie nie rozpoznał.

Ian powstrzymał się od przekleństw, tylko sapnął i zgrzytnął zębami. Następnie wziął Elsbeth za rękę i poprowadził ku wieży. Nie chciał, by ktokolwiek postronny słyszał ich rozmowę. Kiedy znaleźli się w świetlicy, zapytał:

- Czy zrobił ci jakąś krzywdę, kuzynko?

Elsbeth widziała jego spojrzenie, w którym czaił się ból i strach. Strach o nią. O jej cześć i reputację. Poczuli się nagle wstrętą oszustką. Oby tylko nie ugięła się pod brzemieniem odrazy do samej siebie.

- Więził mnie. To wszystko.
- I nie...
- Powiedział, że robienie tego ze Szkotką uwłaczałoby jego godności.

Tym razem Ian nie wytrzymał. Z jego ust posypały się najstraszliwsze przekleństwa. Dawszy upust swojej wściekłości, rzekł:

- Wybacz, droga kuzynko. Powiedziałaś, że czujesz się bardzo zmęczona, więc nie będę przedłużał tej rozmowy. Mam tylko jeszcze jedno pytanie. Powiedz mi, proszę, gdzie cię przetrzymywał i jak go możemy odnaleźć?

- Zawiązał mi oczy. Rozumiem twoją ciekawość, Ianie, ale odłożmy rzecz do jutra. Teraz chciałabym wykąpać się i pójść do łóżka.

- Oczywiście, Elsbeth. Ale staraj się przypomnieć sobie wszystkie szczegóły. Może po nitce dojdziemy do kłębka.

Skinęła głową i ruszyła ku drzwiom. Te jednak nagle otworzyły się z trzaskiem i do świetlicy wpadł Patrick. Podbiegł do Elsbeth i zamknął ją w niedźwiedzim uścisku. Następnie, jakby zawstydzony tym wylewem uczuć, puścił ją i cofnął o krok.

- Boże, szukaliśmy cię, kuzynko, całymi dniami i nocami. Angielski pies! Zapłaci nam za to!

Chciała poprosić, by wreszcie przestali lżyć Aleksa, lecz z oczywistych względów nie mogła tego zrobić.

- Nie dotknął mnie, Patricku. Spoliczkował jedynie moją dumę. - I było to stwierdzenie prawie zgodne z prawdą. Tuż po porwaniu rzeczywiście cierpiała z powodu upokorzenia.

- Twoje włosy, twoje pyszne włosy...

- Odrosną - zapewniła go, nieco poirytowana, że jej kuzyni przejmują się takimi drobnostkami.

- Chcę wiedzieć tylko jedno - rzekł prawie rozkazującym tonem. - Wskaż miejsce jego pobytu, abyśmy natychmiast mogli ruszyć w drogę.

- Nie pomogę wam. Miałam przepaskę na oczach.

- Ale czy był to zamek, chata, szałas w lesie? Jak długo jechaliście?

Elsbeth udała zdumienie, że ktoś ośmiela się ją męczyć w tej chwili takimi pytaniami.

- Patricku, wybacz, ale czuję się zbyt zmęczona, żeby zebrać myśli. Wrócimy do tej rozmowy jutro przy śniadaniu.

Słowa te otrzeźwiły Patricka. Rzekł czule i łagodnie:

- Oczywiście, droga kuzynko. Daruj mi moją niecierpliwość. Pragnę po prostu jak najszybciej dostać tego niegodziwca w swoje ręce.

- Ja również - odezwał się milczący dotąd Ian. — Wszyscy Kerowie dyszą żądzą wymierzenia mu sprawiedliwości.

Elsbeth poczuła, że robi się jej słabo. Wokół niej szalało morze nienawiści do człowieka, którego kochała i który był jej mężem. Pragnęła zostać sama. Obrzuciła obu kuzynów błagalnym spojrzeniem.

- Pozwólcie mi odpocząć. Jeśli natychmiast nie położę się do łóżka, to chyba dostanę pomieszania zmysłów.

Pierwszy zreflektował się Ian.

- Wybacz nam, Elsbeth. Tak się o ciebie martwiliśmy. Chodźmy, kuzynie.

Patrick odchodził z ociąganiem. Liczyła się każda chwila. Musieli jak najszybciej dopaść tego angielskiego kundla. Do tego jednak potrzebne im były jakieś wskazówki.

W drzwiach minęli się z Annie, gospodynią.

- Kąpiel gotowa, panienko - oświadczyła głosem, w którym radość przeplatała się ze wzruszeniem.

- Dziękuję, Annie. Widzę, że ktoś tu naprawdę myśli o mnie, a nie o zemście i odwecie. - Kąpiel była jej skrytym marzeniem przez cały czas podróży. Obmywa-

nie się zimną wodą rzek lub jezior nie mogło jej bowiem zastąpić.

- Lady Elsbeth! - rozległ się nagle radosny okrzyk i od drzwi przyfrunęła ku niej Louisa. - Czy dobrze się czujesz?

- Jestem zmęczona i śpiąca, ale poza tym zdrowa i nietknięta.

Louisa odetchnęła. Jej policzki płonęły. Nie kryła podniecenia.

- Tak się cieszę. Czy mogłabym coś dla ciebie zrobić?

Było tyle miłości i przywiązania w głosie tej dziewczyny, że Elsbeth się zawstydziała. Wszak tutaj kochano ją, bano się o nią, życzone jej jak najlepiej, ona zaś wróciła z łgarstwem na ustach. Kłamała, bo musiała zdemaskować zdrajcę, który przyłożył rękę do zabójstwa jej ojca i był rzecznikiem nie kończącej się wojny na granicy. Tak, kłamała w dobrej sprawie i nie mogła czynić żadnych wyjątków. Dopuszczenie Louisy do tajemnicy nie wchodziło w rachubę tym bardziej, że dziewczyna była zakochana po uszy w Patricku, jednym z podejrzanych.

- Chodź, umyjesz mi plecy - powiedziała, nie chcąc sprawiać dziewczynie przykrości.

Siedząc już w wannie, zapytała:

- Czy podczas mojej nieobecności coś tu się wydarzyło?

- Patrick i Ian zachowywali się jak szaleńcy. Prawie że nie zsiadali z koni.

- Czy najechali ziemie Careyów? - Wstrzymała oddech.

- Nie - usłyszała w odpowiedzi.

Po kąpieli, pożegnawszy się z Louisą, czysta i pachnąca, ubrana w nocną koszulę z cienkiego płótna, udała się wprost do łóżka. Weszła Annie z tacą, zastawioną talerzami, kubkami i kieliszkami.

Elsbeth skubnęła kurczaka i wypła kilka łyków wina.

- Już więcej nie mogę - rzekła z miną męczennicy.

- Nawet wróbel by się tym nie najadł.

- Poczekaj do jutra, Annie. Zobaczysz, jakie zjem śniadanie.

- Dobrze, moja ptaszyno. - Gospodyni zawahała się. - Tak bardzo się wszyscy cieszymy, że panienka wróciła do domu cała i zdrowa. Prawdą mówiąc, nie spodziewałam się po tym szubrawcu czegoś takiego. Wyświadczyła mu panienka tyle dobrego.

- Porwałam go, Annie.

- Tak, ale potem pielęgnowałaś w chorobie. Okazał się taki sam jak inni. A ja myślałam, że ma Boga w sercu.

- Nie zrobił mi krzywdy, Annie. I w gruncie rzeczy był bardzo troskliwy i uprzejmy.

Annie aż się zatrzęsała.

- Troskliwy? Niech piekło pochłonie taką troskliwość! Bo co z panienki reputacją? Czy pomyślał o tym? I obciął panience włosy. Oby uschła mu prawa ręka.

Elsbeth zamknęła oczy. Dłużej nie mogła już słuchać tych nie kończących się napaści na Aleksa.

- Śpij, zaśnij, kochane jagniątko. A ja usiądę i będę czuwać przy tobie do rana.

Elsbeth chciała powiedzieć, że nie, że wolałaby zostać sama, ale nawet nie miała siły unieść powiek. Zresztą w jej myślach pojawił się Alex. Gdzie teraz jesteś, ukochany mężu? Czy już dotarłeś do chaty kłusownika? Jechałeś sam, a więc mogłeś podróżować szybciej. Czy jesteś bezpieczny? Czy już spotkałeś się z Daveyem Garrickiem?

Na twarzy śpiącej Elsbeth pojawił się delikatny uśmiech. Annie dostrzegła go, lecz wytłumaczyła sobie całkiem opacznie. Elsbeth uśmiecha się, gdyż jest szczęśliwa z powrotu do domu. Za kilka miesięcy wyjdzie za Patricka lub Iana. I da klanowi dziedzica.

Alex pędził przez Anglię niczym zwiastun hiobowych wieści. Zmienił pięć koni, padły pod nim dwa. Żywił się chlebem i serem, unikał gospód. Pił wodę ze strumieni, a noce spędzał pod gołym niebem. Gwiazdy i księżyc były mu kompanami. Pozwalał podchodzić do siebie wilkom.

Wciąż myślał o Elsbeth. Widział ją w rękach złoczyńców, spadającą wraz z koniem z urwiska, ginącą w odmętach wezbranej rzeki. Ale im bliżej był celu podróży, tym częściej zaprzętały go inne sprawy. Wszystkie nici planu musiały się składać na wyrazisty, plastyczny wzór. Żadna nie mogła się zerwać.

Zapadł wieczór, lecz tego dnia Alex nie zsiadł z konia i nie rozpałił ogniska. Do chaty kłusownika było już niedaleko. Czuł się brudny i bardzo zmęczony. Żołądek ścisnął mu się z głodu. Miał zarośnięte policzki i podarte ubranie. Obiecał sobie, że wypawszy się na barłogu

z sitowia, jutro doprowadzi się do jakiego takiego porządku.

Nagle usłyszał za sobą odgłos kopyt końskich. Wyteńczył słuch. Niewątpliwie ktoś za nim jechał, choć na szczęście był to samotny jeździec.

Alex zatrzymał się, wprowadził konia w krzaki, sam zaś wspiął się na drzewo rosnące tuż przy ścieżce. Jeździec zbliżał się. Jechał stępą i wciąż był niewidoczny. Nagle powiał wiatr i przegonił chmury, zasłaniające dotąd księżyc.

Alex poznał Daveya.

Uśmiechnął się i zeskoczył na ziemię. Przestraszony koń wspiął się na tylne nogi. Davey pochylił się aż na kark zwierzęcia, równocześnie sięgając po broń. Poznawszy Aleksa, cofnął rękę.

- Czy to ładnie straszyć biednego wędrowca? Przy okazji mogłem skrócić cię o głowę.

- Zaufałem twojej bystrości.

Garrick roześmiał się.

- Czy wszystko idzie zgodnie z planem?

- Tylko częściowo - odparł Alex i zrobił tajemniczą minę.

Davey zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem.

- Nie planowałem małżeństwa. - Teraz Alex uśmiechał się od ucha do ucha.

- Nie mów tylko, że wybranką okazała się ta, którą pomogłem ci porwać.

- Od tygodnia jest moją żoną.

- I wyszła za ciebie z własnej nieprzymuszonej woli?

- Ba, z wielką ochotą.

Davey powoli przetrawiał usłyszane słowa. Carey zeni się z córką szkockiego lairda. Córka ta stoi na czele klanu Kerów. Kerowie są w odwiecznej wojnie z Careyami. Istny galimatias. Ktoś tu z pewnością oszalał.

W milczeniu skinął głową.

- Nie złożysz mi powinszowań?

- Czy mogę coś powiedzieć?

- Wiesz, że cenię sobie twoje zdanie.

- Jest bardzo ładna, ale...

- Ale? - podchwycił Alex.

Davey wzruszył ramionami. Ślub się odbył i nikt nie mógł przekreślić tego faktu. Zresztą cóż go to w ogóle obchodziło. Alex musiał rozważyć wszystkie możliwe konsekwencje swojej decyzji. Tyle że ta decyzja wydawała się co najmniej dziwna.

Uśmiech znikł z twarzy Alexa.

- Nikt jeszcze o tym nie wie z wyjątkiem Northumberlanda, który był świadkiem na naszym ślubie. Mówię ci o tym na wypadek, gdyby spotkało mnie jakieś nieszczęście. Zaopiekuj się nią, Davey, a jeśli będzie to konieczne, zawieź ją do Northumberlanda. Może urodzić się dziecko. Ono będzie wymagało szczególnej troski.

Garrick patrzył i milczał.

- Twoje słowo, Davey.

- Oczywiście masz je, tylko że...

- Jeśli natomiast mój plan się powiedzie, powtórzmy ślub w Huntington w obecności zaproszonych Kerów i Careyów.

- Raczej należy spodziewać się wojny.

- Nie, jeśli dopisze nam szczęście. Obie rodziny muszą zrozumieć, że stawały przeciwko sobie przez dwóch zdrajców, którzy mieli własne egoistyczne cele.

- Nie wymażesz w ciągu jednego dnia nagromadzonej przez dziesięciolecia nienawiści.

- Może i nie, ale przynajmniej rozpoczniemy proces odnowy.

Davey wciąż nie wydawał się przekonany.

- Tobie i Hugh dobrze się współpracowało - zauważył Alex.

- Tylko do momentu, kiedy zbyłem go przytomności i wykradłem jego panią. Nie sądzę, żeby był teraz skłonny do przyjaźni.

- Niczego tu z góry nie można rozstrzygać. Moja żona wkrótce go przyśle do ciebie. Zresztą zsiadaj z konia i chodźmy do chaty. Jesteśmy od niej dosłownie kilkadziesiąt kroków.

Po kwadransie siedzieli już na stołkach przy buzującym ogniu.

- Co z moim bratem? - zapytał Alex.

Davey uśmiechnął się.

- Niemal przyrósł do konia. Z każdym dniem staje się coraz bardziej nieopanowany. Za lada przyczyną wybucha gniewem i upokarza ludzi. Gdyby dzisiaj zszedł z tego świata, niewielu by płakało na jego pogrzebie.

- Rozmawiał z tobą?

- Rozkazał mi przeczesywać las i strzelać do wszystkiego, co się rusza.

- Nic o mnie?

- Powiedział, że Kerowie musieli cię zabić. W związku z tym niektórzy się dziwią, dlaczego nie przygotowuje odwetu.

Alex odetchnął z ulgą. Wszystko szło zgodnie z jego planem. Jednakże nie było w nim cienia radości. Jedno z dwojga - zginie on albo John. Koło losu toczyło się i nikt nie był w stanie go zatrzymać.

- Zbliź się do mojego brata i zdobądź jego zaufanie. Elsbeth tymczasem wskaże każdemu ze swoich dwóch kuzynów, których podejrzewamy, inny kierunek poszukiwania. Prawdziwy zdrajca natychmiast spotka się z Johnem i pewnie uradzą, że najlepiej byłoby pozbyć się mnie po cichu. Niewinny zbierze ludzi z zamiarem nie tylko odnalezienia mnie, lecz również uderzenia na Huntington. Musisz się dowiedzieć, jakie informacje otrzymał John. Z tą chwilą będziemy wiedzieli, kto jest zdrajcą.

- A co będzie, jeśli Kerowie puszczą mimo uszu wieść o zdrajcy i wybiorą wojnę?

- Mam nadzieję, że zachowają się całkiem inaczej. Wiadomość o judaszu w ich szeregach przyjmą jako upokorzenie i hańbę.

Davey potrząsnął głową.

- Przypisujesz im zalety charakteru, których być może nie mają.

- Cóż, muszę dokonać takiego założenia, skoro ja i Elsbeth mamy żyć w spokoju.

- Czy lady Elsbeth warta jest tych wszystkich wysiłków?

- Tych i stokroć większych.

- Widziałem wielu mężczyzn, którzy zmarnowali się przez kobietę.

- Lecz chyba siebie do nich nie zaliczasz?

Davey zrobił minę, którą można było interpretować na kilkanaście różnych sposobów.



Ten dzień Elsbeth miała długo pamiętać.

Obudziło ją natarczywe walenie do drzwi. To nie mógł być ani Ian, ani Patrick, bez względu na to, jak żądni byli konkretnych wskazówek dotyczących miejsca pobytu Aleksa. Więc kto, na Boga, dobijał się o tak wczesnej porze?

Wstała, narzuciła na ramiona pelerynę i poszła otworzyć. Wiedziała, że będzie to najbardziej koszmary dzień w jej życiu. Dzień kłamstw, podstępów i zdrady. Otwarcie drzwi miało być jakby początkiem tego koszmaru. Nacisnęła klamkę.

Na progu stała Joan. Elsbeth nawet nie starała się ukryć zdziwienia. Matka Patricka zazwyczaj wstawała jako ostatnia z domowników. Dzisiaj, wiele na to wskazywało, zerwała się pierwsza. Co też mogło zakłócić jej rozkoszny sen?

Nie czekając na zaproszenie, weszła do komnaty.

- Usiłowałam zobaczyć się z tobą wczoraj - rzekła z na poły obrażoną, na poły gniewną miną - lecz Annie zagroziła mi drogę. Chyba za dużo sobie pozwala.

- Wypełnia tylko moje polecenia, Joan.

- Trudno uwierzyć, że po czymś takim unikasz

najbliższej rodziny - skomentowała z przekąsem matka Patricka.

Elsbeth milczała. Joan zamachała rękami.

- Można by wreszcie coś postanowić w związku z twoim ślubem z Patrickiem.

- Ślubem, powiadasz? To dla mnie zupełna nowość.

- Twoja reputacja, Elsbeth. Po miesiącu spędzonym z tamtym łajdakiem możesz naprawdę mówić o szczęściu, że Patrick wciąż jeszcze chce się z tobą ożenić.

Elsbeth pobladła z gniewu. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że nie ma powodu. Że jest poza tym wszystkim.

- Czy powtarzasz słowa Patricka?

Joan wyczuła, że posunęła się za daleko.

- Oczywiście, że nie. Uznałam tylko, że powinnam uświadomić ci, co mówią ludzie.

- Doceniam twoją troskę. Sądzę jednak, że Patrick powinien sam ze mną porozmawiać. Choć może on również widzi mnie jako nieczystą i skażoną.

- Patrick nigdy by...

- Ale twoim zdaniem powinnam jak najszybciej wyjść za mąż, czy tak?

- Trudno uwierzyć, żeby...

- Uważasz, że kłamię?

- Nie, ale cały miesiąc...

- Zbyt lubię Patricka, żeby obarczyć go takim brzemieniem - powiedziała słodko Elsbeth.

- Ale on cię kocha!

- Doprawdy, Joan? To już nie zaleca się do Louisy?

- Jest dla niej tylko miły. - Joan rzucała się jak ryba

w sieci. - Louisa nic dla niego nie znaczy. Mój syn myśli tylko o tobie.

Elsbeth kusiło, by zapytać Joan o inne kobiety Patricka, ale uznała, że czekają ją dzisiaj dużo ważniejsze sprawy.

- Proponuję, Joan, żeby Patrick sam się zadeklarował.

I z pewnością rozmawiałyby tak ze sobą jeszcze z godzinę, gdyby nie Annie, która wybawiła Elsbeth. Weszła ze śniadaniem, a zobaczywszy Joan, zmierzyła ją spojrzeniem pełnym nagany.

- Moja pani potrzebuje spokoju - rzekła bez ogródek.

Joan aż syknęła ze złości.

- Tylko próbuję pomóc.

- Skoro tak, to za pomoc serdecznie dziękuję - podchwyciła Elsbeth z ironicznym uśmiechem.

Zorientowawszy się, że nic tu po niej, Joan zebrała spódnice i pośpiesznie wyszła.

- I co chciała ta sekutnica? - spytała Annie.

- Pocerować moją rozdartą reputację. Wpadła na pomysł połączenia mnie ze swoim synem wężłem małżeńskim.

Annie badawczo spojrzała na Elsbeth.

- Prawdę mówiąc, panience czas już za męża.

- A kogo byś mi wybrała za męża - Patricka czy Iana? - spytała Elsbeth z ciekawością.

Gospodyni nie odpowiedziała od razu. Dość długo zastanawiała się nad wyborem kandydata.

- Patricka - odparła w końcu z widoczną ulgą.

- Dlaczego akurat jego?

Annie wzruszyła ramionami. Wymieniła imię, które podpowiedziała jej intuicja. Patrick miał silniejszy charakter i wydawało się, że skuteczniej przeciwstawi się nadchodzącym zagrożeniom. Od wczoraj cały klan debatował o odwecie. Zemsta była sprawą honoru. Wynikało z tego, że niebawem granica spłynie krwią. Dużo będzie tej krwi.

- Dlaczego nie Ian? - badała Elsbeth.

Annie uśmiechnęła się. Najwidoczniej jej pani zaczynała poważnie myśleć o małżeństwie.

- On również byłby dobrym mężem.

- Radzisz jak wyrocznia delficka - rzuciła rozczarowana Elsbeth.

Annie nic wprawdzie nie wiedziała o wyroczni delfickiej, ale przypomniała sobie o śniadaniu.

- Przyniosłam same smakowitości. Jedz, ptaszyno, skoro myślisz o zamążpójściu.

Elsbeth zaczerwieniła się. Przed jej oczyma stanął Alex.

- Powiedz Patrickowi, że oczekuję go.

Annie rozpromieniła się. Jej pani szła za jej radą.

- Biegnę - powiedziała i faktycznie wybiegła z komnaty.

Patrick wszedł do świetlicy z ponurym obliczem.

- Zwołuję wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni - oznajmił od progu. - Potrzebna jest twoja zgoda, kuzynko, na atak na Huntington.

Elsbeth szeroko otworzyła oczy. Nie tego oczekiwała.

- Kiedy planujesz wyruszyć?
- Najpóźniej za cztery dni.
- Nie sądzę, żebyście w twierdzy znaleźli Alexandra Careya. Wie, że jego brat nie zapłacił okupu.
- Nigdzie indziej nie mógł się schronić. Chyba że znasz, kuzynko, jego sekretną kryjówkę. - Spojrzenie Patricka stało się badawcze.
- Wiem tylko, że na pewno nie zatrzymał się u żadnego ze *swoich* poddanych. Nie jest pewien ich lojalności.
- A miejsce, w którym cię przetrzymywał, czy mogłabyś coś o nim powiedzieć?
- W pobliżu płynął strumień.
- Jak długo tam jechaliście?
- Najpierw byłam nieprzytomna, a potem przewiązał mi oczy. Wydawało mi się, że jedziemy całą wieczność.
- A czy przekraczaliście jakieś strumienie lub rzeki? Kiedy zaś uciekłaś od niego, w jakim kierunku się udałaś?
- Przypominam sobie, że sforsowaliśmy dwa dość szerokie strumienie. Natomiast co do mojej drogi powrotnej, to prawie niczego nie pamiętam. Zgubiłam kierunek i krążyłam w kółko. Natrafiłam na jakieś bagniste tereny.
- Czy byliście tam tylko we dwoje?
- Nie widziałam nikogo innego.
- Gdzie cię trzymał?
- W czymś w rodzaju chaty. Żadnych okien, solidne drzwi. Często gdzieś wyjeżdżał. Wtedy zostawiał mi większy zapas jedzenia i picia.

Na twarzy Patricka odmalowało się napięcie.

- Gdzie spał?

- Nie wiem. W każdym razie nie w chacie.

Po napięciu nie pozostało ani siadu. Zastąpiła je radosna ulga. Carey nie zhańbił Elsbeth.

- Ile godzin drogi dzieliło te dwa strumienie?

- Och, najwyżej pół godziny.

Twarz Patricka rozjaśniła się. Wiedział już, gdzie ma szukać łotra. Zmienił temat.

- Ci dwaj angielscy żołnierze zostali nakarmieni i wydają się wypoczęci. Czas, żeby ruszyli w drogę. Mogą być szpiegami.

Elsbeth potrząsnęła głową.

- Bardzo mi pomogli. Właściwie uratowali mnie. Zaprosiłam ich na kilka dni.

Patrick przez jakiś czas ważył coś w myślach.

- Masz bardzo czułe serce, kuzynko. Będzie, jak sobie życzysz. - Delikatnie dotknął dłonią jej ramienia.

- Zrobię wszystko, żeby ten łajdak poniósł zasłużoną karę. Dla Careyów zbliża się sądny dzień. - Pochylił się i pocałował ją w policzek.

Opuścił świetlicę w wielkim pośpiechu.

Następny w kolejce był Ian. Czekaając na rozmowę z Elsbeth, chodził nerwowo po korytarzu. Czuł się urażony. Bardzo trudno mu było pogodzić się z faktem, że Patrick został wezwany jako pierwszy.

Wszedł w nie najlepszym humorze, ale uśmiech Elsbeth rozbroił go całkowicie. Odpowiedział również uśmiechem i pocałował ją w rękę.

- Cieszę się, że widzę cię pogodną i wypoczętą, ku-

zynko. Wszystko więc wróciło do normy. I ruszamy na Careyów, żeby upuścić im krwi. Patrick już rozesłał wici.

- Dobrze, że poruszyłeś tę sprawę. Chciałabym, żebyś zawiózł mój list do klanu Rutherfordów. Skoro gotujemy się do wojny, zbierzmy jak największą siłę.

- Gdzie jednak mamy szukać Careya?

- Powiedziałam już Patrickowi, że na pewno nie w Huntington. On coś planuje, chyba chce wezwać pomoc z Londynu. Musimy uderzyć, zanim urośnie w siłę.

Ian rozwinął mapę, którą trzymał w dłoni.

- Pomyślałem, że na mapie będzie ci łatwiej, kuzynko, wskazać miejsce jego pobytu.

Elsbeth długo się wpatrywała w znaki na pergaminie. Wreszcie znalazła miejsce, które jako drugie wybrał Alex.

- Pamiętam, że słyszałam szum wodospadu. W takim razie to musi być tutaj. - Wskazała palcem rysunek.

Nienawidziła siebie za te wszystkie kłamstwa. Pocięsała się tylko myślą, że to dla dobra klanu. I na pohybel zdrajcy. Ale czy zdrajcą mógł być Ian? Albo Patrick? W żadnym z nich nie dostrzegła dotąd nawet cienia nieszczerości. Może był to ktoś trzeci? Pozna prawdę najpóźniej za cztery dni. O ile, rzecz jasna, wszystko pójdzie zgodnie z planem.

- Wyjeżdżam bezzwłocznie - oświadczył Ian, a w jego niebieskich oczach pojawiła się czułość. - Kocham cię, Elsbeth. - Kąciki jego ust drgały, a głos się

łamał. - Dobry Boże, żebym wreszcie dostał tego Careya w swoje ręce! - I z tymi słowami wybiegł na korytarz.

Wreszcie Elsbeth mogła się spotkać z trzecią najważniejszą osobą.

Z Hugh.

Nie miała pojęcia, jak zareaguje na jej prośbę. Ostatni raz widziała go leżącego w stajni z okrwawioną głową. Było mało prawdopodobne, by darzył Careyów głębokim sentymentem.

Ale wciąż był to ten sam Hugh, serdeczny i szorstki, stary, lecz ciągle krzepki.

Nie wezwała go, tylko poszła do niego, nie chcąc, by ktoś podsłuchał ich rozmowę. Jak mogła się spodziewać, czekał na nią. Siedział na ławce przed domem. Powitał ją uniesieniem ręki.

- Nie wyglądasz najgorzej, moja panno - zauważył suchym głosem.

Uśmiechnęła się.

- Ani ty, Hugh.

- Teraz oboje wiemy, że nie należy ufać Careyom.

- Nawet gdybym ja miała nosić to nazwisko? - zapytała z nutką przekory.

Otworzył szeroko oczy.

- O czym ty mówisz, pani?

Jej uśmiech pogłębił się. Alex zabronił jej mówić komukolwiek, że wzięli ślub. Uznała jednak, że może powiedzieć Hugh o ślubie jako o czymś planowanym.

- Czyżbyś miał coś przeciwko temu?

- Muszę zebrać myśli - rzekł, rozcierając dłonią kark.

- Kocham go - rzekła z powagą w głosie.

- Wiedziałem to, zanim sama to sobie uświadomiłaś.

- Więc nie gniewasz się na mnie?

- Trudno się gniewać, gdy widzi się wesołe ogniki w twoich oczach. Domyślam się, że przyjechałaś z czymś ważnym. Chodźmy więc na mały spacer.

Karty zostały rozdane. Pozostawało czekać.

Elsbeth poprosiła Patricka i Iana, by odłożyli swoje wyjazdy do jutra rana. Musiała dać czas Hugh na dotarcie do Daveya Garricka.

Wieczera okazała się prawdziwą torturą. Elsbeth przesuwiała wzrokiem po twarzach biesiadników i zapytywała siebie wciąż od nowa, czy postąpiła słusznie. Ian siedział po jej lewej ręce, a po prawej Patrick. Obaj wydawali się rozluźnieni i szczęśliwi. Dalej za łanem siedziała Louisa, lecz dla nikogo nie było tajemnicą, że za towarzysza wolałaby mieć Patricka. Ten ramieniem dotykał Joan, której rozbiegane oczy nie wróżyły najlepiej. W sumie jednak zachowywała się znośnie.

Wyływały w rozmowie różne tematy, lecz wszyscy jak ognia unikali tego najważniejszego - kulis jej porwania. Elsbeth była im wszystkim za to bardzo wdzięczna. Pito dużo wina, jakby każdy wyczuwał, że jest to ostatni obiad przed wielkim zamętem. Na podwyższeniu przygrywali grajkowie. Elsbeth wolała skrzypki od kobzy. Z melancholią wsłuchiwała się w ich jęklive zawodzenia. Poza tym piła wino wraz z innymi. Aż wre-

szcie od tego wina zakręciło się jej w głowie. Musiała pożegnać towarzystwo.

Udała się do siebie. Pozwoliła rozebrać się służebnej dziewczynie i z ulgą przyjęła zgaszenie świec. Ale nie mogła zasnąć. Przed jej oczyma przesuwały się różne postacie. Wreszcie ujrzała Aleksa. Siedział na wielkim czarnym ogierze i spoglądał w dal. Zaświstało i w jego piersi utkwiała strzała. Skan Anula, przerobiła poną.

Davey Garrick oparł się ze znużoną miną o gruby kamienny mur opasujący twierdzę Huntington. Przysłuchując się sprośnym żartom strażników, obserwował dziedziniec.

Zapadał wieczór i zbliżała się pora zamknięcia głównych wrót. Na razie jednak panował w przejściu ożywiony ruch. Ludzie wchodzili i wychodzili - służba z zamku wracała do swoich domostw, żołnierz patrolujący okolicę powracał na kwaterę. Ale na teren twierdzy można się było dostać również inną drogą. Niewielu wiedziało o tym tajemnym podziemnym tunelu. Właściwie nikt poza Johnem, Alekssem i Daveyem. Tunel biegł pod murami, a wychodziło się zeń w leśnej grocie.

W ostatnim okresie z tunelu tego korzystał tylko John, kiedy wybierał się na nocne spotkania ze Szkotem. Było nader wątpliwe, by John komukolwiek zdradził swój sekret. Zatem posłaniec od Kera przybędzie najpewniej bramą główną.

I tak też się stało. W pewnej chwili Davey dostrzegł w tłumie całkiem obcą twarz. Lecz co innego było ważniejsze - mężczyzna najwyraźniej starał się ukryć

wśród innych. W końcu zaczepił przechodzącego z wiadrami pachołka i o cos' go zapytał. Ten pokazał ręką na żołnierskie kwatery.

Davey oderwał się od muru i poszedł za nieznajomym. Usłyszał, jak tamten pyta jednego z żołnierzy o Simona. Tłumaczył się, że ma dla owego Simona wiadomość od jego rodziny.

Davey pozwolił sobie na uśmiech zadowolenia. Kamień został ruszony i lawina poszła ze zbocza. Ker próbował skontaktować się z Johnem, a czynił to używając ogniów pośrednich. Pozostawało teraz zasadzić się w pobliżu leśnej groty i bacznie ją obserwować.

Ale John tej nocy nie opuścił twierdzy.



Davey nie spał długo. Wczesnym rankiem obudził go skrzyp wozu oraz głośne „prrr”. Wyrzął przez okno i zobaczył domokrażcę. Znał bardzo dobrze tego człowieka.

Judith go wprawdzie nie znała, lecz zareagowała okrzykiem radości. Przybycie domokrażcy było zawsze wielkim wydarzeniem. Wówczas takie sprawy, jak na przykład „czym zacerować rozdarty kubrak?”, przestały być problemem. Wystarczyło po prostu wyjść z domu i kupić igłę. Albo cały komplet igieł.

Wyszli oboje, jak przystało na męża i żonę.

Domokrażca spojrział na Daveya spod oka. Davey poczuł się nieswojo. Bądź co bądź, kilka tygodni temu rozwalił głowę temu człowiekowi.

- Wyglądasz dobrze, handlarzu - rzekł, siląc się na poufały ton.

- Na przekór temu, co zrobił mi pewien szubrawiec - odparł tamten ze złowrogą miną. - W tych ciężkich czasach nie można ufać nikomu.

Davey poczuł się dotknięty. Z trudem pohamował gniew.

- Zaiste, trudno odróżnić wroga od przyjaciela.

Judith, która w tym czasie oglądała towary, wyczuła zbliżającą się burzę.

- Davey?

- Czy już wybrałaś coś dla siebie, żono?

Młoda kobieta z uśmiechem skinęła głową.

- W takim razie skocz po sakiewkę i kup sobie coś ładnego.

- Dorodna ta twoja połowica - powiedział Hugh, gdy Judith zniknęła w chacie.

Davey znalazł się nagle w bardzo kłopotliwym położeniu. Nikogo jeszcze w życiu nie przeproszał, a tu honor nakazywał mu przeprosić... Szkota. Dlatego nie tyle powiedział, ile wydusił z siebie:

- Wybacz, ale było to konieczne.

Domokrażca uśmiechnął się.

- Niewiele wyciekło ze mnie krwi. Czy twój pan już przybył na miejsce?

- Tak. Widziałem się z nim. A lady Elsbeth?

- Czuje się dobrze.

- Dzielna niewiasta.

- Twój pan też ma wiele zalet, choć jest Anglikiem i Careyem. Nie wykluczałbym, że ma w sobie trochę szkockiej krwi.

Daveya rozbawiło to przypuszczenie. Zaraz jednak odzyskał powagę.

- Jakiś obcy przybył wczoraj z wiadomością dla Simona, zaufanego Johna.

- Sądysz, że przysłał go zdrajca?

- Jestem tego prawie pewien.

- Propozycja spotkania?

- Coś mi mówi, że spotkają się dzisiejszej nocy. Bo tylko nocami się spotykają, jak te dwa tchórzliwe psy.

- Psy, owszem, ale nie tchórzliwe. Ani łanowi, ani Patrickowi nie brakuje odwagi, a jeden z nich jest zdrajcą.

- O tym przekonam się już za kilkanaście godzin.

- Pójdę z tobą.

- Lepiej, żebyś nie robił tego. Jeśli zostanę odkryty...

Anglik ma rację, pomyślał Hugh. Nagle poczuł się stary. Dawniej, kiedy skradał się przez las, ani jedna gałązka nie trzasnęła pod jego stopą. Dzisiaj zapewne narobiłby tyle hałasu co odyniec. Cóż, z upływem czasu człowiek starzeje się, a nie młodnieje, zakonkludował.

Davey Garrick wyciągnął rękę, a Hugh ją przyjął. Uścisk dłoni trwał krótko, gdyż wybiegła podniecona Judith. Sądząc z jej miny, ogarnęło ją szaleństwo zakupów.

John opuścił twierdzę tajemnym przejściem. Na zewnątrz wśród drzew czekał Simon z koniem. John dosiadł konia, a Simonowi nakazał iść pieszo. Piechotą szedł również Davey, który śledził ich obu. Tak było bezpieczniej, koń robił zbyt wiele hałasu. Zresztą John jechał stępą i nadążanie za nim nie nastęczało większych trudności. Davey starał się iść bezszelestnie. Jego cień mieszał się z cieniami drzew.

Księżyc zdążył już przejść z prawej strony nieba na lewą, gdy wreszcie John ściągnął wodze. Davey przypadł do ziemi, po czym podczołgał się najbliżej, jak by-

ło można. John niecierpliwił się, chodził tam i z powrotem i sapał. Zaszleściły krzewy na wprost i na polance pokazał się jeździec. Ubrany był cały na czarno.

Żaden z dwóch zdrajców nie zaczął rozmowy od słów powitania.

- Wiem, gdzie go szukać - oznajmił Szkot, zsiadając z konia.

- Ruszamy nie zwlekając?

- Tak byłoby najlepiej, ale dziś nie mam czasu. Zresztą daleka droga, gdyż zaszył się na drugim krańcu twych włości.

- A więc jutro?

- Tak. Zabijemy go. Ma umierać powoli.

- Nie bądź głupcem! Po co ta zabawa? Uśmiercimy go z zasadzki.

- Po tym, co zrobił Elsbeth, chcę słyszeć jego jęki.

- Oszalałeś, Szkocie?

- Będzie, jak mówię, albo sam go szukaj.

John namyślał się przez krótką chwilę.

- Dobrze - rzekł w końcu. - Mów, gdzie się zaszył.

Uklękawszy, Ker wziął gałązkę i jął nią rysować na ziemi coś w rodzaju mapy. Widocznie nie przejmował się tym, że John może go uprzedzić. Był przeświadczony, że Carey potrzebuje go.

- Sądząc z opisu Elsbeth, to tutaj. - Dźgnął gałązką w ziemię.

- Znam to miejsce. Nie sądziłem jednak, że poszuka sobie kryjówki aż tak daleko.

- Elsbeth powiedziała, że w pobliżu jest wodospad.

Davey oparł się o pień drzewa. Wodospad. Już wiedział, który z dwóch kuzynów lady Ker jest zdrajcą.

Cicho, bardzo cicho zaczął się wycofywać. Gdy zyskał pewność, że jego kroków nikt już nie usłyszy, puścił się biegiem. Musiał jak najszybciej przekazać Hugh to, co podsłuchał. Domokrażca miał przed sobą daleką drogę.

Hugh wpadł na dziedziniec na spienionym koniu. Elsbeth nawet nie spytała, co zrobił z wozem. Zaprzętały ją dużo ważniejsze sprawy.

- A więc już wiesz? - zapytała, gdy znaleźli się w świetlicy.

- Tak, choć wyobraź sobie, dziewczyno, wcale nie czuję z tego powodu satysfakcji.

Elsbeth pobladła. Podeszła do drzwi i sprawdziła, czy nikt nie podsłuchuje. Było wczesne popołudnie. Ian był w drodze do Rutherfordów, Patrick zaś doskonalił na majdanie żołnierskie umiejętności Kerów.

Hugh wymienił imię zdrajcy. W oczach Elsbeth pojawiły się łzy. Dziwne, ale aż do tej chwili pocieszała się myślą, że wszystko to okaże się jedną wielką pomyłką. Teraz stanęła wobec okrutnej rzeczywistości.

- Jak on mógł, Hugh?

Stary Szkot wzruszył ramionami. Nie miał współczucia dla zdrajcy.

- Grzech pychy, dziewczyno. Widział siebie na czele klanu Kerów.

- Uważasz, że ponosi odpowiedzialność za śmierć mego ojca?

- Wedle słów Garricka, który podsłuchał jego rozmowę z Johnem, to on właśnie namówił Careyów do urzędzenia zasadzki.

- Wierzysz Garrickowi?

- To, doprawdy, piekielna rzecz wierzyć Anglikowi, a nie wierzyć swojemu, ale tak, wierzę mu. Zawsze dziwiło mnie, skąd znali drogę, którą miał jechać twój ojciec.

Elsbeth wybuchnęła płaczem. Hugh objął ją po ojcowsku.

- Płacz, dziecko. Wypłacz się, a doznasz ulgi.

Toteż płakała, wcale nie wstydząc się łez. W ciągu ostatnich tygodni nagromadziło się w niej tyle bezbrzeżnego smutku, że łzy musiały popłynąć niepowstrzymanym strumieniem. Opłakiwała swoją utraconą niewinność, opłakiwała śmierć ojca, opłakiwała wszystkich poległych w granicznej wojnie członków klanu, opłakiwała wreszcie swoje dzieciństwo, kiedy to bawiła się z kuzynami i wszyscy troje pokładali się na trawie ze śmiechu.

Kiedy zaś wypłakała się i już nie było w niej łez, uniosła dumnie głowę i rzekła do Hugh:

- Powiedz Patrickowi, że chcę z nim się widzieć.

Elsbeth poprawiła się w siodle, patrząc na wyprostowane sylwetki swych uzbrojonych towarzyszy. Było ich sześciu - sześciu i ani jednego więcej. Miała za sobą burzliwą rozmowę z Patrickiem i wciąż brzmiały jej w uszach echa słów, które padły. Widziała gniewną, chwilami nieufną, chwilami zdumioną twarz kuzyna

i nie mogła się mylić co do jego niezgody na ten stan rzeczy.

Z początku nie dał jej wiary. On i Ian nigdy nie byli bliskimi przyjaciółmi, jednak razem walczyli przez te lata przeciwko Careyom i szanowali siebie nawzajem.

- To podstęp tego angielskiego psa - powiedział, kiedy Elsbeth oznajmiła mu o zdradzie Iana. - Chce nas podzielić i skłócić ze sobą.

- W takim razie z czyich ust dowiedział się John, gdzie ukrył się lord Huntington? - argumentowała.

Oczy Patricka zwięziły się do szparek.

- Zdaje się, że to mogły być równie dobrze moje usta.

Elsbeth przygryzła dolną wargę. Zbliżał się najtrudniejszy moment rozmowy. Patrick miał się dowiedzieć, że on również znajdował się w kręgu podejrzenia.

- Tobie podałam inne miejsce.

W mig pojał istotę podstępu.

- I czekałaś, o którym z tych dwóch miejsc dowie się Carey - rzekł z goryczą, po czym odwrócił się twarzą do ściany.

Po chwili zapytał:

- A jak to było z tym twoim porwaniem, kuzynko? Jakaś inna sztuczka?

Czuł się zraniony, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Zadała sobie pytanie, czy w ogóle znała Patricka. Na pewno bowiem nie znała Iana.

- Nie, porwanie zdarzyło się naprawdę.

- Lecz chyba nie zaprzeczysz, że pomogłaś mu uciec?

- Tak, uciekł przy mojej pomocy.

- I ty nazywasz Iana zdrajcą?

To oskarżenie przeszło jej serce.

Wtrącił się milczący dotąd Hugh:

- Ja również pomagałem w tej ucieczce. On różni się od pozostałych Careyów. Pragnie położyć kres waśni. Zabicie go nie przyniosłoby nam żadnych korzyści.

Patrick uderzył się pięścią po udzie. Wszystko okazało się tylko pozorem. Ian, Elsbeth i Hugh ukrywali dotąd twarze za maskami. Kto tu był wrogiem, a kto przyjacielem? Poczuł, że staje pod znakiem zapytania całe jego życie.

- Do diabła z wami wszystkimi! - Trząśniętym głosem powiedział jak w febrze.

Elsbeth podeszła doń.

- Patricku, najwyższy czas skończyć z zabijaniem. Jesteś nam potrzebny.

- A co z Huntingtonem? Czy jego również potrzebujesz? Co wydarzyło się przez ten miesiąc, kiedy to byliście tylko we dwoje?

Najchętniej odpowiedziałyby wprost i zgodnie z prawdą: „zostałam jego żoną”. Alex prosił ją jednak o dochoowanie tajemnicy. Poza tym prawda mogłaby jeszcze bardziej rozsierdzić Patricka.

- Miałam okazję go poznać i chyba wykorzystałam ją. Już wiem, co to za człowiek.

- Na Boga, Elsbeth, przecież on cię porwał!

- Lecz najpierw my go porwaliśmy - przypomniała mu.

- Jest wojna. Mówimy o młodym, silnym mężczyźnie, który nigdy nie jest bezradny.

- Chcesz zapewne powiedzieć, że on z kolei dopuścił się gwałtu na bezradnej kobiecie. Otóż to nie jest tak. Czyż nie byłam z wami, gdy osaczyliśmy go i wywlekli z jeziora? Czyż nie wydawałam wówczas rozkazów? Zaiste, trudno o takiej kobiecie powiedzieć, że jest bezradna.

- To całkiem inna sprawa - upierał się.

- Wcale nie, Patricku - podkreśliła z mocą, po czym przeszła do zasadniczego tematu. - Huntington wrócił tutaj z zamiarem zaprowadzenia trwałego pokoju. Kiedy był naszym więźniem, próbował mnie przekonać do swojej idei. Puściłam mimo uszu jego słowa. Nie ufałam mu, podejrzewając, że mówi to wszystko tylko po to, by wyprosić dla siebie wolność. Wiedział, że brat pragnie jego śmierci. Wiedział, że ktoś spośród nas spiskuje z Johnem, bo tylko Johnowi był znany cel jego porannych wycieczek. Nie muszę też chyba przypominać ci, kuzynie, że nie powrócił żaden z naszych trzech posłańców wysłanych z żądaniem okupu. Oznacza to, że zostali zamordowani, zanim dotarli do Huntington. John nie mógł sobie pozwolić, by ktokolwiek się dowiedział, że odmawiając okupu, skazał brata na niechybną śmierć.

- Martwy czy żywy, co nas obchodzi jakiś tam Carey? - spytał Patrick, w którego oczach mimo wszystko pojawił się głębszy namysł.

- Mylisz się, kuzynie. Jego życie ma dla nas wartość pokoju i dostatku. Pomyśl o pasących się po dolinach stadach, których nikt nie kradnie i nie dziesiątkuje, pomyśl też o rolnikach pewnych dokończenia żniw.

- Careyowi nie można ufać.

- A ufasz Elsbeth Ker?

Zobaczyła wahanie na jego twarzy i jej serce przeszły ból. Złękła się, że niektóre z ran zadanych w tej rozmowie mogą się nigdy nie zbliżyć.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że Ian zdradził - rzekł z rozpaczą w głosie.

- A gdybym dostarczyła ci dowodu?

- Niby jak? - Pytanie to zabrzmiało w obszernej korytarzu niczym wystrzał.

To jednak Hugh pośpieszył z odpowiedzią:

- John Carey i Ian spotkali się ubiegłej nocy. Ian powiedział Careyowi, gdzie ukrył się jego brat. Wspomniał o wodospadzie i chacie myśliwskiej. Umówili się, że pojedą tam razem i dokonają zabójstwa.

- Ian wyruszył z misją do Rutherfordów - obstawał przy swoim Patrick.

Hugh i Elsbeth wymienili spojrzenia. Doprawdy, nie wiedzieli, jak walczyć z tego rodzaju uporem, bliskim zaślepieniu.

- Podejrzewam - dodał Patrick - że Careyowie chcą nas wciągnąć w pułapkę.

- Mówimy o Alexandrze, Patricku, a nie o Careyach.

- Ten Alexander spełtał twoją wolę i umysł jakimiś czarami.

- Alexander Carey jest moim mężem - rzekła, widząc, że musi posłużyć się ostatecznym argumentem.

W Patricka jakby piorun strzelił. Wprędce jednak jego osłupienie przemieniło się we wściekłość.

- Więc tym bardziej powinienem go zabić! - ryknął.

- Zanim to zrobisz, ugodź najpierw w moją pierś.

- Patrzyła nań z pobladłą twarzą i drżącymi wargami.
- Ja go kocham, Patricku. Jakże mało go znasz. To człowiek szlachetny i wielkoduszny. Zapomnij na jakiś czas jego nazwisko i pomyśl o tamtej chwili, kiedy mógł cię zabić, a nie zrobił tego. Błagam, pomóż mi, Patricku.

Wiedziała, że bez pomocy kuzyna niczego nie da się przeprowadzić. Dlatego właśnie postawiła wszystko na jedną kartę, łamiąc dane Aleksowi przyrzeczenie.

Patrick tymczasem ogarniał wzrokiem jej bursztynowe oczy, włosy ciepłe jak ogień i rozchylone malinowe usta i nie mógł się oprzeć wspomnieniu najpierw uroczej dziewczynki, potem zaś ślicznej panny, z którą bawił się, droczył i toczył dysputy przez większość lat swojego życia.

- Naprawdę kochasz go, Elsbeth? - spytał głosem chrapliwym i łamiącym się.

- Tak.

- Och, to twoje niepoprawne serce! Ale na szczęście umysł masz tęgi. Nie przekonałaś mnie co do winy Iana, osiągnęłaś jednak to przynajmniej, że nie mogę jej wykluczyć. Idę uprzedzić ludzi, by gotowali się do drogi.

- Wybierz tylko sześciu - rzuciła, spodziewając się nowych przeszkód.

Spojrzał na nią jak na obłąkaną.

- Chcesz z sześcioma zbrojnymi zapuścić się na terytorium wroga?

- Tyłu właśnie ludzi ma przy sobie Alex. Jeśli zjawimy się większą gromadą, wystraszymy ich.

- Nie doprowadzaj mnie do szału, Elsbeth. Jaki on tam Alex! To Carey, podstępny i zbrodniczy Carey. Wspomnij swego ojca.

Zesztywniała.

- Jeśli się boisz, pojedę tylko z Hugh.

Patrick oblał się niemal panieńskim rumieńcem. Nikt jeszcze dotąd nie podawał w wątpliwość jego odwagi. W tej sytuacji musiał się zgodzić na każde ryzyko.

- Wybiorę najprzedniejszych.

- Ja i Hugh też jedziemy.

Patrick ruszył ku drzwiom.

- Obyś nie myliła się, kuzynko - rzucił jeszcze od progu i opuścił świetlicę.

Teraz byli w drodze. Jechali w zupełnym milczeniu. Wszystkim ciążył na sercu tajemniczy cel tej wyprawy. Poza tym wybrani przez Patricka ludzie wyczuwali, że pomiędzy lady Elsbeth a ich dowódcą stało się coś niedobrego. Wszystko to upodobiało tę jazdę do pogrzebowego pochodu.

Elsbeth nękały najróżniejsze obawy. Rzecz jasna, cieszyła się na myśl, że niebawem zobaczy Aleksa i połączy się z nim już na zawsze, lecz zarazem lękała się nieuchronnego rozlewu krwi. Nie łudziła się, że obejdzie się bez ofiar. Jeżeli Ian zostanie schwytany, Kero wie bez wątpienia wymierzą mu sprawiedliwość. Również Careyowie nie pozwolą Johnowi ujść z życiem. A mogą zajść i inne nieprzewidziane wypadki. Tak więc tej nocy ktoś z pewnością umrze.

Dotarli do granicy i przekroczyli ją. Teraz posuwali się, zachowując wszelkie środki ostrożności. Wszyscy

byli uzbrojeni po zęby, zaś Patrick miał przy siodle aż dwa pistolety.

Po nocnym niebie przesuwały się czarne chmury, lecz od czasu do czasu pojawiał się księżyc. Las wokół stał nieruchomy i cichy. Prawie nie było wiatru. Konie szły od granicy z obwiązanymi kopytami i zdawały się zjawami. W dolinkach i zagłębieniach kładła się mgła.

Nagle Elsbeth przeniknął niesamowity lęk. Coś straszego miało się wydarzyć, coś, czego ona i Alex nie przewidzieli, układając ten plan. Zachwiała się w siodle. Czyste nocne powietrze zmieniło się w jakiś gęsty opar, którym nie sposób było oddychać. Alex, wykrzyknęła w duchu, kochany, uważaj na siebie! Bądź ostrożny!

W pobliżu zahukała sowa. Hugh przyłożył zwinięte dłonie do ust i odpowiedział podobnym dźwiękiem. Po tej odpowiedzi z lewej strony wyjechało na drogę dwóch jeźdźców. Elsbeth natychmiast rozpoznała Aleksa i Daveya.

Kerowie, jak na komendę, sięgnęli po swoje obusieczne miecze, wypierane w Europie od lat przez rapier i szpadę. Ich napięte, czujne i ponure twarze nie wróżyły nic dobrego. Oczy śledziły każdy ruch dwóch tajemniczych jeźdźców.

Ale to Elsbeth pierwsza się ruszyła. Uderzyła konia piętami i wyjechała na czoło grupy.

- Lordzie Huntington - rzekła dźwięcznym, donośnym głosem, ażeby słyszeli ją jej ludzie - cieszę się, że stawiasz się w oznaczonym miejscu i czasie. Połączmy teraz nasze szczupłe siły i czekajmy na bieg wypadków.

- Kuzynko... - zaczął Patrick, który wciąż panicznie obawiał się zasadzki.

- Będzie, jak powiedziałam. Wszakże nadal stoję na czele klanu.

- W takim razie niech Carey nam wyjaśni, co teraz mamy zrobić. - W głosie Patricka brzmiała nie skrywana wrogość.

- W pobliżu jest polana, tam czeka na nas pięciu moich ludzi - odparł Alex. - Proponowałbym, abyście zsiadli z koni, zostawili je pod opieką jednego człowieka i udali się za mną i moim towarzyszem.

- Pójdziemy - rzekł Patrick - lecz tylko pod warunkiem, że *ty będziesz miał przystawioną do pleców lufę* mojego pistoletu.

Alex wzruszył ramionami, po czym kiwnął głową. Sprzeciw z jego strony pogłębiłby jedynie nieufność Szkotów, już i tak bardzo niespokojnych.

Wszyscy zsiadli z koni i Alex ruszył pierwszy, czując między łopatkami dotyk lufy dużego i ciężkiego pistoletu. Modlił się w duchu, żeby się nie potknąć i nie sprowokować tym Szkota do pociągnięcia za spust. Szczęśliwie dotarli do polany, na środku której majaczyła ciemna bryła chaty myśliwskiej. Davey Garrick znów udał hukanie sowy. Na skapaną w księżycowej poświacie polanę wyszło pięciu zbrojnych. Była to jakby prezentacja, po której natychmiast wycofali się na swoje pozycje. Zapadła cisza. Obie strony, dobrze ukryte wśród krzewów i drzew, oczekiwały teraz na przybycie zdrajców.

Tamci nie dali na siebie długo czekać. Zjawili się we

trzech. Nietrudno było rozpoznać Iana, Johna i Simona. Zsiadłszy z koni, które pozostawili na skraju polany, zaczęli się skradać z wyciągniętymi pistoletami w kierunku chaty. Następnie szarpnęli drzwi i wpadli do środka. Rozległy się dwa przytłumione wystrzały. To zmyliły skrytobójców zwinięte i odpowiednio ułożone derki. Teraz już nikt nie mógł mieć wątpliwości, o co im chodziło. Do uszu świadków, Szkotów i Anglików, dobiegły ohydne przekleństwa. Zaraz po tym zdrajcy wypadli na zewnątrz.

Alex odwrócił głowę i spojrzał na Patricka. Ten już nie mierzył do niego. Śledził rozszerzonymi oczami bieg wypadków.

Alex wyskoczył z ukrycia.

- Szukasz mnie, John? - zawołał w kierunku tamtych trzech.

John od razu rozpoznał głos brata i chwycił za broń.

- Widzę, że chowasz się po krzakach.

- Już nie. Nadszedł czas ostatecznego rozstrzygnięcia, bracie.

Tymczasem Ian podnosił rękę. Miał w niej pistolet. Alex nagle przypomniał sobie, że w chacie rozległy się tylko dwa strzały.

- Nie radziłbym, Ianie - rozległ się gdzieś z tyłu spokojny, lecz przeraźliwie zimny głos Patricka. - Rzuć to natychmiast na ziemię.

Wargi Iana rozciągnęły się w uśmiechu. Zrozumiał w jednej chwili, że to koniec gry. Miał przed sobą Patricka, Elsbeth, Hugh, Kerów i Anglików. Przed sobą i przeciwko sobie. Rzucił broń w trawę.

Elsbeth przemknęło przez głowę porównanie z grecką tragedią. Chór, kilku głównych bohaterów, obecność Przeznaczenia, polana niczym amfiteatr.

Pierwszy o obronie pomyślał John.

- Do mnie! - krzyknął do ludzi, których przyprowadził tu Garrick.

Ale żaden nie ruszył się z miejsca.

- Do mnie! - zawołał ponownie zdrajca, czując, że ziemia usuwa mu się spod nóg.

- Czas, ażebyś wreszcie, bracie, stoczył uczciwą walkę - powiedział Alex, wyciągając krótki miecz.

- Nie odmawiam - odparł tamten, siekąc dla wprawy powietrze trzymanym w ręku rapierem.

Dobiegli do siebie i zadźwięczała stal. John nie miał nic do stracenia i w pełni to rozumiał. To dodało mu sił i zręczności, jak również determinacji w walce. Nie był dobrym szermierzem, lecz teraz wznosił się na wyżyny swych skromnych możliwości. Bezbłędnie odparowywał ciosy i sam przechodził do ataku. A gdy napierał, napierał z dziką furją.

Elsbeth wsparła się na ramieniu Hugh. Gdyby nie to ramię, osunęłaby się na ziemię.

Alex cofał się, John parł do przodu. Nagle cofający się stracił równowagę. Atakujący wymierzył cios wprost w głowę. Elsbeth krzyknęła i zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, szabla Johna zataczała łuk w powietrzu, by zaraz upaść w krzaki. On sam natomiast klęczał, wpatrując się zdumionym wzrokiem w swoje prawe, rozcięte do kości ramię. Z rany lała się krew.

- Poddajesz się? - spytał Alex, przykładając mu koniec miecza do gardła.

- Przenigdy, ty czarci pomioście.

Alex wiedział, że powinien zadać teraz śmiertelny cios. Coś jednak trzymało go za rękę i nie chciało puścić.

- Na zawsze opuścisz Anglię - rzekł po chwili milczenia. - I niech Bóg cię strzeże, jeśli ośmielisz się powrócić. - Zwrócił się do stojących w pobliżu dwóch swoich ludzi. - Pilnujcie go.

Zaledwie zdążył odwrócić się plecami do zdrajcy, gdy Elsbeth padła mu w ramiona. Uściskali się czule, wzruszeni i szczęśliwi.

- Czarująca scena - dał się słyszeć drwiący komentarz Iana.

- Zdrajca! - rzucił Patrick głosem pełnym pogardy i groźby.

- Zaryzykowałem - rzekł Ian, wzruszając ramionami. - Uznałem, że klanowi należy się silniejszy przywódca.

- I dlatego posunąłeś się do morderstwa na swym własnym panu, przedtem zawierając diabelski pakt z naszym największym wrogiem? - Rzecz dziwna, ale nawet teraz na twarzy Patricka malowało się niedowierzanie.

- To przecież ty wciąż powtarzałeś, kuzynie, że cel uświęca środki.

- Ale nie takie, na Boga! - krzyknął Patrick.

Elsbeth zadrżała. Czuła, że zbliża się coś strasznego. Musiała temu zapobiec. Może Ian miał jeszcze jakąś szansę ucieczki.

Alex odgadł jej myśli. Przygarnął ją do siebie i szepnął do ucha:

- Niczego tu już nie możemy naprawić. - Mógł darować życie swojemu bratu, gdyż takie prawo przysługiwało pokrzywdzonemu. Ale nie mógł zapobiec tej walce. To była wewnętrzna sprawa Kerów i on nie miał tu nic do powiedzenia.

Walka była błyskawiczna. Dźwięk krzyżowanej stali, jakby pląsnięcie i cichy jęk.

Ian upadł na ziemię, przyciskając obie dłonie do rozplatanego brzucha.

Poszukał gasnącym wzrokiem Elsbeth.

- Wybacz, Elsbeth. Byłaś moją jedyną miłością. - To były jego ostatnie słowa.

Elsbeth podbiegła do konającego i uklękła przy nim.

- Och, Ianie, Ianie! - zawodziła, tuląc do łona jego głowę.

Obok ukląkł Patrick.

- Nawet się nie bronił. Pozwolił mi zwyciężyć już w pierwszym złożeniu. - Wyciągnął rękę i zamknął Ianowi powieki.

Podnosząc się z klęczek, dostrzegł kątem oka jakiś ruch.

- Huntington! - krzyknął i chwycił za zatknięty za pas pistolet.

Bo oto Simon, o którym bodaj wszyscy zapomnieli, kopnął leżący na ziemi pistolet Iana w kierunku Johna Careya. Ten chwycił go i wymierzył w Aleksa.

Elsbeth zdążyła jeszcze zasłonić ukochanego swym ciałem.

Dwa strzały zlały się ze sobą. John padł na wznak z przestrzeloną głową.

A potem przejęci grozą Anglicy i Szkoci patrzyli w milczeniu, jak lady Ker i lord Huntington, złączeni w uścisku, osuwają się powoli na ziemię, brocząc krwią, która w świetle księżyca mieniła się jak jedwabna wstęga.



Alex obudził się z przejmującym bólem głowy. Przed oczyma przesuwały się mu różne obrazy - John, Ian, dymiące lufy pistoletów, Elsbeth zasłaniająca go swym ciałem.

- Elsbeth! - wykrzyknął i otworzył oczy na oślepiającą jasność.

Po chwili jego wzrok przyzwyczał się do światła. Alex dostrzegł, że znajduje się w swoim własnym pokoju w Huntington i że nie jest sam. Przy łóżku stał barczysty Szkot i patrzył nań badawczo.

- Masz czaszkę jak z kamienia, lordzie Huntington - rzekł bez uśmiechu.

- Co z Elsbeth? - zapytał Alex.

- Leży w pokoju obok. Śpi po wypiciu mikstury Magdalene. Tylko tym sposobem mogliśmy odciągnąć ją od ciebie, Huntington.

- Czy jest ranna?

- Jej rana to tylko niegroźne draśnięcie, po którym, ufam, nie będzie nawet blizny. Twoja, Huntington, jest dużo poważniejsza. Wystrzelona przez Johna kula, drasnawszy Elsbeth, o mało co nie rozłupała ci czaszki.

- Chcę ją zobaczyć.

Patrick westchnął.

- Będzie to możliwe najwcześniej jutro rano. Elsbeth sama się tu zjawi. Stan twojego zdrowia, Huntington, nie pozwala ci na opuszczenie łóżka.

Alex puścił tę uwagę mimo uszu. Zebrał się w sobie i próbował dźwignąć. Na próżno. Zalała go bowiem fala tak potwornego bólu, iż opadł na poduszki.

Po pewnym czasie, gdy ból trochę ustąpił, zapytał:

- Co z Johnem?

- Nie żyje. Nie sposób odmówić ci dzielności, lordzie Huntington, ale masz zbyt miękkie serce. Kto to widział darować życie takiej bestii. U lorda to zresztą, jakby nawyk. Cofać broń, gdy ma się przeciwnika na sztychu.

- Przynajmniej raz rezygnując z pchnięcia, postąpiłem właściwie - rzekł Alex, nawiązując do swego pojedynku z Patrickiem.

Szkot dobrze pojął aluzję.

- Gdyby nie Elsbeth, zabiłbym lorda bez najmniejszego wahania. Pojedynek to walka na śmierć i życie, a nie jakiś tam akt wielkoduszności. Jeśli pozostaniesz, panie, przy swoich nawykach, to Elsbeth prędko zostanie wdową.

Alex poruszył się niespokojnie.

- To już wiadomo, że wzięliśmy ślub?

- Na razie wiem o tym bodaj tylko ja i Hugh. Elsbeth powiedziała mi o wszystkim, by skłonić mnie do wyprawy przeciwko obu zdrajcom. Nie twierdzą, że jestem tym zachwycony. Wolałbym widzieć Elsbeth żoną jakiegoś Szkota. Gdy jednak podbiegła do ciebie, aby zasłonić

swoim ciałem, pomyślałem, że ten Carey musi być mimo wszystko coś wart. Oczywiście, przydałby się nowy ślub. Tamten, jako potajemny, ważny jest tylko przed Bogiem. Nie sposób jednak całkiem pomijać ludzi.

Alex uśmiechnął się. W tej kwestii całkowicie zgadzał się z Patrickiem.

- Jak Careyowie traktują was tutaj? - zapytał.

- Krzywią się, rzecz jasna, i patrzą trochę wilkiem, ale Garrick wystąpił z płomienną mową i w sumie jesteśmy tolerowani.

- Co on teraz porabia?

- Objeżdża wszystkich dzierżawców, powiadamiając ich o tym, co zaszło.

Drzwi otworzyły się i weszła Magdalene. A weszła niczym udzielna księżna, gdyż zobaczywszy Patricka, kazała mu się natychmiast wynosić.

- Jak się czujesz, panie? - spytała, gdy Szkot posłusznie opuścił komnatę.

Alex pomyślał, że na to proste pytanie bynajmniej nie znajduje prostej odpowiedzi. Pod względem fizycznym czuł się bardzo źle. Głowa pękała z bólu, a członkami zawładnęła upokarzająca słabość. Ale w sercu miał wielki spokój. Najgorsze przeminęło. Obecność Patricka Kera w Huntington była niezbitym dowodem na to, że walka o pokój mogła skończyć się pełnym zwycięstwem.

- Dzięki Kerom chyba przeżyję - rzekł z bladym uśmiechem na twarzy.

- Jak również dzięki swej twardej czaszce - dodała Magdalene, przystępując do zmiany opatrunku.

Rana Aleksa wydawała się bardzo poważna. Kula rozorała czoło i kawałek skroni. Całe to miejsce było napuchnięte i brzydko zaczerwienione. Ale nie doszło do naruszenia kości i wszystko zdawało się wskazywać, że otoczony troskliwą opieką chory szybko wyzdrowieje.

- Będziesz miał piękną bliznę, panie.

- A Elsbeth?

Na surowej twarzy Magdalene pojawiło się rozczulenie.

- Jej blizna, o ile jakaś blizna zostanie, będzie ledwie widoczna. Teraz śpi sobie smacznie, gdyż dosypałam jej do wina coś na sen. Musiałam to zrobić, inaczej przesiedziałyby przy tobie, panie, całą noc. Zresztą radzę pójść w jej ślady i również starać się zasnąć. Lady Elsbeth jak najszybciej potrzebny jest silny i zdrowy mąż. Wszyscy widzą waszą miłość. Go oczywiście nie znaczy, że wszyscy są z niej zadowoleni.

Alex zamknął oczy. Trzeba było działań wielu pokoleń, aby wrogość na granicy przeobraziła się w nienawiść. W ciągu jednego dnia, obojętnie, w jakie wypadki by obfitował, nie można przekreślić takiego dziedzictwa. Ale przynajmniej zrobili początek. Gdy nie ma początku, nie ma też zakończenia. Alex ufał, że owocami jego starań będą cieszyły się jego dzieci i wnuki.

Zasnął z uśmiechem na wargach.

Elsbeth siedziała przy śpiącym Aleksie, wpatrując się w pogodną twarz ukochanego. Białe płótno opatrunku

kontrastowało z jego czarnymi włosami i smagłą cerą. Długie rzęsy zachodziły aż na policzki. Och, jakże była spragniona widoku jego szarych oczu!

Wreszcie ujrzała je. Alex bowiem poruszył się i obudził. Zobaczywszy żonę, powitał ją najradośniejszym i najczulszym z uśmiechów.

- Twój kuzyn uważa, że powinniśmy wziąć prawdziwy ślub.

Elsbeth w jakimś stopniu zaskoczyła ta wiadomość. Sama myślała o ponownym ślubie, owym akcie scalającym dwie rodziny, ale skąd taki pomysł u Patricka? Na razie wiedziała tylko tyle, że między Careyami a Kerami panuje względny spokój.

- Tak uważa?

- Sam mi to powiedział. Choć, ma się rozumieć, podchodzi do całej tej sprawy niechętnie. Podejrzewam, że widziałby na moim miejscu siebie.

Uśmiechnęła się.

- Zapewne droczył się z tobą. Patrick nie kocha mnie. Owszem, darzy mnie ciepłymi uczuciami, ale to miłość braterska.

Alex chwycił jej dłoń i przycisnął ją do ust.

- Moja jest całkiem inna. Ale czy wiesz, że będziesz musiała patrzeć przez całe życie na moją oszpeconą twarz?

- Na twoją piękną twarz - zaprzeczyła gorąco. - Dla mnie zawsze będziesz najurodziwszym z mężczyzn. - I by to potwierdzić, obsypała twarz męża pocałunkami.

- Więc znów staniemy na ślubnym kobiercu?

- Och, tak, ukochany. Tak, tak...

I powtarzałyby to słowo bez końca, ale nie pozwoliły na to jego spragnione usta.

Ślub odbył się trzy tygodnie później, jasnego, chłodnego, jesiennego dnia. Na majdanie rozbito dziesiątki różnokolorowych namiotów, aby mogli pomieścić się w nich wszyscy goście. Gospodarze spodziewali się napływu prawie całej pogranicznej ludności.

Dwóch angielskich oficerów, William i Tate, którzy opiekowali się Elsbeth podczas podróży z serca Anglii aż do matecznika Kerów, obserwowało majdan z wału twierdzy Careyów. Na ich twarzach malowało się zadowolenie. Oto przed ich oczyma działo się coś, czego od dawna pragnął ich pan i dobroczyńca, książę Northumberland.

Trzy tygodnie temu nic jeszcze nie wskazywało, że plan Huntingtona się powiedzie. Kiedy jednak rozeszła się wiadomość, że Alexander Carey będzie żył, a zaraz po niej druga, obwieszczająca termin ślubu, William i Tate pośpieszyli z meldunkiem do Northumberlandu. Wrócili pozawczoraj, przywożąc ze sobą ślubny prezent dla Elsbeth od księcia - czarną jak węgiel arabską klacz czystej krwi. Książę święcił polityczny triumf. Przynajmniej ten odcinek angielsko-szkockiej granicy nie będzie sprawiał przez najbliższe lata żadnych kłopotów angielskim mężom stanu.

Na majdanie szkockie proporce i sztandary mieszały się z angielskimi. Urządzano turnieje oraz przeróżne gry i zabawy. Większość zaprzyjaźnionych z Kerami

klanów wyrażało ustami swych przywódców radość z powodu zakończenia wielopokoleniowej waśni. Waśń ta w każdej chwili mogła przerodzić się w otwartą wojnę, podczas której granica spłynęłaby krwią nie tylko Kerów i Careyów, lecz również Rutherfordów, Gordonów, Turnbullów i Douglasów.

Co do nocnych wypadków sprzed trzech tygodni, to wszyscy o nich wiedzieli, ale praktycznie nikt o nich nie mówił. Zarówno Kerowie, jak i Careyowie przeżyli zdradę członków swych rodzin jako dyshonor i hańbę. W rezultacie zdecydowali się na milczenie. Oficjalnie ogłoszono, że John Carey i Ian Ker zabici zostali w potyczkach ze zbrojnymi bandami, od których roiło się do tej pory w przygranicznym pasie.

Tate uważał, że prawda prędzej czy później przeobrazą się w baśń o dwóch braciach, szlachetnym i niegodziwym, oraz pięknej księżniczce. Spojrzał na Williama i dostrzegł na twarzy przyjaciela siady melancholii. Nie zdziwiło go to. William był kochliwy, a lady Ker aż nadto godna miłości.

- Chyba czas na nas.

Tamten zmarszczył brwi.

- Nie zostaniemy na ślub?

- Nasza misja zakończona.

- Tak - przyznał William, patrząc zamyślonym wzrokiem na kłębowisko ludzi i zwierząt. - Nie uwierzyłbym w to wszystko, gdybym nie widział tego na własne oczy.

- Moc miłości - rzucił Tate z nutką ironii w głosie.

- Czy powinniśmy pożegnać się z lady Elsbeth? -

zapytał William, łaknąc jak kania dżdżu „tak” przyjaciela.

- Myślę, że w tej chwili ma ważniejsze sprawy na głowie.

Dwie godziny później pędzili już drogą wiodącą do Londynu.

Jak gdyby samo niebo błogosławiło temu związkowi, bo na bezkresnym błękitcie nie widać było ani jednej chmurki. Słońce słało na ziemię ciepłe, jesiennie stonowane światło, a rześki wiaterek chłodził policzki poniekórych podchoconych już weselników.

Patrick, może trochę zbyt poważny jak na taką uroczystość, wiódł pannę młodą przez dziedziniec do niewielkiej kaplicy. Jakkolwiek sam był rzecznikiem tej uroczystości, radość i duma nie gościły w jego sercu. Za panną młodą postępowała Louisa, trzymając tren ślubnej sukni. Nie uszło uwagi Elsbeth, że oczy Patricka nader często pomykały ku wdzięcznej, młodej drużynie. Uśmiechnęła się w duchu. Mogła się tylko cieszyć, że jej kuzyn wkrótce pozna prawdziwy smak miłości.

Zacisnęła dłoń na jego twardym, mocarnym ramieniu. W ostatnim okresie Patrick był dla niej prawdziwym oparciem. To on przekonał Kerów do tego małżeństwa, to on ukrył przed światem zdradę Iana, to on namówił ją i Aleksa do zachowania w sekrecie pierwszego ślubu, to on wreszcie wybrał szkockiego duchownego, który wspólnie z angielskim miał udzielić młodej parze Bożego błogosławieństwa.

Szli teraz wolnym krokiem w kierunku ołtarza, jakby

tunelem ku światłu i odrodzeniu. Tam przy stopniach prezbiterium czekał na nich Alex. Blask, jaki bił od niego, przymuszał aż do zmruczenia oczu. W pierwszych rzędach ławek zasiadali przywódcy szkockich klanów oraz angielscy baronowie. Nie było palca, na którym nie błyszczałaby drogocenny kamień, nie było twarzy, która nie wyrażałaby zadowolenia lub przynajmniej życzliwości.

Nareszcie Elsbeth stanęła u boku ukochanego, drżąca, szczęśliwa, przepełniona miłością. Powitał ją słonecznym uśmiechem. Na jego czole znaczyła się czerwienią długa blizna. Dla innych była blizną, dla Elsbeth znakiem honoru i wielkoduszności.

Spojrzeli sobie w oczy i z tą chwilą wszystko inne przestało dla nich istnieć. Nie było tłumu za plecami, nie było kaplicy, byli tylko oni dwoje w pustej przestrzeni wszechświata.

Jakby z oddali dobiegł ich głos kapłana. Potem rozległ się jakiś inny głos i ze zdumieniem Elsbeth stwierdziła, że to jej własny. Wypowiadała właśnie formułę przysięgi, którą następnie powtórzył Alex. I było już po wszystkim.

Pocałowali się, po czym zalała ich powódź życzeń. Przeszli do głównej sali biesiadnej, gdzie powitano ich fanfarami. Zaczęło się szaleństwo weselnej uczty. Tańczyli, jedli, pili i przyjmowali coraz to nowe życzenia. Zdarzyło się jednak, że na chwilę wokół nich zrobiło się jakby puściej.

Elsbeth wykorzystała tę chwilę.

Nachyliła się ku mężowi i rzekła ściszym głosem:

- Mam dla ciebie prezent.
- Jaki? Zamknę oczy, a ty połóż go przede mną.
Roześmiała się.
- Ten prezent będę mogła ci pokazać dopiero za osiem miesięcy.
- Chyba nie chcesz powiedzieć...
- Właśnie to chcę powiedzieć.
- Moje dziecko.
- Moje dziecko.
- Nasze dziecko.
- Tak, nasze dziecko.



Epilog

Osiem miesięcy później na majdanie znów zgromadziły się tłumy. Elsbeth stała w oknie i trzymała w rękach zawiniątko. Z zawiniątka dochodziły dziwne piski i ciamkania. Majowy wiatr odwiał rąbek chustki i ukażała się gniewna czerwona twarzyczka. Alexander Patrick Carey miał być dziś zanurzony w chrzcielnicy na oczach obu rodzin. Na ojca chrzestnego wybrano Patricka Kera, a matką chrzestną została jego żona, Louisa.

Patrick jak zawsze miał chmurne oblicze, które łagodniało tylko w chwilach, kiedy spoglądał na swoją brzemenną małżonkę. Przysługiwał mu teraz zaszczytny tytuł lairda Kerów. Elsbeth za wiedzą i pozwoleniem królowej Marii przełała na niego wszystkie swoje prawa. Teraz on był prawowitym dziedzicem, głową potężnego klanu i nie można było wyobrazić sobie lepszego przywódcy.

Rabunkowe napady skończyły się wiele miesięcy temu. Bydło i owce obrastały tłuszczem. Oracz przewracał ziemię, nie oglądając się za siebie. Spodziewano się bogatych plonów. Spalone chaty dzierżawców zostały odbudowane.

Dziecina zakwiliła. Przepętnione szczęściem serce Elsbeth biło mocnym, równym rytmem.